

Elise Title

Miłosny żar

PROLOG

ROZJAŚNIENIE

PLENER: BRAMA - PITTSBURGH – NOC

Mężczyzna w czarnym płaszczu z podniesionym kołnierzem i nasuniętym na oczy kapeluszu czai się w ciemnościach. Widać tylko obłoczek pary unoszący się z jego ust. Światła przejeżdżającego samochodu na moment wydobywają ciemną postać zmroku. Krótkie zbliżenie na oczy mężczyzny — rozbiegane, rozgorączkowane, niemal szalone.

ODJAZD KAMERY

Eleganckie limuzyny zajeżdżają pod rzęsiście oświetlony budynek ratusza po drugiej stronie ulicy. Młodzi portierzy otwierają drzwi samochodów i pomagają gościom wysiąść. Mężczyźni i kobiety w wieczorowych strojach wchodzą do ratusza.

WNĘTRZE: RATUSZ – NOC

Uroczyste przyjęcie w toku. W sali recepcyjnej przygrywa orkiestra jazzowa. Kilka par tańczy. Część gości skupiła się w grupki, w sali i w foyer. Pomiedzy gośćmi krążą kelnerzy i kelnerki, proponując szampana i kanapki.

CIEŃCIE – FOYER

ALICE WITHERSPOON, lat pięćdziesiąt, gospodyni przyjęcia, wita przybywających gości. Zbliża się do niej arystokratycznie wyglądająca para, w wieku lat około czterdziestu - burmistrz VINCENT GRAUMAN i jego żona SUZANNE. Alice całuje ich w oba policzki.

ALICE

Vincent, Suzanne - to cudownie, że udało wam się przyjść.

VINCE

Za żadne skarby nie opuścilibyśmy twojego przyjęcia.

ALICE

Dlatego zawsze może pan liczyć na mój głos. Z zalotnym uśmiechem bierze go pod ramię. I na moje pełne poparcie.

BURMISTRZ

Bardzo na to liczę. Alice. Czy moglibyśmy teraz zamienić parę słów na osobności? A potem, na resztę wieczoru, chcę zapomnieć o polityce.

Podchodzą do drzwi prowadzących do biblioteki. Nagle drzwi otwierają się. Słychać dziwny syk, a potem grzmot. Przed Alice i burmistrzem wyrasta ściana ognia. Gorący podmuch odrzuca ich w głąb foyer.

Kilka najbliższej stojących osób zauważa pożar i podnosi krzyk. Goście w sali recepcyjnej początkowo nie reagują - wszystko zagłusza muzyka i gwar rozmów. Potem wybucha panika. Ogień rozprzestrzenia się w błyskawicznym tempie. Ludzie rzucają się do drzwi i okien. Płomienie ogarniają cały budynek...

PLENER: BRAMA – NOC

Z bramy, w której ukrywa się czarno ubrany mężczyzna, dobiega śmiech. Mężczyzna wychodzi na ulicę i zaczyna biec, oddalając się od płonącego budynku. Jego śmiech cichnie w oddali. Słychać narastające wycie syren straży pożarnej.

PLENER: POSTERUNEK STRAŻY POŻARNEJ – DZIEŃ

Strażacy, śmiertelnie zmęczeni i czarni od sadzy, zdają sprzęt. Nadchodzi TONI PARADISI, dwudziestoparoletnia brunetka o uderzającej urodzie. Ma na sobie prosty kostium. Krótka spódniczka, odsłania wyjątkowo kształtne nogi. Podchodzi do strażaków, żeby zamienić z nimi parę słów. Z niechęcią wzruszają ramionami. Toni nie wydaje się tym urażona. Odchodzi w kierunku drzwi z tabliczką „Biuro śledcze - wydział podpaleń”. Strażacy uśmiechają się ironicznie.

STRAŻAK 1

Założę się, że po odejściu Stellmana długo tam nie wysiedzi.

STRAŻAK 2

A ja się założę, że reszta wydziału nie będzie z tego powodu płakać.

STRAŻAK 1

Chyba że zaprzyjaźni się z następcą Stellmana i zostanie komendantem.

Toni, w drzwiach, odwraca się i uśmiecha do strażaków, którzy nie mieli pojęcia, że słyszała ich rozmowę.

TONI

Wszystko jest możliwe, chłopcy. Nigdy nic nie wiadomo.

WNĘTRZE: BIURO ŚLEDICZE – DZIEŃ

Ponure pomieszczenie o pomalowanych na zielono ścianach, oświetlone lampą jarzeniową. Sześciu mężczyzn siedzi przy zniszczonych biurkach. Toni przysiadła na brzegu biurka swojego partnera, JOHNA NOO-NANA. Noonan, krzepki pięćdziesięcio paroletni Irlandczyk, podnosi wzrok znad sprawozdania, które właśnie przygotowuje.

TONI

Jesteś gotowy? Jedziemy do ratusza.

Noonan nie odpowiada. Pozostali mężczyźni gorliwie pochylają się nad papierami.

TONI

W porządku, Noonan, możesz być ze mną szczery.

Noonan kciukiem wskazuje narożne drzwi, z tabliczką „William Bowers, Główny Inspektor Straży Pożarnej .

NOONAN

Bowers sam się tym zajmie... z osobiście dobraną ekipą.

TONI

Ach tak, z osobiście dobraną ekipą...

NOONAN

Nie denerwuj się, Toni. Wszyscy jesteśmy roztrzęsieni. Przecież poszło z dymem z pół tuzina najbardziej wpływowych obywateli miasta. Z burmistrzem na czele.

TONI

Nigdy się nie denerwuję.

Wzburzona rusza w stronę biura Bowersa. Jeden ze strażaków ze znaczącym uśmiechem odwraca się do kolegi.

WNĘTRZE: BIURO BOWERSA -DZIEŃ

WILLIAM BOWERS, przystojny trzydziestoparoletni mężczyzna, patrzy na Toni zimnym wzrokiem.

BOWERS

To paskudna sprawa, Paradisi.

TONI

A odkąd to nic mogę zajmować się paskudnymi sprawami?

BOWERS

Pół tuzina grubych ryb upiekło się żywcem. Jedną z nich jest nasz własny burmistrz. Mówię ci, Toni, trzymaj się od tego z daleka.

TONI

Dobrze wiesz, Billy, że nie oplakuję Stellmana bardziej niż inni w tym budynku. Przecież wiem o tym, że próbował nas uciszyć i przekazać policji wszystkie dochodzenia w sprawie podpaień. Między mną a Stellmanem nie ma już nic. I nigdy nic nie było.

Bowers wstaje i podchodzi do Toni. Patrzą na siebie w milczeniu. Nagle

bierze ją w ramiona i zaczyna całować. Toni odwzajemnia jego pocałunki. Chwyta dłoń Bowersa i prowadzi ją w dół, ku swoim pośladkom.

TONI

Czy to znaczy, że osobiście mnie wybierasz, szefie?

BOWERS

W tym cały problem, kotku. Nie mogę utrzymać rąk przy sobie, kiedy na ciebie patrzę.

Znowu się całują. Bowers unosi Toni i sadza ją na biurku, przewracając ramkę z fotografią. Kamera najeżdża na zdjęcie. Zbliżenie rodzinnej fotografii Bowersa z żoną, apetyczną blondynką, i dwójką dzieci...

ROZDZIAŁ 1

Rebecca Fox siedziała w patiu swojej willi w Malibu, wygodnie rozparta na bladozielonych poduszkach fotela. W pewnej chwili przeciągnęła się i z westchnieniem odłożyła scenariusz, który właśnie czytała. Przesunęła na czoło słoneczne okulary i wyczekująco spojrzała na tęgiego, łysiejącego mężczyznę.

- Mam nadzieję, że to nie będzie sam seks, bez żadnej akcji - powiedziała.

- Możesz mnie nazwać staroświeckim, ale zawsze uważałem, że te dwie rzeczy idą ze sobą w parze.

Sam Porter, agent, a zarazem przyjaciel Rebecki, uśmiechnął się ironicznie. Siedział naprzeciw niej ze zgaszonym cygarem w zębach. Nie wypadało mu palić przy ulubionej klientce, która od lat nękała go, by rzucił palenie, zaczął jeść mniej tłusto, zażywał więcej ruchu i zrezygnował ze wszystkiego, co sprawia człowiekowi przyjemność.

Rebecca, ubrana w skąpe bikini, rozsmarowała kolejną warstwę kremu na swojej złocistej skórze.

- Mówię serio, Sam. W ostatnim scenariuszu, który mi przyniosłeś, przez jedną trzecią filmu bohaterka namawia partnera, żeby poszedł z nią do łóżka, jedną trzecią spędza z nim w łóżku, a jedną trzecią błaga, żeby z niego nie wychodził i nie wdawał się w awantury z jakimiś ciemnymi typami. Ale Bill Lakę i tak to robi. Nie mam najmniejszych wątpliwości, że Bill za swoje wyczyny otrzyma nominację do Oscara. A jak sądzisz, co dostanie Kelly Moore za tę rolę? Pewnie jedną z tysiąca nocnych koszulek, które będzie nosiła na planie. Myślisz, że umieści swojego „Oscara” na kominku w salonie?

Sam roześmiał się.

- Niech ci będzie. Może rzeczywiście „Niebezpieczna strefa” to nie był film dla ciebie. Ale to dobra rola - Moore kupiła ją na pniu. Razem z koszulkami i całą resztą.

- To świetnie - stwierdziła Rebecca. - Niech ją sobie bierze. Ja chcę rolę, w której jest więcej treści. Więcej głębi. A przede wszystkim nie mam już zamiaru grać posłusznej żony, atrakcyjnej przyjaciółki, „tej drugiej” ani dziwki o złotym sercu. Chcę być czymś więcej niż tylko dekoracją, Sam.

Znowu spojrzała na scenariusz.

- Dlaczego ten Bowers musi być żonaty?

- Rebecco...

- No dobrze, a dzieci? Połowa kobiet na widowni zniechęci mnie za to, że rozbijam rodzinę.

Tym razem uśmiech Sama był tylko na poły ojcowski. Od dwudziestu czterech lat był żonaty i swoje małżeństwo uważał za udane, a Rebecca śmiało mogłaby być jego córką. Ale, na Boga, był tylko człowiekiem.

- Moja droga, każdy mężczyzna na widowni... Rebecca przerwała mu gestem ręki.

Zamilkł, ale nadal patrzył na nią z błyskiem w oku. Zdawał sobie sprawę, jak wytrwale walczy o to, by nie przywarta do niej etykieta filmowej bogini seksu. Ale kiedy dziewczyna ma prawie metr osiemdziesiąt, piwne oczy wielkości spodków, włosy spływające na ramiona kasztanową kaskadą i figurę godną dłuta Rodina, trudno wymagać od widowni, by koncentrowała się wyłącznie na podziwianiu jej zdolności aktorskich. I choć dwudziestosześcioletnia gwiazda śmiało mogła zmierzyć się z większością hollywoodzkich aktorek, rzadko otrzymywała role, w których jej talent mógłby zaświecić pełnym blaskiem.

- Przeczytaj scenariusz do końca - powiedział, - Rola Toni jest jakby stworzona dla ciebie. Ta dziewczyna nie ustąpi nikomu. Nawet Bowersowi. To właśnie jej udaje się w końcu, ryzykując życiem, wytropić podpalacza. Toni jest silna, mądra, odważna. Ma rozum i urodę. Jest twarda, a zarazem wrażliwa. A poza tym to centralna postać filmu.

Rebecca uśmiechnęła się.

- Ty zawsze potrafisz nacisnąć właściwy guzik, Sam.

Znów zagłębiła się w lekturze. Kątem oka dostrzegła Gail McCarthy, swoją asystentkę, wchodzącą do patia. Gail przybyła do Hollywood przed siedmioma laty, po ukończeniu żeńskiej szkoły pod Bostonem. Zaczęła jako sekretarka w firmie zajmującej się poszukiwaniem talentów. Dzięki umiejętności radzenia sobie z najcięższymi „przypadkami” stała się znana i w szybkim tempie

awansowała. Rebecca zatrudniła ją przed trzema laty jako swoją osobistą sekretarkę. I choć różniły się od siebie jak noc i dzień, ich współpraca układała się idealnie.

Gail spojrzała na scenariusz.

- „Błękitny płomień”?

Rebecca z roztargnieniem skinęła głową. Czytała coraz bardziej uważnie, a jej zaciekawienie rosło.

- To jest naprawdę dobre - mruknęła, przewracając kolejną stronę. - O to właśnie mi chodzi. Na przykład scena, w której Paradisi idzie do kostnicy, żeby zidentyfikować szczątki burmistrza. Śmiały numer!

Gait położyła na szklanym stoliku jakieś papiery i nim zniknęła w głębi domu, posłała Samowi porozumiewawczy uśmiech.

- No proszę! Spodobał jej się. Sam skinął głową.

Po chwili Rebecca spojrzała na Sama roziskrzonym wzrokiem.

- Niech to, Sam, ten scenariusz jest fantastyczny! Toni Paradisi jest dokładnie taka, jak mówiłeś. Tą rolą w końcu udowodnię wszystkim w tym mieście, że jestem aktorką.

- Jasne, księżniczko.

- No więc, kiedy mam złożyć swój podpis w stosownym miejscu?

- No... - chrząknął Sam.

Rebecca poderwała się z fotela i narzuciła na siebie różowe, jedwabne kimono.

- Przyznaj się, Sam. Mason dał ci ten scenariusz, bo chce podpisać ze mną kontrakt.

Sam gwałtownie się wyprostował. Na jego twarz wypłynął krwisty rumieniec.

- W każdym razie jest tobą... zaintrygowany.

- Zaintrygowany? Co to znaczy? I nie pytam cię o definicję tego słowa.

Masz mi to natychmiast wytłumaczyć!

- Usiądź.

Rebecca nadal stała nad nim.

- No więc, Sam...

- Posłuchaj, Rebecco, kiedy ten scenariusz trafił na moje biurko, od razu zorientowałem się, że to jest to, czego szukasz. Wobec tego zwróciłem się do Masona i powiedziałem mu, że byłabyś wspaniała w roli Toni.

- Co odpowiedział?

- Że... że myślał o Jill Muir.

- Jill Muir w roli Toni? Szkoda, że nie Julia Roberta,

Sam uśmiechnął się z zakłopotaniem.

- Ona była ... nieosiągalna.

- Chcesz powiedzieć, że on nie widzi mnie w poważnej roli? Doskonale wiedziałam, że ta idiotyczna nagroda najseksowniejszej aktorki roku będzie gwoździem do mojej trumny.

Agent uniósł ręce do góry.

- O czym ty w ogóle mówisz? Robisz kasę, scenarzyści i reżyserzy pchają się do ciebie drzwiami i oknami.

Rebecca skrzywiła się z niesmakiem.

- Wiem. Widziałam ich scenariusze. Powiedz mi, po co w ogóle kazałeś mi czytać właśnie ten?

- Bo od ponad roku wiercisz mi dziurę w brzuchu, że chcesz się rozwijać.

- Ale...

- Mason nie podpisał jeszcze kontraktu z Muir. I, jak już mówiłem, był... zaintrygowany, kiedy powiedziałem mu, że byłabyś odpowiednia do tej roli.

- „Zaintrygowany”. Wydaje mi się, że wciąż omijamy sedno sprawy. Do rzeczy, Sam!

Sam podrapał się po brodzie.

- Załatwiłem ci... zdjęcia próbne.

Rebecca spojrzała na niego z niedowierzaniem.

- Zdjęcia próbne? Ja mam mieć zdjęcia próbne? - Nie chciał się przyznawać, że z najwyższym trudem namówił Masona, by w ogóle zgodził się dać jej szansę. Chyba dostałaby zawału.

- Posłuchaj, Rebecca - próbował ją uspokoić - wiem, że od ponad trzech lat nikt nie wymagał od ciebie zdjęć próbnych. Ale rola Toni zdecydowanie różni się od tych, które do tej pory grałaś. Jeżeli chodzi o mnie, nie mam najmniejszych wątpliwości co do tego, czy się do niej nadajesz. Możesz mi wierzyć.

- Za to Mason ma poważne wątpliwości. - Była naprawdę zła. - Czemu nie chcesz mi tego powiedzieć wprost, Sam? W jego oczach jestem tylko idiotką, która świetnie prezentuje się w negliżu, ale...

- Nie denerwuj się, Rebecca.

Wbrew oczekiwaniom Sama, Rebecca zamiast wybuchnąć, nachyliła się nad nim z drwiącym uśmiechem.

- Nigdy się nie denerwuję, Noonan.

Noonan? Przez moment myślał, że zwariowała. Potem przypomniał sobie, że Noonan to jedna z postaci z „Błękitnego płomienia”.

- Ile mam czasu? - Umysł Rebecki pracował teraz gorączkowo.

- Mason jeszcze kończy „Złe intencje”. Przesłuchania odbędą się nie wcześniej niż za trzy tygodnie.

- Trzy tygodnie? - Rebecca zaczęła w zamyśleniu przemierzać patio. - Mam więc mało czasu.

- Na co? - nerwowo spytał Sam.

- Na to, żeby się przygotować. Muszę wejść w skórę Toni. Dowiedzieć się, jak to jest, kiedy trzeba... - zamilkła, podeszła do stolika i zaczęła szybko przerzucać scenariusz. Wreszcie znalazła to, czego szukała - „Stawić czoło

bestii, poczuć smak sadzy, żyć w dymie i skwarze przez dwadzieścia cztery godziny na dobę".

- Znakomicie. - W otwartych drzwiach pojawiła się Gail.

- Ale jeszcze niewystarczająco - westchnęła Rebecca. - Muszę na własnej skórze doświadczyć, jak to jest znaleźć się w pełnym dymu zgliszczach wypalonego budynku i szukać miejsca, skąd zaczął się pożar. Wykryć, co go spowodowało. Muszę zrozumieć, co myślą ludzie z wydziału podpaleń, co czują, co nimi powoduje. Kiedy przyjdę na zdjęcia próbne za trzy tygodnie, chcę być Toni Paradisi, inspektorką z wydziału podpaleń.

- Więc, jeżeli o to chodzi... - zaczęła Gail.

- Co? Znasz może kogoś w wydziale podpaleń?

- Właściwie nie. Mam kuzynkę, która jest...

- Żoną strażaka? Na początek może być i strażak.

- Nie. Ona jest sekretarką.

- Jak to sekretarką? Nic nie rozumiem, Gail. Gail uśmiechnęła się z zadowoleniem.

- Jest sekretarką komendanta straży pożarnej. W Bostonie.

- W Bostonie - podkreślił Sam.

- No to co, że w Bostonie? - obruszyła się Rebecca. - Kocham Boston.

- Przecież nigdy tam nie byłaś - zdziwiła się Gail.

- No i co z tego? Uwielbiam fasolkę po bostońsku.

- Będziesz musiała spędzić tam święta. I sylwestra. A co z balem Marcusa w „Spago”? Tak chciałaś na nim być.

- I będę. Przylecę trzydziestego. A co do świąt - wreszcie zobaczę prawdziwy śnieg. Będzie cudownie.

Rebecca zaczęła gorączkowo popychać Gail w stronę telefonu.

- Na co czekasz? Dzwoń do kuzynki!

Gail i Sam wymienili porozumiewawcze spojrzenia.

- Rebecco, opanuj się - westchnął Sam.
- Muszę dostać tę rolę. - Chwyliła słuchawkę i wręczyła ją Gail, - Dzwon.

Zach Chapin z trudem posuwał się naprzód, walcząc z wiejącym od portu lodowatym, bostońskim wiatrem. Lekko utykał, czego zazwyczaj nie było widać, ale tego dnia mięśnie lewej nogi sztywniały mu z zimna. Kiedy podszedł do wypalonego szkieletu domu towarowego, dym i para wciąż unosiły się nad zgliszczami. Przystanął przed szarą, pokrytą graffiti ścianą i osłaniając dłonią płomień, zapalił papierosa.

Joe Kelly, krępy mężczyzna po pięćdziesiątce, wysiadał właśnie ze swojego starego oldsmobila. Pod pachą trzymał metalowe pudło z narzędziami. Przechodząc przez ulicę, wolną ręką pozdrowił swojego partnera. W odpowiedzi Zach skrzywił usta w uśmiechu.

- Cholernie dziś zimno - mruknął, chowając ręce do kieszeni. Wciśnięty w kącik ust papieros podskakiwał przy każdym słowie.

Joe Kelly roześmiał się.

- Trzeba było przyjść parę godzin wcześniej. Wtedy musiało tu być naprawdę gorąco.

- Dziękuję, wolę plażę na Wyspach Karaibskich. Joe przyjaźnie poklepał Zacha po plecach.

- Chyba nie myślisz znowu o tym, żeby odejść?

- Nie odejdę, dopóki nie przygwożdżę tego szczura, który świetnie się bawi, puszczając z dymem nasze miasto.

- Na razie nie wiemy...

- Ja wiem - ponuro przerwał mu Zach.

- Znowu dzwonił? Zach pokiwał głową.

- Tym razem dopadł mnie w domu. Dwadzieścia minut temu.

- Pozwól, że zgadnę. Był na linii zbyt krótko, żeby go namierzyć?

- Tak. Powiedział tylko, żebym obejrzał jego kolejne dzieło, i odłożył słuchawkę.

- Najgorsze, że w tym szaleństwie trudno dopatrzeć się jakiejś metody - powiedział Joe. - Ten facet musi być stuknięty. Jednego nie rozumiem. Dlaczego on zawsze dzwoni akurat do ciebie? Może dlatego, że dzięki tobie nasz wydział znalazł się na pierwszych stronach gazet, kiedy rada miejska próbowała nas wykiwać,

- To jeszcze nie koniec - trzeźwo osądził Zach. - Policja ciągle szpera w ratuszu. Pięć śmiertelnych ofiar pożarów to dla nich wielka gratka. Oczywiście chcieliby przejąć dochodzenie. Dlatego trzeba jak najprędzej znaleźć tego typka.

- To pewne, że nie ułatwia nam roboty.

- Ułatwia czy nie ułatwia, kiedyś dostanę drania!

Joe zawsze stawiał na Zacha. Jeżeli komukolwiek uda się wytropić podpalacza, to tylko jemu. Chapin był najlepszym fachowcem w ich wydziale, z pozoru cyniczny i pozbawiony złudzeń, był jednak wyjątkowo oddany swojej pracy. Poza tym, nikt nie umiał lepiej określić przyczyn pożaru i jego przebiegu.

Zach z uwagą oglądał szerniałe szczątki czegoś, co kiedyś było firmowym magazynem fabryki zabawek.

- Drań! Musiał to zrobić tuż przed Bożym Narodzeniem.

- Nie umie się bawić - sucho stwierdził Joe. - A jeżeli już o tym mowa, czy ty i Eileen nadal macie zamiar spędzić z nami święta?

Zach milczał, z dobrze Joe znanym wyrazem twarzy.

- Tylko mi nie mów, że zerwałeś z Eileen.

- Wcale z nią nie zerwałem - odparł Zach.

- Millie przygotowuje pieczoną gęś, twoje ulubione danie.

- Pieczoną, powiadasz - uśmiechnął się Zach.

- Przepraszam - zreflektował się Joe - w tych okolicznościach nie brzmi to najlepiej.

- Powiedz Millie, że przyjdę. Eileen wybiera się do rodziców do Milwaukee.

- Zostawia cię samego na święta? - Joe obrzucił Zacha podejrzliwym spojrzeniem.

- No to co z tego? - bronił się Zach. - Nie jesteśmy przecież zaręczeni.

Taka sytuacja zresztą najbardziej mu odpowiadała. Miał już za sobą nieudane małżeństwo i to mu w zupełności wystarczyło.

- Nie skacz mi do oczu. Mówię tylko, że nie ma dymu bez ognia - dobrodusznie żartował Joe. - Eileen to dobra dziewczyna. Nawet Millie ją lubi.

Zach zgniótł obcasem niedopałek i ruszył w stronę wypalonego budynku.

- Mogę powiedzieć tylko jedno - rzucił na odchodnym. - Kobiety są bardziej nieobliczalne niż pożary.

W biurze unosił się zapach fajkowego tytoniu. Nad mahoniową boazerią wisały rzędy zdjęć, przedstawiających poważnych mężczyzn w mundurach i strażaków w jaskrawożółtych kombinezonach. Duże okna wychodziły na ulicę. Był szary, deszczowy dzień, a nagie gałęzie drzew pokryły się kryształkami lodu. Rebecca na moment zatęskniła za złotym słońcem Malibu, ale zaraz skoncentrowała uwagę na siedzącym naprzeciw mężczyźnie.

- To naprawdę miło z pana strony - odezwała się dźwięcznym, głębokim głosem, który zjednywał jej tak wielu wielbicieli. Szczęśliwy traf zrządził, że jednym z nich okazał się Peter Fitzgerald, sześćdziesięcioletni komendant straży pożarnej w Bostonie.

Fitzgerald wstał i obszedł biurko.

- Czuję się zaszczycony, że wybrała pani akurat nas, panno Fox. Jest pani moją ulubioną aktorką.

Rebecca z uśmiechem przyjęła jego komplement.

- Na imię mi Rebecca.

- No więc, Rebecco - promieniał komendant- czym możemy pani służyć?

Nie tracąc czasu, przeszła do rzeczy.

- Czy może mi pan powiedzieć, kto jest w tym mieście najlepszym specjalistą od wykrywania podpaień?

- To proste. Zach Chapin - oświadczył Fitzgerald.

- Dawno mógłby być szefem biura, gdyby się nauczył choć odrobiny dyplomacji. Ale tak naprawdę, trudno mi wyobrazić sobie Zacha za biurkiem. Ten człowiek żyje i oddycha ogniem.

Rebecca wychyliła się w stronę Fitzgeralda.

- Niech mi pan powie coś więcej o tym Zachu Chapinie, panie komisarzu.

- A co chciałaby pani o nim wiedzieć? - zapytał Fitzgerald, ze wzrokiem przyklejonym do jej kształtnych nóg.

- Wszystko. Komendant uśmiechnął się.

- No więc... Chapin od siedmiu lat pracuje w wydziale śledczym. Przedtem był strażakiem. Jednym z najlepszych.

- To wspaniale. Na pewno dobrze go pan zna - ucieszyła się Rebecca. Fitzgerald wzruszył ramionami.

- Tego bym nie powiedział. Chyba nikt nie zna go zbyt dobrze. To dziwny facet, raczej zamknięty w sobie.

- Ale przecież musi być ktoś, kto jest z nim blisko.

- No, w jakimś stopniu jego partner, Joe Kelly. Ale...

- Może jakieś bliższe dane? Wiek, kolor włosów, wzrost... stan cywilny? Tego rodzaju rzeczy.

- Z tym chyba nie będzie kłopotu. - Komisarz podszedł do szalki z kartotekami i wyciągnął teczkę Zacha Chapina.

- Zaraz zobaczymy. Wiek - trzydzieści siedem lat wzrost - metr

osiemdziesiąt pięć; włosy - brązowe; oczy - piwne. - Podniósł wzrok na Rebeckę. - Przystojny jak diabli.

Rebecca znów wychyliła się do Fitzgeralda.

- Czy jest żonaty? - spytała. Miała cichą nadzieję, że Chapin nie jest z nikim związany. Żadna kobieta nie byłaby zachwycona, gdyby jej mąż na parę tygodni musiał zostać partnerem hollywoodzkiej bogini seksu.

- Rozwiódł się trzy lata temu. - Fitzgerald w zamyśleniu uniósł wzrok znad papierów. - O ile pamiętam, miała na imię Shirley. Nie, Cheryl. Miła dziewczyna. Z gatunku tych spokojnych. Spotkałem ją parę razy na balu strażaków.

- Mieli dzieci? Fitzgerald zajrzał w papiery.

- Nie. O ile mnie pamięć nie myli, Zach i Cheryl rozstali się tuż przed pożarem Drake'a.

- Jakiego Drake'a?

- To taki hotel w południowej dzielnicy miasta. Kiedyś jeden z lepszych. Potem sąsiedztwo się zmieniło i hotel podupadł. Zaczęli wynajmować pokoje na godziny zamiast na całą noc. Rozumie pani, co mam na myśli?

Rebecca uśmiechnęła się.

- Rozumiem. Czy to była robota podpalacza? Komendant skinął głową.

- Chapin zjawił się na miejscu w samym środku pożaru. To on zorientował się, że w budynku jest uwięziona jakaś młoda dziewczyna. Postanowił zabawić się w bohatera i poszedł ją ratować,

- Udało mu się?

- Kiedy schodzili na dół, runęła klatka schodowa. Wyciągnął dziewczynę, ale... ale było już za późno. Nie mogła mieć więcej niż piętnaście lat. Uciekła z domu...

- To straszne - szepnęła Rebecca. Podeszła do okna i oparła czoło o chłodną szybę.

- Śmierć zawsze jest tragedią. A śmierć dziecka... - na chwilę zamilkł. - Najbardziej przeżywał to Chapin. Obwinił siebie, chociaż nic się nie dało zrobić. Mówił nawet o rezygnacji. Do diabła, ciągle o tym mówi.

Rebecca spojrzała na komendanta.

- Wciąż nie chce przyjąć do wiadomości, że to nie była jego wina?

- Upiera się przy swoim. A jeżeli już o tym mówimy, Chapin na pewno myli się rzadziej niż ktokolwiek inny. Jak już mówiłem, to najlepszy z naszych ludzi. Może nawet jest jednym z najlepszych w kraju.

Prawie go nie słuchała. Idealny wzór, myślała, patrząc na zalaną deszczem ulicę, na którym można zbudować postać Toni Paradisi.

- Zach drogo za to zapłacił. Nie tylko w sensie emocjonalnym - ciągnął komendant. - Nie wyszedł z tego bez szwanku. Wylądował na kilka tygodni w szpitalu, z rozległymi oparzeniami drugiego stopnia i otwartym złamaniem nogi.

Rebecca odwróciła się do komendanta.

- Czy w końcu udało mu się złapać podpalacza? Fitzgerald uśmiechnął się.

- A jak pani myśli?

Zach Chapin siedział w biurze komendanta Fitzgeralda. Sądząc po jego minie, nie był zachwycony. Z niedowierzaniem spoglądał to na swojego bezpośredniego przełożonego, inspektora Mike'a Collinsa, to na Petera Fitzgeralda, który mierzył go surowym wzrokiem zza potężnego, mahoniowego biurka.

- Panowie żartują - powiedział Zach. Niestety wiedział, że na ogół nie trzymały się ich żarty.

- Tylko na dwa tygodnie, Chapin - uspokajał go Fitzgerald.

- Dwa tygodnie? Nie mogę sobie pozwolić nawet na dwie godziny. Przepraszam za porównanie, ale grunt pali mi się pod nogami.

Mikę Collins, szczupły, krótko ostrzyżony trzydziestolatek o olśniewająco białych zębach, mrugnął porozumiewawczo do Fitzgeralda, a potem położył dłoń na ramieniu Zacha.

- Kilka tygodni urlopu na pewno ci nie zaszkodzi, Zach. Ten szaleniec wciągnął cię w swoją grę. Traktujesz to zbyt osobiście. Poza tym, kiedy się dowie, że zostałeś wyłączony ze sprawy, może wreszcie zacznie popełniać błędy...

Zach zbladł z wściekłości.

- Chcecie mnie odsunąć od sprawy? Nie ma mowy. A jeżeli chodzi o osobisty stosunek...

Collins nie śmiał spojrzeć mu w oczy.

- Wyzaczyłem już na twoje miejsce Adamsa. Będzie pracował z Kellym, a ty i panna Fox...

- Możecie o tym zapomnieć! - krzyknął Zach. - Adams nie dostanie mojej sprawy. Jego przydzielcie do tej waszej gwiazdy.

- Prosiła konkretnie o pana, Chapin - powiedział Fitzgerald. - Sama sobie pana wybrała.

Zach poderwał się z krzesła.

- Wrobiliście mnie w jakąś stukniętą gwiazdę filmową, której zachciało się zagrać inspektorę z wydziału podpaleń, a ja mam się czuć zaszczycony, tak?

Fitzgerald rzucił mu miazdzące spojrzenie.

- Panna Fox nie jest żadną stukniętą gwiazdą filmową, Chapin. To zdolna, inteligentna aktorka, która traktuje swoją pracę równie poważnie, jak my.

- To niech sobie poczyta książkę o pożarach.

- Zach...- zaczął Mikę Collins, ale komendant uciszył go gestem ręki.

- To nie jest prośba, Chapin -powiedział dobitnie. - Przez następne trzy tygodnie...

- Przed chwilą mówił pan o dwóch.

- Dwa, trzy, co to za różnica?
- Siedem dni - sucho stwierdził Zach.

Collins skrzywił się. Chapin stracił kolejny punkt. Ale gładkie maniery nigdy nie były mocną stroną Zacha.

- Więc, tak jak mówiłem, Chapin - stanowczym tonem oświadczył Fitzgerald - przez następne trzy tygodnie będzie pan wprowadzał pannę Fox w tajniki naszego zawodu. Oczywiście w granicach bezpieczeństwa. Pokaże jej pan sprzęt, opowie o paru starych sprawach, zaprowadzi na kilka zebrań i zabierze do budynków, które są sprawdzone i absolutnie bezpieczne. Nie chcielibyśmy, żeby coś złego przytrafiło się Rebecce.

- Rebecce? - Zach znacząco uniósł brwi. Komendant przeszył go lodowatym wzrokiem. Mikę Collins coraz bardziej zapadał się w swoim fotelu.

- I jeszcze jedno - dorzucił Fitzgerald. - Ona jest tu incognito. Nikt poza nami nie wie, że jest aktorką. Będzie tu pod nazwiskiem Rebecca McBride i życzy sobie, żebyście ją traktowali tak, jakby była jednym z naszych ludzi. Zach wybuchnął szyderczym śmiechem. Mikę Collins pospiesznie wypchnął go z biura. Obawiał się, że ta cała historia może się źle skończyć dla nich obu.

ROZDZIAŁ 2

Kiedy Zach stanął w progu ciemnej, obskurnej poczekalni, Rebecca natychmiast go rozpoznała. Nie wyglądało na to, by miał ochotę na pierwszy krok. Wobec tego wstała i podeszła do niego, z jednym ze swoich najbardziej ujmujących uśmiechów.

- Zach Chapin to pan, prawda? - Wyciągnęła rękę - Jestem Rebecca... McBride. - Z... Akademii - dorzuciła konspiracyjnym tonem,

Zach Chapin zrozumiał, że wpadł. Niektóre kobiety dla własnego dobra nie powinny być aż tak piękne. I choć Rebecca najwyraźniej dołożyła wszelkich starań, żeby się jak najbardziej oszpecić, nic nie było w stanie przyćmić jej urody.

- Z Akademii Filmowej? - zapytał, patrząc obojętnie na wyciągniętą ku niemu dłoń. Postanowił od razu dać tej kobiecie do zrozumienia, że wybrała nieodpowiedniego człowieka.

Nie zrażona, opuściła rękę i spojrzała na maszynistkę w głębi pokoju. Zniżyła głos do szeptu.

- Myślałam, że komendant wszystko panu wyjaśnił. Nie chcę, żeby ludzie wiedzieli, kim naprawdę jestem. Chcę, żeby mnie wszyscy traktowali jak jedną z was. - Przynęła się jeszcze bliżej. - Czy dostanę broń?

Zach spojrział na nią z politowaniem.

- Tak tylko pytam - mruknęła, wzduszając ramionami.

Tymczasem Zach zaczął uważnie przyglądać się jej włosom, spiętym na karku w ciasny węzeł.

- Czy to peruka? - zapytał.

Zirytowana przygryzła wargi. Wyglądało na to, że czeka ją ciężka przeprawa.

- Nie. To moje własne włosy. Przyciemniłam je trochę. Myślałam, że fryzura...

- A te okulary? - przerwał.

Szczerze mówiąc, wzięła je z rekwizytorni.

- Ma pan coś przeciwko kobietom, które noszą okulary? - spytała zaczepnym tonem.

- Nie, jeżeli ich naprawdę potrzebują. - Zdjął jej z nosa okulary, spojrział przez nie i rzucił na stolik z gazetami. Potem krytycznym wzrokiem zlustrował jej strój - szary wełniany kostium z białą bluzką. W innych okolicznościach

Rebecca za nic na świecie nie pokazałaby się w czymś równie nietwarzowym.

Nagle zrozumiał, że uroda to dopiero połowa problemu Rebecki - a także i jego. Prawdziwy problem czaił się w jej pięknych, orzechowych oczach, pełnych głębokiej determinacji. Jakiś wewnętrzny głos ostrzegał go, że nie da się spławić paroma ogólnymi wskazówkami.

- Jutro proszę założyć dzinsy i jakąś bluzę. To brudna praca. - Jego wzrok powędrował ku stopom Rebecki. Miała na nogach półbuty na dość niskim obcasie, ale i tak byli prawie równego wzrostu. - I adidas - dorzucił. Postanowił nie oszczędzić jej najmniejszej złośliwości.

Starcie z Zachem Chapinem wstrząsnęło Rebecca. Przystudiowała wszystkie dane o tym człowieku, łącznie z kolekcją zdjęć i wycinków z gazet, ale nie spodziewała się, że słynny specjalista od wykrywania podpaleń zrobi na niej aż takie wrażenie. I nie chodziło bynajmniej o to, że był wyjątkowo przystojny, w jakiś drażniący, a zarazem pociągający sposób. W końcu miała do czynienia z wieloma aktorami, którzy w niczym nie ustępowali mu urodą. Najbardziej wytrąciło ją z równowagi lekko znużone spojrzenie jego piwnych oczu i zdecydowany zarys szczęki, kiedy mierzył ją zimnym, obojętnym wzrokiem.

Nie przejmuj się, nakazała sobie w duchu. Przywykłaś do mężczyzn, którzy na twój widok wychodzą ze skóry. Widocznie ten facet jest ulepiony z innej gliny.

- Bluza, dzinsy, adidas - powtórzyła posłusznie. - W porządku. Pan jest moim szefem. Ja jestem tu tylko po to, żeby zgłębić tajniki waszej pracy. Chcę się jak najwięcej od was nauczyć. Muszę się dowiedzieć, co wami kieruje, czego się boicie, co was wzrusza...

- Tylko tyle? - zapytał z ironią w głosie. Rebecca zarumieniła się.

- Oczywiście, na ile to jest możliwe.

Zach parsknął śmiechem, zdjął z wieszaka skórzaną kurtkę i skierował się

ku drzwiom. Porwała płaszcz i wybiegła za nim.

- Zapewniam pana, że nie będę wam przeszkadzać w pracy. Przeczytałam już coś niecoś na ten temat i nauczyłam się niektórych terminów, a komendant opowiedział mi o metodach tropienia podpalaczy.

Zach przystanął i spojrzął na nią przeciągle.

- Zrobił to przy obiedzie czy przy kolacji? Aluzja była oczywista. Oczy Rebecki zaśniły gniewem.

- Przy kolacji. Spędziliśmy uroczy wieczór w „Maison Claire”. Chciałby pan wiedzieć, co zamówiliśmy? A może interesuje pana, co robiliśmy po kolacji?

- W ogóle mnie to nie obchodzi - odpowiedział opryskliwie. - W przeciwieństwie do ciebie, kotku, nie wtrącam się w cudze sprawy.

- Czy do Johna Kelly'ego, swojego partnera, też mówi pan „kotku”? - spytała.

- Nie, bo jeszcze mu życie miłe - rozległ się od drzwi donośny głos.

Do pokoju wtargnął przysadzisty mężczyzna w średnim wieku. Na pokrytej dwudniowym zarostem twarzy Zacha pojawił się nikły rumieniec. Joe Kelly podszedł do Rebecki, przedstawił się i uścisnął jej rękę.

Spojrzała na niego z wdzięcznością. Nareszcie ktoś normalny, kto ma jakieś pojęcie o dobrych manierach.

- Więc to pani jest naszą nową koleżanką? - Kelly obrzucił ją życzliwym spojrzeniem. - Czy pani wie, że jest pani trochę podobna do... tej aktorki... - urwał, patrząc wyczekująco na Zacha. - No, pomóż mi, Zach. Jak ona się nazywa?

Rebecca wstrzymała oddech, ale Zach wzruszył tylko ramionami.

- Nie wiem. Nie chodzę do kina.

Joe jeszcze raz się jej przyjrzał. Zaczęła żałować, że dała sobie zabrać okulary.

- Już wiem. - Joe stuknął się w czoło. - Julia Roberts. - Pomachał im ręką i zniknął w biurze.

Zach odwrócił się i pomaszerował w głąb korytarza. Dopadła go w połowie drogi.

- Dokąd to się mój partner wybiera? Spojrzał na nią i po raz pierwszy się uśmiechnął.

- Do męskiej toalety.

Rebecca czekała, wsparta o ścianę. Zach minął ją, jakby jej w ogóle nie zauważył i poszedł w kierunku schodów. Ruszyła za nim, zgrzytając zębami ze złości.

Depcząc mu po piętach, dotarła do obdrapanego budynku z cegły, przylegającego do Komisariatu Straży Pożarnej. Wewnątrz przestronnej hali stały jaskrawoczerwone wozy strażackie. W rogu, przy stoliku, czterej mężczyźni grali w karty. Żaden z nich nie zwrócił najmniejszej uwagi na Zacha. Ożywili się dopiero na widok Rebecki.

- Hej, Zach, co to za jedna? Jakiś nowy skok w bok? - odezwał się siwy mężczyzna w koszulce Boston Celtics.

O'Donnell, rudowłosy Irlandczyk z twarzą obsypaną piegami, obdarzył ją promiennym uśmiechem.

- Cześć, kotku. Czy ktoś ci kiedyś powiedział, że wyglądasz zupełnie jak ta aktorka...?

- Julia Roberts - podpowiedział Gonzolas, śniady chłopak o ospowatej cerze.

- No jasne, wykapana Julia Roberts - zawtórował mu Bartelli, zwalisty czarnowłosy mężczyzna ze złotym medalikiem na szyi, po czym wszyscy jak na komendę wyszczerzyli zęby w uśmiechu.

Rebecca zrozumiała, że z niej kpią. Widocznie wiadomość o jej prawdziwej tożsamości w jakiś sposób wydostała się poza biuro komendanta

Fitzgeralda. I nawet domyślała się, kto się do tego przyczynił. A teraz ci poczciwi chłopcy, z partnerem Zacha na czele, postanowili urządzić sobie zabawę jej kosztem. Była pewna, że reszta wydziału nie może się doczekać swojej kolejki. No ale przynajmniej, skoro wszyscy i tak już wiedzieli, kim jest, nie będzie więcej musiała robić z siebie straszdyła.

Przysięgając sobie w duchu, że się tak łatwo nie podda, obdarzyła ich zalotnym uśmiechem.

- Niestety, nie jestem Julią. Gdybym nią była, wszyscy dostalibyście autograf.

- Ona i tak nie jest moją ulubioną aktorką - roześmiał się czerwonołłosy O'Donnell. - Za to chętnie wezmę autograf od pani. Zwłaszcza jeżeli da mi go pani razem z tym zdjęciem w czarnej nocnej koszulce, z filmu „Mój porwacz, moja miłość”.

Zach poklepał go po plecach.

- Coś ci się pomyliło, O'Donnell - powiedział. - Panna McBride nie jest żadną aktorką, tylko świeżo upieczoną absolwentką naszej Akademii. Chyba nie chcecie, żeby jej się przewróciło w głowie?

- W żadnym wypadku - mruknął Hoffman, wyskubując nitkę z koszulki.

- Masz absolutną rację, Zach - pokiwał głową Bartelli.

- Jak zwykle - dodał z powagą O'Donnell.

- Najmocniej przepraszam, to wszystko przez te okulary. - Gonzolas sięgnął do kieszeni, udając, że ich szuka.

Rebecca udawała, że nie zwraca uwagi na tę wymianę zdań. Miała wielką ochotę powiedzieć parę słów do słuchu Zacharemu Chapinowi, ale w ostatniej chwili ugryzła się w język. Jeżeli ten facet wyobraża sobie, że uda mu się ją sprowokować i zmusić, by wróciła do Hollywood, to się grubo myli.

Zach zapalił papierosa, a potem chwycił wolne krzesło, odwrócił je oparciem do przodu i przysiadł się do stolika. Więcej wolnych krzeseł nie było.

O'Donnell, najmłodszy z całego towarzystwa, podniósł się, ale Zach jednym spojrzeniem przygwoździł go do krzesła.

- Macie jeszcze coś do dodania w sprawie wczorajszego pożaru, chłopcy?

- Coś ci powiem, Zach. To mi od początku śmierdzi podpaleniem - odezwał się Hoffman.

- Skąd ta myśl?

Rebecca wyjęła z torebki pióro i notes i zaczęła pilnie notować. Zach wymownie wznosił oczy do góry.

- Po pierwsze, to było w niedzielę rano - powiedział Hoffman, przyglądając włosy. - Miejsce dość odludne, W pobliżu nie było nikogo.

- Nawet nocnego stróża? - wtrąciła się Rebecca.

Cztery pary oczu spojrzały na nią, a potem na Zacha.

- Zachorował - wyjaśnił Zach.

- Jak to: zachorował? Nie wydaje się to wam podejrzane? - nalegała Rebecca.

Nie zwracając uwagi na jej pytanie, Zach odwrócił się do strażaków.

- Podobno hydranty nie działały. W raporcie jest napisane, że nie dało się ich uruchomić.

- Pewnie dawno nikt ich nie sprawdzał - stwierdził Gonzolas,

Albo majstrował przy nich podpalacz, zanim podłożył ogień, pomyślał Zach.

Rebecca głośno zastukała piórem w notes.

- Czy jest taka możliwość, że unieruchomił je podpalacz? Przezorny zawsze ubezpieczony, prawda?

Niech jej będzie, pomyślał Zach. Może to nie jest taka kompletna idiotka.

- Jakies podejrzane zapachy? - zapytał. Strażacy przecząco pokręcili głowami. Tylko Bartelli zastanawiał się nad czymś, obracając w palcach medalik ze świętym Krzysztofem.

- No więc? - niecierpliwie spytała Rebecca, nie zważając na piorunujące spojrzenie Zacha. Była z siebie bardzo zadowolona. Nawet nie przypuszczała, że tak szybko wciągnie się w swoją rolę.

- Chcesz coś powiedzieć, Bartelli? - Zach z trudem maskował zniecierpliwienie.

- Wydaje mi się, jakby coś cuchnęło w tylnej części budynku - powiedział Bartelli. - Wszedłem tylnym wyjściem, oczywiście w masce, więc na początku nie czułem nic. Potem, kiedy udało mi się opanować ogień, zdjąłem ją, bo nienawidzę tych cholernych masek.

- Poczujesz coś, kiedy zdjąłeś maskę? - podpowiedział mu Zach.

- Pamiętasz ten pożar na początku tygodnia, w opuszczonym bloku na South End? Tam gdzie odkryliśmy zwłoki tego włóczęgi.

- Tak, pamiętam. - Podpalacz zadzwonił do Zacha w niecałe dziesięć minut po tym, jak budynek wyleciał w powietrze.

- Tam też tak śmierdziało - stwierdził Bartelli. - Albo podobnie.

- W żadnym raporcie nie było na ten temat ani słowa - burknął Zach.

Bartelli wzruszył ramionami.

- Nie byłem pewny, a nikt inny poza mną niczego nie poczuł. Poza tym mam wyjątkowo wrażliwy nos.

- I do tego wielki jak trąba - mruknął O'Donnell.

Strażacy wybuchnęli śmiechem. Na twarzy Zacha nie drgnął nawet najmniejszy muskuł. Pozbawiony poczucia humoru, zanotowała Rebecca w swoim notesie.

- Możesz opisać ten zapach? - spytał Zach, rozgniatając obcasem niedopałek.

- Coś jakby... amoniak. Zach powoli pokiwał głową.

- W porządku, chłopaki. Dziękuję. - Wstał i udając, że nie widzi Rebecki, ruszył w stronę wyjścia.

W pośpiechu wrzuciła notatki do torebki, uśmiechnęła się do strażaków i pobięła za Chapinem. Właśnie wtedy po raz pierwszy zauważyła, że utyka. Pamiątka po pożarze hotelu Drake'a? Poczwała przyplływ współczucia.

Dopadła Zacha, kiedy wsiadał do obdrapanego, czerwonego forda, zaparkowanego po drugiej stronie ulicy.

- Dokąd teraz jedziemy? Albo nie, proszę mi nie mówić - uniosła rękę. - Do męskiej łazni parowej?

Usta Zacha nieznacznie drgnęły. Otworzył drugie drzwi wozu.

- Mój jaguar jest w warsztacie - oświadczył. Wsiadając poczuła za plecami jego rękę. Odsunęła się, lekko spłoszona. Zach wyciągnął spod niej zgniecione pudełko papierowych chusteczek do nosa.

- Mam alergię - mruknął. Rozsiadł się za kierownicą i znów zapalił papierosa.

- Myśli pan, że Bartelli rzeczywiście poczuł amoniak? Czy można wzniecić pożar, używając amoniaku? Czy to może być znak szczególny podpalacza?

Zach przekręcił kluczyk i uruchomił silnik.

- Nie mówmy o tym - powiedział.

- W „Błękitnym płomieniu” podpalacz posłużył się substancją uzyskaną z toksycznych odpadów.

- Już mówiłem, że nie będziemy o tym rozmawiać.

- Przecież oboje słyszeliśmy...

- Pani nic nie słyszała - przerwał jej szorstko.

- Nie rozumiem.

- To dobrze. O to właśnie chodzi. Zwłaszcza - dorzucił po chwili - jeżeli ma pani ochotę na dalsze randki z naszym komendantem.

- To nie była randka - zaprotestowała Rebecca.

- Nie kłóćmy się o słowa.

- Więc pan nie chce, żebym powtórzyła komendantowi pańską rozmowę

ze strażakami? Dlaczego? Przecież na tym polega pańska praca.

- Nie za dużo tych pytań?

- A może to, co pan robił, nie należy do pańskich obowiązków? Może wszedł pan na czyjeś podwórko, Zach?

- To moja sprawa. Jasne? Rozpracowujemy ją z Joe od ponad dwóch miesięcy. Co tydzień pożar. W zeszłym tygodniu nawet dwa. Facet bierze coraz większe tempo. Musimy go wyprzedzić, zanim zacznie po sobie zostawiać stosy trupów.

- Komendant odebrał panu tę sprawę z mojego powodu, prawda? Bo jest zbyt niebezpieczna? To dlatego przyjął pan moje towarzystwo bez zachwyty, oględnie mówiąc...

Zach popatrzył na nią. W jego piwnych oczach pojawił się jakiś nowy błysk. Może uznania?

- Jest pani mądrzejsza, niż myślałem.

To chyba miał być kpmplement. Rebecca rozpromieniła się.

- Ale i tak jest pani jak pryszcz na tyłku. Uśmiech zamarł na ustach Rebecki.

- Przecież ja jestem po pana stronie. Chcę tylko, żebyśmy razem wytropili tego podpalacza.

- My? Nic z tego.

- To właśnie powtórzę komendantowi. Mówił, że wpadnie sprawdzić, jak nam się razem pracuje.

Zach pokręcił głową. Hm... Szantaż. To świetnie.

Rebecca ciaśniej owinęła się płaszczem. Brak ogrzewania w samochodzie i chłód bijący od Zacha Chapina zaczęły ją przyprawiać o dreszcze.

- W jaki sposób podpalacz podkłada ogień? Ma pan jakieś hipotezy? Czasami, żeby znaleźć odpowiedź, trzeba zacząć wszystko od początku. Tak przynajmniej zrobiła Paradisi.

- Jaka znowu Paradisi?

- Bohaterka „Błękitnego płomienia”. Chcę stworzyć jej postać, wzorując się na panu.

Zach z rezygnacją pokręcił głową i utkwiał wzrok w jadący przed nimi samochód.

- Wiem, że to tylko film, ale tak się akurat złożyło, że scenarzysta był kiedyś strażakiem. I wyjątkowo starannie zapoznał się z tematem, nim zaczął pisać scenariusz.

Zach uparcie milczał.

- Czy zawsze jest pan taki rozmowny, czy tylko w moim towarzystwie?

Gwałtownie zahamował na światłach, odwrócił się do Rebecki i spojrzał jej prosto w oczy.

- Wyłącznie w pani towarzystwie - wycedził przez zęby.

- To pan się uparł, że nic z tego nie będzie, jeszcze zanim mnie pan w ogóle zobaczył - powiedziała z wyrzutem, a po chwili cicho dodała: - Mógłby mi pan przynajmniej dać szansę.

Ale Zach był nieugięty.

- Ja nie miałem w tej sprawie nic do gadania. To ty mnie wybrałaś, złotko. Ale gdybyś przypadkiem zmieniła zdanie...

Ponętne usta Rebecki wygięły się w prowokacyjnym uśmiechu.

- O nie, Zach. Nigdy nie zmienię zdania. Jesteś dokładnie taki, jak to sobie wymarzyłam. Albo jeszcze lepszy.

Zach mruknął coś pod nosem. Rebecca nie przestawała się uśmiechać.

Po piętnastu minutach zatrzymali się przed budynkiem z czerwonej cegły, przy jednej z cichych uliczek na przedmieściach Bostonu.

- Gdzie jesteśmy? - spytała Rebecca. Zach otworzył drzwi wozu.

- W kostnicy.

- W kostnicy? - powtórzyła, głośno przełykając ślinę.

- Poczekaj tu - rzucił ostro. - Muszę porozmawiać z lekarzem o zwęglonych zwłokach, które moi chłopcy znaleźli w poniedziałek wieczorem.

Rebecca wzięła się w garść. Wsiadła z samochodu i dogoniła Zacha tuż przed wielkimi, szklanymi drzwiami.

- Zdaje mi się, że kazałem ci poczekać w samochodzie.

- Jak mam się zapoznać z metodami waszej pracy, jeżeli będę siedziała w samochodzie? A poza tym, w „Błękitnym płomieniu” jest jedna scena w kostnicy. Paradisi ma przeczucie, że...

- Dziękuję. Zaczekam na film.

- Myślałam, że nie chodzisz do kina.

- Ale dla ciebie zrobię wyjątek.

- Czuję się zaszczycona - mruknęła.

- Byłaś już kiedyś w kostnicy?

- No... nie. Ale to należy do...

- Wiem. Do podstawowych obowiązków w moim fachu. - Z przesadną galanterią otworzył drzwi i puścił Rebeccę przodem. - Niech będzie, jak chcesz, złotko.

- Mógłbyś darować sobie te czule słówka - rzuciła z impetem godnym hollywoodzkiej gwiazdy odważnie wkroczyła do kostnicy.

ROZDZIAŁ 3

Gabinet lekarza sądowego nie miał w sobie nic z ponurej sterylności kostnicy. Także lekarz - dr Foster - okazał się jowialnym mężczyzną w średnim wieku, o rumianych policzkach i szerokim, serdecznym uśmiechu. Kiedy Zach przedstawił mu Rebecce jako pannę McBride, swoją aktualną asystentkę, nie

było żadnych znaczących uśmieszków ani żartów na temat Julii Roberts. Rebecca odetchnęła z ulgą. Ta wizyta mogła mieć dla niej kolosalne znaczenie.

- Mam tu coś dla was. - Foster uśmiechnął się, ale zaraz spoważniał. Otworzył album i wyjął jedną z fotografii. - Paskudna sprawa. Ogień strawił prawie wszystkie rzeczy tego biedaka. Obawiam się, że identyfikacja jest niemożliwa.

Rebecca poczuła, że robi jej się słabo. Jednak pod badawczym spojrzeniem Zacha przybrała obojętny wyraz twarzy. W końcu, czyż jej praca nie polegała na udawaniu?

- A kartoteki dentysty? - spytał Zach. Foster przecząco potrząsnął głową.

- Żadnych zębów. Chyba że znajdziecie coś w gruzach.

Zach powoli tracił nadzieję, że uda się zidentyfikować tego człowieka. Zostanie pochowany pod nazwiskiem John Doe, podobnie jak wielu bezimiennych zaginionych w tym mieście. Ale jego śmierć nie pójdzie na marne, jeżeli właśnie poprzez niego uda im się dotrzeć do podpalacza.

- Zaczynam podejrzewać, że podpalacz stosuje kwas azotowy lub jego pochodne - odezwał się Zach. - Dobrze by było, gdyby udało się wykryć na zwłokach bodaj ślad tej substancji.

- Tutaj trudno mówić o zwłokach - zauważył Foster. - Jeżeli macie trochę czasu, możemy zejść na dół. Zobaczymy, co się da zrobić. Mógłbym pobrać próbki i przeprowadzić wstępne badanie.

Mężczyźni wstali. Rebecca nadal tkwiła w fotelu. Zach pochylił się nad nią z udaną troską.

- Możesz tu poczekać, złotko.

- Nie ma mowy. - Zerwała się na równe nogi. Punkt za upór i dumę, pomyślał Zach. Prawdę mówiąc, mieli ze sobą wiele wspólnego. Znacznie więcej niż mogłoby się wydawać na pierwszy rzut oka.

Sala, w której przeprowadzano sekcję, nie miała w sobie nic z przytulnej

atmosfery gabinetu doktora Fostera, Zimne, fluorescencyjne światło lamp odbijało się od lśniącej podłogi i wykładanych białymi kafelkami ścian. Na trzech sekcyjnych stołach pod prześcieradłami leżały zwłoki - albo raczej to, co z nich pozostało.

W powietrzu unosił się ostry zapach środków konserwujących. Rebecca poczuła narastające mdłości. Kątem oka dostrzegła, że Zach uważnie jej się przygląda. Do diabła z tym facetem!

Podeszli do stołu, na którym spoczywały nie zidentyfikowane zwłoki. Kiedy Foster chwycił skraj prześcieradła, żeby je unieść, Zach powstrzymał go. Nagle obudziły się w nim wyrzuty sumienia. Po co właściwie zmusza Rebecce do uczestniczenia w tym makabrycznym widowisku?

- Posłuchaj, złotko, to nie będzie przyjemne. Sam widziałem, jak kilku moich kumpli przy tym zemdlało.

Rebecca głośno chrząknęła.

- Dam sobie radę - powiedziała zmienionym głosem. Skoro postanowiła na jakiś czas utożsamić się z Toni Paradisi, musi stawić czoło wyzwaniu.

Kiedy prześcieradło uniosło się, odsłaniając zwęglone szczątki czegoś, co kiedyś było ludzką istotą, zbladła jak kreda.

Zachwiała się, ale zaraz się wyprostowała. Zach widział to, uznał jednak, że stoi dość blisko, by ją w razie czego podtrzymać, nim wyląduje na podłodze.

- Dobrze się pani czuje? - zapytał Foster, patrząc na jej pobladłą twarz.

- Nic mi nie jest - odpowiedziała schrypniętym głosem.

Foster wziął z tacki cienki, ostry skalpel i zeskrobał trochę spalonej skóry z czegoś, co kiedyś było ludzką stopą. Rebecca śledziła jego ruchy z jakąś niezdrową fascynacją. Ku zdumieniu wszystkich nadal mocno trzymała się na nogach.

Kiedy po kilku minutach opuszczali kostnicę, Zach czuł się podwójnie rozczarowany. Nie tylko wstępne badanie nie wykazało żadnych śladów kwasu

azotowego, ale na domiar wszystkiego Rebecca Fox okazała się znacznie groźniejszym przeciwnikiem, niż się tego można było spodziewać. Patrząc na determinację, z jaką starała się dotrzymać mu kroku, musiał przyznać, że zaczyna odczuwać do niej coś w rodzaju szacunku.

Kiedy wyszli na dwór, Rebecca z ulgą odetchnęła rześkim, grudniowym powietrzem.

- Jesteś głodna? - uprzejmie spytał Zach. Jedzenie było ostatnią rzeczą, na jaką miała teraz ochotę. Albo.,, nie. Ostatnią rzeczą, na jaką miała ochotę, było oddanie Zachowi bodaj jednego punktu z jej konta.

- Jasne - odpowiedziała z entuzjazmem godnym Sary Bernhardt. - A co jedzą na lunch inspektorzy z wydziału podpaleń?

- Zaraz się przekonasz. Mój ulubiony lokal jest tuż za rogiem - poinformował ją, wsiadając do samochodu.

Wyobrażam sobie, co to za lokal, pomyślała Rebecca. Hałas, dym z papierosów i tłuste jedzenie. Trudno... Zamówi sałatkę. Bez żadnych dodatków. To chyba jej nie zaszkodzi?

Lokal „Pod Czerwonym Skrzydłem” bardziej przypominał bunkier niż restaurację. Kiedy weszli do środka, uderzył ich zapach starego tłuszczu i palonej kawy. Długi, obdrapany blat dzielił salę na dwie części. Po obu jego stronach ustawiono plastikowe kabiny. Każdy boks miał własną grającą szafę. Skoczne tony muzyki country zwiłokrotnionym echem odbijały się od gołych ścian.

Jak na razie, byli jedynymi gośćmi.

- Ta dziura cieszy się dużym wzięciem - zauważyła Rebecca, kiedy wcisnęli się do jednej z zielonych kabin i usiedli przy stoliku.

- Po drugiej robi się tu pusto. Mają tu najlepsze hamburgery w mieście - wyjaśnił Zach, po czym zamówił „dwa podwójne ze wszystkimi dodatkami”.

- Myślałam o sałatce... - zaczęła.

- W żadnym wypadku. Mają tu wstrętne sałatki - przerwał jej. - A poza tym, czy taka gorąca kobieta jak Toni Parisi wzięłaby sałatkę?

- Paradisi - poprawiła go cierpkim tonem. Zach uśmiechnął się niedbale. Rebecca poczuła lekki ucisk w gardle. Mimo wszystko uśmiech Zacha robił na niej pewne wrażenie.

Zauważyła nawet drobne zmarszczki wokół jego oczu. Może nie był tak całkiem pozbawiony poczucia humoru? Może trzeba go dopiero lepiej poznać? Ale czy można kogoś dobrze poznać w ciągu trzech tygodni? Zwłaszcza jeżeli ten ktoś nie wita cię z otwartymi ramionami?

- Byłaś tam naprawdę dobra - odezwał się nagle Zach.

Nie był to wyszukany komplement, mimo to sprawił jej przyjemność.

Kelnerka przyniosła dwie szklanki wody. Zach posłał jej wesoły uśmiech.

- Pyszne jedzenie, wspaniała atmosfera i życzliwy personel - zwrócił się do Rebecki. - Założę się, że po powrocie będzie ci tego brakowało.

- Jeszcze nigdzie nie wracam - zauważyła.

- To naprawdę nieprzyjemna praca, Rebecca. Jeden punkt za to, że nazwał mnie po imieniu, pomyślała. Po raz pierwszy. To już jakiś postęp.

- Muszę zagrać moją rolę jak najlepiej. Jestem to winna mojej publiczności... - zaczęła.

Zach wzniosł oczy do góry.

- Czego się boisz? - natarła na niego ostro. - Nie sprawię ci kłopotów. Daję słowo, że nie będziesz mnie musiał zbierać z podłogi...

W tym momencie postawiono przed nimi dwa olbrzymie hamburgery naszpikowane serem, cebulą, pieczarkami i boczkiem. Już sam ich zapach przyprawił Rebecę o mdłości. Z rosnącym obrzydzeniem patrzyła, jak Zach rozkłada bułkę i z plastikowej butelki wyciska na spieczone mięso obfitą porcję krwistoczerwonego keczupu.

Nagle w oczach stanął jej obraz zwęglonych zwłok, które przed chwilą

oglądała w kostnicy. Cicho jęknęła. Świat zawirował wokoło. A potem wszystko rozplynęło się w ciemności...

Ocknęła się, kiedy wóz Zacha z piskiem zahamował przed eleganckim hotelem na Newbury Street.

- Co się stało? - spytała zdezorientowana.

- A jednak musiałem cię zbierać z podłogi - wyjaśnił, patrząc na portiera w czerwonej liberii, który podbiegł, żeby im otworzyć drzwi.

- Skąd wiedziałeś, że tu mieszkam?

- To moja praca - odpowiedział, unosząc w górę klucz, który znalazł w jej torebce. - Muszę ją wykonywać jak najdokładniej. Jestem to winien mojej publiczności.

Wyrwała mu klucz z rąk.

- To dopiero pierwsza runda, Chapin.

- Nie wiem, kotku. Biorąc pod uwagę okoliczności, był to raczej nokaut.

Rebecca wyskoczyła z samochodu i kipiąc ze złości, wbiegła do hotelu.

Bar O'Malleya znajdował się o dwa kroki od Komisariatu Straży Pożarnej i był ulubionym miejscem spotkań strażackiej braci. Zach ostatnio starał się nie pić, mimo to uważał, że właśnie tam można się najlepiej odprężyć. A tego właśnie potrzebował.

O tej porze bar był prawie pusty. Strażacy zjawiali się dopiero po skończonej zmianie. Zach rozejrzał się wokoło. W odległym kącie dostrzegł znajomą twarz. Wziął kufel i ruszył w tamtą stronę.

Joe Kelly kończył właśnie drugie piwo.

- Kiepsko wyglądasz - stwierdził Zach, dosiadając się do stolika. - Zresztą ja też się kiepsko czuję.

- Jeden dzień z Adamsem i już chodzę po ścianach - podsumował Kelly

swojego nowego partnera. - Wszystko musi być jak w instrukcji. Ten facet zna ją na pamięć, punkt po punkcie. Pewnie to jakiś prymus ze szkoły niedzielnej.

- Chętnie bym się z tobą zamienił.

Joe z powątpiewaniem pokręcił głową.

- Na Rebeccę przynajmniej miło popatrzeć. I założę się, że ładnie pachnie. Wąchałeś chociaż raz tę wodę po goleniu, którą Adams zlewa się od stóp do głów?

- Ale ty nie musiałeś reanimować Adamsa. Joe uniósł do ust kufel i spojrzał na Zacha.

- Zemdląca czy ją znokautowałeś?

- Bardzo śmieszne - burknął Zach.

Joe odstawił kufel i nachylił się nad stolikiem.

- No więc, Zach, jak to jest, kiedy się spędza cały dzień z taką seksbombą? Oczy Zacha zwięzły się w szparki.

- To piekło - jęknął. Pociągnął łyk piwa i krzyknął do kelnerki, żeby przyniosła mu dużą szkocką. Natychmiast,

- Nie piłeś od dłuższego czasu, Zach. - Joe lekko się zaniepokoił. Po swoim rozwodzie i pożarze hotelu Drake'a Zach przez jakiś czas pił na umór. Dopiero Joe udało się go przekonać, że w ten sposób nie uwolni się od dręczących go koszmarów.

Zach westchnął, ale odwołał zamówienie.

- To szczyt idiotyzmu. - Zmęczonym wzrokiem popatrzył na Joe. - Co ona tu w ogóle robi? Dlaczego akurat mnie wybrała na swoją niańkę?

- Bo jesteś najlepszy - roześmiał się Joe.

- Jeżeli kilka godzin z tą kobietą zupełnie mnie wykończyło, co będzie po trzech tygodniach?

- Rzecz w tym, że wybrała najgorszy moment. A tak przy okazji, Collins kazał ci przypomnieć, że masz od tej pory informować mnie albo Adamsa o

każdej próbie nawiązania kontaktu z podpalaczem.

- Nie chcę więcej słyszeć o Adamsie - zachnął się Zach. - To nadal moja sprawa. Prowadzimy ją razem, ty i ja.

- Ale...

- Przez jakiś czas nie będziemy pracować we dwójkę, to wszystko. - Zach odstawił kufel, zapalił papierosa i dokładnie zrelacjonował Joe poranną rozmowę ze strażakami i przebieg wizyty w kostnicy.

Joe w zamyśleniu potarł podbródek.

- Kwas azotowy, prawda?

- Wstępne testy Fostera niczego nie wykazały, ale chcę jeszcze trochę powęszyć.

- A co z twoją nową partnerką? - zainteresował się Joe.

- To nie partnerka. To kula u nogi - sprostował Zach.

Joe uśmiechnął się szeroko.

- Moja Millie kompletnie zwariowała na jej punkcie. Obejrzała wszystkie jej filmy. Ja też rzuciłem okiem na ten ostatni - „Mój porywacz, moja miłość”. - Nad kołnierzykiem Joe wykwitł nagle krwisty rumieniec.

- Muszę przyznać, że nawet mi się podobał. Na ogół nie lubię takich rzeczy. Karate, kungfu, Schwarzenegger - to co innego. Ale jedno mogę powiedzieć o Rebecce Fox. Ona umie grać. I jak przy tym wygląda...

Zach słuchał go z dezaprobatą.

- Mówisz serio? Może chciałbyś jej fotografię z dedykacją? „Drogiemu Joe od...”

- Ja nie, ale Millie na pewno. No, może niekoniecznie akurat z takim podpisem...

Zach ukrył twarz w dłoniach.

- Dlaczego coś takiego musiało spotkać akurat mnie?

- Szczerze mówiąc, Millie ma nadzieję, że będzie mogła ją poznać.

Dzieciaki też. - Joe zawahał się. - Millie... hm... pomyśleliśmy sobie, że skoro Eileen wyjeżdża na święta, może mógłbyś...

Zach poderwał się jak oparzony.

- Chcielibyście, żebym przyprowadził ją do was na świąteczny obiad? Nie ma mowy. Wystarczy, że w pracy mam ją cały czas na głowie.

- Opanuj się. Wiesz, ilu facetów dałoby sobie uciąć rękę za jeden wieczór z kimś takim jak Rebecca Fox?

- Widocznie jestem inny.

- Więc postaraj się zapomnieć o tym, że jest gwiazdą. Ona tego właśnie chce.

- Jasne. I na ogół dostaje to, czego chce. - Zach aż zatrzęsł się z oburzenia.

- Racja - przyznał Joepo namyśle, a potem uśmiechnął się znacząco. - Na twoim miejscu miałbym się na baczności. A nuż dojdzie do wniosku, że chce właśnie ciebie?

Kiedy Zach wyszedł od O'Malleya, dochodziła czwarta. Dawno już zapadł wilgotny, zimowy zmierzch, a on wciąż stał na ulicy i nie mógł się zdecydować, co z sobą począć. Żołądek głośnym burczeniem przypominał mu, że tego dnia nie jadł lunchu. Rebecca zemdliała dokładnie w chwili, kiedy miał zatopić zęby w soczystym hamburgerze.

Przypomniawszy sobie wstrząs, jakiego doznał, podnosząc z ziemi nieprzytomną Rebecę. Niósł ją potem bezwładną do samochodu i choć nie była lekka, wydawało mu się, że jest jakby stworzona, by spoczywać w jego ramionach. Na chwilę puścił nawet wodze fantazji. Ale tylko na chwilę, bo zaraz przywołał się do porządku.

Przeszedł na drugą stronę ulicy, do barku z sałatkami. Do diabła z biurem! Kupi coś do jedzenia i pójdzie do domu. Pulsujący ból rozsadzał mu czaszkę. Musiał wypić za dużo piwa. Albo... nie. To na pewno wina Rebecki. Znowu

zaczął o niej myśleć.

Niedobrze... Jeżeli już miał tracić czas na rozmyślania o kobietach, to powinna to być Eileen. Słodka, wyrozumiała Eileen, która wspólnie z nim kibicowała Boston Celtics. Eileen była chodzącą doskonałością. A jeśli tak, to skąd ta wizja pięknej, zmysłowej Rebecki w jego ramionach...?

Z determinacją zacisnął usta. Musi wyrzucić ją ze swoich myśli. Może uda mu się dokonać tego z pomocą sałatki i Boston Celtics? Miał nadzieję, że będą grali tego wieczoru. Kiedy oglądał dobry mecz koszykówki, zapominał o bożym świecie.

Dziwnym zrządzeniem losu barek sąsiadował z wypożyczalnią kaset. Z ust Zacha wyrwało się głośne przekleństwo. Znowu ona. W samym środku witryny naturalnej wielkości plakat. Ognistoczerwone litery zdawały się krzyknąć: „Spłonęła w ogniu miłości. A u dołu afisza podpis, również czerwony: „Cudowna, oszałamiająca Rebecca Fox w swoim najnowszym filmie Mój porywacz, moja miłość". I wreszcie sama Rebecca. Prowokacyjnie rozciągnięta na olbrzymim, rzeźbionym łożu. W czarnej koszulce, z rękoma przywiązany do wezłowia białym, jedwabnym szalem. I wcale nie wygląda na nieszczęśliwą... Wzrokiem pełnym miłości wpatruje się w mężczyznę, którego sylwetka ciemnym konturem rysuje się na tle otwartych drzwi. On na pewno też na nią patrzy. I czuje to samo co Zach...

Temperatura na dworze dawno spadła poniżej zera, ale Zach wciąż stał przed witryną, zlany potem. W głowie kłębiły mu się najdziwniejsze erotyczne fantazje, a on przeklinał je i na próżno starał się stawić im czoło.

Opanowała go pokusa, żeby wrócić do O Malleya i jednak zafundować sobie podwójną whisky. Nie wrócił jednak do baru. Ani też nie kupił sałatki. Wiedziony przemożną siłą, wszedł do wypożyczalni i poprosił o film „Mój porywacz, moja miłość".

Na początku jest ciemno, zbyt ciemno, żeby cokolwiek zobaczyć. Potem do pokoju zaczyna się sączyć słabe światło. Sypialnia. Czarna koszulka, ciśnieta na podłogę obok dzinsów i koszuli. Dwie sylwetki - mężczyzny i kobiety - splecione w miłosnym uścisku na olbrzymim, rzeźbionym łożu. Kryształowe lustro na ścianach i suficie zwielokrotniają odbicia nagich ciał. Muskularne ramiona mężczyzny błędzą po złocistej skórze kobiety. Ciche tony „Czarodziejskiego fletu” Mozarta przeplatają się z urywanymi oddechami kochającej się pary.

Mężczyzna zagarnia pod siebie kochankę. Ciało kobiety wygina się w łuk. Napina ramiona, przywiązane do wezglowia białym szalem. Oczy ma zamknięte, z jej ust wyrywa się jęk. Ale nie bólu - tylko napiętości.

Mężczyzna ujmuje w dłonie jej twarz i zaczyna ją całować - mocno, natarczywie. Kobieta wije się pod nim, owdadnięta tą samą pasją. Kiedy wreszcie mężczyzna ją puszcza, usta kobiety zbliżają się do jego ramienia. Wbijają w nie zęby. Mężczyzna krzywi się z bólu, ale zaczynają całować coraz mocniej.

- Mam cię uwolnić?*
- Tak — odpowiada cicho kobieta.*
- Dlaczego?*
- Bo i tak od ciebie nie odejdę.*

Przez kilka sekund patrzą sobie w oczy.

- A jeżeli to ja każę ci odejść? Kobieta uśmiecha się prowokacyjnie.*
- Zrobiłbyś to?*
- Tak... Nie... Zresztą i tak odejdziesz, bez względu na to, czego ja chcę. I czego ty sama chcesz.*

Cień smutku przemknął przez jej piękną twarz.

- Więc mnie nie uwalniaj.*

Mężczyzna miażdży ją w uścisku. Patrzą na siebie płonąącym wzrokiem.

Ręce kobiety usiłują rozerwać krepujące je więzy. Mężczyzna dotyka jej pełnych, nabrzmiatych piersi.

Stapiają się w jedno. Ręce mężczyzny wsuwają się pod kształtne pośladki kobiety, unosząc ją w górę.

Kochankowie pochłaniają się nawzajem. Z ust kobiety wyrywa się krzyk pełen dzikiej namiętności. Muzyka gra coraz głośniejsze i głośniejsze...

Zach drżącymi palcami wyłączył wideo i opadł na sofę. Oddychał z najwyższym trudem. Pot wąską strużką spływał mu z czoła. Wpatrzony w ekran pulsujący błękitną poświatą, próbował zlekceważyć ból, tępo promieniujący od lędźwi. Trzeba było obejrzeć mecz. Albo robić cokolwiek, byle tylko nie oglądać tego idiotycznego filmu.

Nagle poczuł się jak podglądacz. Nie ośmieli się jutro spojrzeć Rebecce w twarz. Co prawda, to tylko film. A ich miłość była udawana. Nawet nie dopuszczał do siebie myśli, że mogło być inaczej. Ale Rebecca była naga. I to była rzeczywistość. Jej pełne piersi i krągłe pośladki...

Nagle wyobraził ją sobie rozciągniętą na jego własnym łóżku. U jego boku. Z wyprężonymi ramionami. Zresztą - nie. Po co te więzy? Nie gustował w takich rzeczach. Wolałby czuć, jak jej ramiona obejmują go i pieczą, podczas gdy on zdobywa jej ciało...

Zwilżył językiem wyschnięte wargi. Żołądek głośnym burczeniem znów dał znać o sobie. Otworzył lodówkę. Nie było w niej nic godnego uwagi. Suchy chleb i kawałek spleśniałego sera. I kilka puszek piwa. Jego wzrok padł na puste pudełko po kasecie, ozdobione miniaturową wersją plakatu. Na ekranie Rebecca wyglądała lepiej. A jeszcze lepiej w rzeczywistości, nawet incognito. Chwycił pudełko i cisnął je w drugi koniec pokoju.

Zapalił ostatniego papierosa. Zaciągnął się łąpczywie raz i drugi i poczuł, że musi natychmiast wyjść. Pójdzie do włoskiej knajpki na North End i zamówi

sobie wielki, dymiący półmisek spaghetti z pomidorowym sosem.

Albo jeszcze lepiej. Zadzwoni do Eileen i zaprosi ją na spaghetti. Słodką, cudowną, nieskomplikowaną Eileen... Ich miłość w najmniejszym stopniu nie przypominała tego, co przed chwilą oglądał. Ale przecież to była najczystsza fikcja. Magia kina. Właściwe oświetlenie, stosowna muzyka, reżyser ustalający najkorzystniejsze ujęcia.

Jego myśli znów zaczęły błądzić wokół Rebecki. Jaka jest naprawdę, poza planem? Czy jej ciało zawsze tak lśni? Czy w życiu jest równie namiętna? Czy to możliwe, żeby w rzeczywistości było aż tak dobrze? A może jest jeszcze lepiej?

Zaklął.

Powinien myśleć o Eileen, a nie o tej hollywoodzkiej bogini seksu. Chwycił słuchawkę i zaczął wykręcać numer Eileen.

Wykręcił trzy cyfry i zmarszczył brwi. A niech to! Jakie są ostatnie cztery cyfry? 7624? 7426? 7246?

Rzucił słuchawkę ze złością. Zresztą i tak nie miał ochoty na randkę. Nie byłoby z niego pociechy tego wieczora. Był w fatalnym nastroju, zbyt napięty, zbyt rozdrażniony. I nie chodzi o to, że Eileen mogłaby mu odmówić. Prawda była taka, że to on nie chciał Eileen.

Porwał płaszcz i wybiegł z mieszkania. Drzwi zatrzęsły się z hukiem. Ekran telewizora wciąż pulsował błękitną poświatą...

ROZDZIAŁ 4

W pokoju hotelowym Rebecca kończyła pakować swoje rzeczy. Gail przyglądała jej się z niemą dezaprobatą.

- Nie rozumiem cię - powiedziała w końcu. - Przecież mogłabyś żyć swoją rolą w dzień, a na noc wracać do apartamentu w hotelu.

- Wyobraź sobie - tłumaczyła jej Rebecca - będziesz miała cały apartament tylko dla siebie. Możesz nawet urządzić tu święta dla całej rodziny.

- Już to sobie wyobrażam. - Gail sceptycznie pokiwała głową. - Moja rodzina to prości ludzie. Pewnie nawet nigdy nie byli na Newbury Street.

- Prości ludzie. O to mi właśnie chodzi. - Rebecca zaczęła rozczesywać włosy, wilgotne po niedawnej kąpieli. Były znów płomiennokasztanowe, bo brązowa płukanka zmyła się pod prysznicem, a Rebecca uznała, że nie ma sensu robić jej po raz drugi.

- Nie słuchasz, co do ciebie mówię. Chodzi o to...

- Gail, nie masz jakiejś starej bluzy? Gail wzniosła oczy do góry.

- Rozumiem - powiedziała Rebecca. - Może wobec tego mogłabyś wyskoczyć do sklepu i kupić mi parę rzeczy. Ja tymczasem skończę się pakować.

- Jakich rzeczy? - zaniepokoiła się Gail.

- Bluzy, dzinsy, tenisówki, adidas; Rozmiary znasz. Może jest tu w pobliżu jakiś sklep z używaną odzieżą.

- Rebecco...

Zadzwonił telefon. Gail podniosła słuchawkę i mruczając coś pod nosem, podała ją Rebecce.

- Komendant straży pożarnej - zaanonsowała.

- Peter! - Rebecca z uśmiechem porwała słuchawkę. - To miło z twojej strony, że tak szybko dzwonisz. Udało ci się coś załatwić?

Słuchając odpowiedzi, porozumiewawczo mrugnęła do Gail i wolną ręką wskazała drzwi.

- Cudownie! Fantastycznie! Nie, najlepiej już na tę noc. Jesteś pewny, Pete? Trudno mi powiedzieć...

Nie czekając na koniec rozmowy, Gail narzuciła płaszcz i ciężko wzdychając, wyszła z pokoju.

Stał w cieniu opustoszałej, przeznaczonej do remontu kamienicy, nie zwracając uwagi na wilgotne płatki śniegu, topniejące na jego granatowym płaszczu. Postawił kołnierz i naciągnął głębiej na oczy czarną, wełnianą czapkę. Nie dlatego, że było mu zimno, ale żeby jeszcze bardziej wtopić się w ciemność.

Z narożnego baru wyszła kobieta i na moment oparła się o ścianę. Była lekko pijana, ale całkiem niebrzydka. Mogła mieć jakieś trzydzieści pięć - czterdzieści lat. prostytutka albo nie wiedząca, co zrobić z czasem samotna pielęgniarzka czy sekretarka. Innym razem na pewno by ją zaczepił. Posłużyłby się swoją starą, wypróbowaną sztuczką. Powiedziałby jej, że jest strażakiem. Kobiety zawsze paliły się do strażaków.

Kiedy brama kamienicy naprzeciwko otworzyła się, natychmiast zapomniał o tej kobiecie. Z zaciśniętymi ustami patrzył, jak Zach Chapin wybiega na ulicę, szarpiąc zamek swojej skórzanej kurtki strażackiej.

Dokąd się, u diabła, wybierał?

Z wizytą do tej swojej głupiej dziewczyny z Beacon Hill?

Może nawet na całą noc? Wsunął rękę do kieszeni. Jego palce zacisnęły się na ozdobionej monogramem zapalniczce. Poczował przenikające go ciepło, ciepło płomieni. Westchnął, głęboko zawiedziony. Musi być cierpliwy. Może tej nocy mu się poszczęści? Może Chapin wróci niedługo do domu?

Obdrapany ford Zacha zjechał z chodnika na jezdnię.

Światła reflektorów na moment oświetliły pijaną kobietę, która właśnie zniknęła za rogiem. Zawahał się. Może by jednak za nią pójść? Razem na pewno

udałoby im się wykrzesać trochę ciepła. Tylko że nie o takie ciepło chodziło mu tego wieczora.

Wyjął z wewnętrznej kieszeni półlitrową butelkę wódki. I wtedy właśnie zobaczył taksówkę zatrzymującą się pod bramą Chapina. Wsiadła z niej jakaś kobieta. Przystanąła na chodniku, zawahała się, zadarła głowę, a potem rozejrzała się wokoło. Jeden rzut oka wystarczył mu, żeby stwierdzić, że jest uderzająco piękna. Miała na sobie obcisłe dżinsy i jasnozieloną kurtkę. Płomiennokasztanowe loki gęstą falą opadały jej na ramiona. Zawsze pociągały go kobiety o rudych włosach.

Kim była? Lokatorką?

Chyba nie, sądząc po jej niepewnym zachowaniu. Więc może była gościem? Jego przypuszczenia potwierdziły się, kiedy zobaczył, że studiuje listę lokatorów. Zaczął się zastanawiać, czy nie jest jedną z tych luksusowych prostytutek, które znał tylko z widzenia. Za droga dla takich jak on. Mimo to piekielnie pociągająca. A może wzięłaby czek? Uśmiechnął się blado.

Przeszedł na drugą stronę ulicy, żeby się jej lepiej przyjrzeć. Przez szklane drzwi zobaczył, że naciska dzwonek któregoś z mieszkań. Odczekała chwilę i zadzwoniła jeszcze raz. Znowu nic. Kiedy wyjrzała na ulicę, odwrócił się do niej plecami udając, że poluje na taksówkę.

Spodziewał się, że zaraz wyjdzie, ale gdy się znowu odwrócił, zobaczył, że rozmawia z niskim, tęgim mężczyzną, w którym rozpoznał dozorcę. Dozorca zamienił z nią parę słów, a potem otworzył wewnętrzne drzwi i uniżonym gestem zaprosił do środka, jakby była kimś ważnym.

Wrócił na drugą stronę ulicy, do swojej mrocznej kryjówki. Jego wzrok prześlizgnął się przez cztery piętra i zatrzymał na narożnym oknie, rozświetlonym błękitną, migoczącą poświatą. Kiedy w pokoju zapaliło się światło, głęboko odetchnął.

A więc Chapin zdradzał swoją nieciekawą przyjaciółkę z tą ognistą

pięknością. Teraz był absolutnie pewny, że szybko wróci do domu.

Kiedy dozorca otworzył drzwi do mieszkania Zacha, Rebecca obdarzyła go promiennym uśmiechem. Mężczyzna był w siódmym niebie.

- I pomyśleć, że nigdy nie wspomniał ani słowem, że jest kuzynem słynnej hollywoodzkiej gwiazdy.

- Jestem tutaj raczej... incognito - poinformowała go Rebecca konspiracyjnym tonem. - Zna pan tych wścibskich dziennikarzy. Mój kuzyn ceni sobie spokój i byłby bardzo niezadowolony, gdyby nagle zjawił się tu tłum fotoreporterów.

Dozorca podniósł rękę do góry.

- Świetnie panią rozumiem, panno Fox. Ja i Harriett umiemy trzymać język za zębami.

- Dziękuję. I niech pan powie żonie, że wychodząc, postaram się wstąpić do was na chwilę.

Z uśmiechem wzięła walizkę i zniknęła za sobą drzwi do mieszkania.

Przekreśliła wyłącznik. Więc to tak mieszka inspektor z wydziału do spraw podpaleń, pomyślała, rozglądając się po niewielkim, ale zadziwiająco porządnie utrzymanym saloniku. Przede wszystkim rzucił jej się w oczy dwudziestojednocalowy telewizor. Jego ekran wciąż lśnił niebieskawym światłem, a stojące obok wideo było włączone. Zrobiła dwa kroki i nadepnęła na puste opakowanie po kasecie.

Schyliła się, żeby je podnieść i uśmiechnęła się szeroko. Podobno Zach Chapin nie chodził do kina. Widocznie wolał oglądać filmy na wideo.

Wciąż uśmiechnięta, wyjęła kasetę i włożyła do pudełka. Ciekawe, co myślał Zach o filmie, który krytycy uznali za jej największy dotychczasowy sukces.

Zdjęła kurtkę i zaczęła dokładnie oglądać wyposażenie pokoju. W rogu stała wygodna kanapa, pokryta niebieskim sztruksem, a po jej bokach dwa komplety sosnowych stolików. Największy stał pośrodku, na okrągłej macie w indiańskie wzory.

Największy stolik był pusty i nawet trochę zakurzony, na mniejszych ustawiono telefon, automatyczną sekretarkę i lampę z mosiężną podstawą. Schludnie i czysto - pomyślała. Dziwne. Bardzo dziwne. Spodziewała się śmieci, pajęczyn i być może kilku egzemplarzy „Playboya”, porzrzucanych po pokoju. Jednym słowem - typowego kawalerskiego mieszkanca, rodem z hollywoodzkich filmów.

Weszła do małej kuchni. Przy drzwiach stał stolik z dwoma krzesłami. Powiesiła na jednym z nich kurtkę i rozejrzała się. Tu też było czysto. Żadnych brudnych naczyń w zlewie. Żadnych otwartych puszek. Otworzyła lodówkę i ze zrozumieniem pokiwała głową. Nic dziwnego, że nie dostrzegła brudnych naczyń. Po prostu nie było nic do jedzenia. Nagle poczuła przejmujący głód. Nie tylko ominął ją lunch, w dość zresztą dramatycznych okolicznościach, ale na domiar złego, zajęta przygotowaniami do „nowego życia”, nie znalazła ani chwili na obiad. Przejrzała szafki i odkryła torebkę precelków. Z lodówki wyjęła jedną z dwóch puszek piwa.

Wróciła do saloniku i właśnie miała zamiar wejść do sypialni, kiedy zadzwonił telefon. Po dwóch sygnałach włączył się automat: „Nie ma mnie w domu. Proszę zostawić wiadomość”. Na dźwięk znajomego głosu przeszedł ją dziwny dreszcz.

Po tradycyjnym sygnale odezwała się kobieta.

Mówiła cicho, z pewnym wahaniem, musiała być zdenerwowana.

„Zach... to ja, Eileen. Posłuchaj, Zach, wiem, że głupio zostawiać komuś taką wiadomość na sekretarce, ale... myślę że powinniśmy z tym wszystkim

skończyć. To do niczego nie prowadzi, a ja... ja potrzebuję kogoś, kto... Zresztą już rozmawialiśmy na ten temat. Jutro wyjeżdżam do Milwaukee. Wesołych Świąt, Zach. Szczęśliwego Nowego Roku. Mówię to szczerze. Mam nadzieję, że znajdziesz sobie.,, No, dbaj o siebie. Pa."

Poczuła coś w rodzaju współczucia. Jak Zach zareaguje na wiadomość, że został porzucony? Czy bardzo zależało mu na tej Eileen? Na pewno bardziej niż jej zależało na nim, skoro to ona postanowiła z nim zerwać.

W głowie Rebecki zakiełkowała podstępna myśl. Telefon od Eileen oznaczał, że Zach jest w tej chwili... wolny! Zaraz jednak przywołała się do porządku. Gwałtownie zaczęła przekonywać samą siebie, że Zach Chapin interesuje ją jedynie jako środek prowadzący do celu. A tym celem jest rola Toni Paradisi. Jak w ogóle mógłby się jej spodobać? Był źle wychowany, miał okropne maniery i wiecznie niezadowoloną minę. A nawet jeżeli dostrzegłaby w nim coś pociągającego, to tylko dzięki temu, że zwykła idealizować niebezpiecznych, niepokornych mężczyzn. A co do tego, że Zach był niebezpieczny i niepokorny, Rebecca nie miała cienia wątpliwości.

Szczerze żałując swojej nie zapowiadanej wizyty, postanowiła wyjść, zanim Zach wróci do domu. Nie miała ochoty spotkać się z nim twarzą w twarz na jego terenie, a tym bardziej być przy tym, jak będzie przesłuchiwał nagrane na taśmę wiadomości. Zwłaszcza tę ostatnią. Weszła do kuchni po kurtkę, a kiedy wróciła do saloniku, w drzwiach wejściowych stał Zach.

Omam nie upuścił torby z zakupami.

- Co u diabła...?

- Cześć! - odezwała się niepewnie. Na jej policzki wypłynął rumieniec.

- Skąd się tu...?

- Dozorca mnie wpuścił.. Rozpoznał mnie. Powiedziałam mu, że jestem twoją... kuzynką.

Zach patrzył na nią w milczeniu, nagle pociemniałym wzrokiem. Uwagę Rebecki przykuła okazała torba w jego rękach.

- Masz tam coś, co da się zjeść? Umieram z głodu.

- O co tu chodzi? - zapytał załamującym się głosem.

Był do głębi wstrząśnięty. Dopiero co oglądał Rebecę w całej glorii, a oto nagle zjawia się u niego sama, we własnej osobie. Poczł bolesny dreszcz pożądania. Nie znał innej kobiety, która mogłaby wyglądać równie ponętnie w zwykłych dżinsach, starej bluzie i tenisówkach. A te jej włosy! Lśniące, kasztanowe pukle, swobodnie opadające na ramiona. Zupełnie jak w tym filmie.

Mój Boże! Wideo! Zerknął na telewizor. Ktoś wyjął kasetę i schował ją do pudełka. Co za wstyd! Został przyłapany na gorącym uczynku! Spuścił wzrok. Nie śmiał spojrzeć Rebecce w oczy. Na chwilę zapadło krepujące milczenie.

- Co o tym sądzisz? - odezwała się wreszcie. Zach zatrzasnął nogą drzwi.

- O czym? - zapytał sztucznie obojętnym tonem, którym miał nadzieję pokryć zażenowanie.

- O filmie.

Ciekawe, co by sobie pomyślała, gdyby powiedział jej prawdę? Że płonął z pożądania, patrząc, jak kocha się z jakimś osłem. A potem, zamiast iść na przyzwoitą kolację, kupił ohydne placki i frytki, byle tylko jak najprędzej znów zasiąść przed telewizorem i jeszcze raz obejrzeć ten film.

- Nie w moim guście. Obejrzałem tylko początek - skłamał. Postawił torbę na stoliku, zdjął kurtkę i przerzucił ją przez oparcie kanapy.

Znowu zapadła kłopotliwa cisza. Przerwała ją Rebecca:

- Wymeldowałam się z hotelu. Miałaś rację, Zach. Powinnam żyć tak jak wy wszyscy.

Placek, który Zach wyciągał właśnie z torby, wypadł mu z rąk. Z przerażeniem odwrócił się i spojrzał na Rebecę. Kątem oka dostrzegł stojącą

przy drzwiach walizkę.

- Co?! - A więc to dlatego tu przyszła. Postanowiła się do niego wprowadzić. Nie ma mowy! To wykracza poza jego obowiązki. Nigdy się na to nie zgodzi. Nawet gdyby sam burmistrz wydał mu takie polecenie. I tak miał już dość kłopotów.

Rebecca przeszła przez pokój i rzuciła swoją kurtkę na kurtkę Zacha. Potem spojrzała na torbę i pociągnęła nosem.

- Meksykańskie placki? - spytała, jakby nigdy nic.

- Najpierw musimy sobie coś wyjaśnić, panno Fox - powiedział ostro. - Trzeba ustalić pewne reguły. Proszę usiąść. Albo nie, proszę nie siadać.

W odpowiedzi uśmiechnęła się kpiąco.

- Zawsze myślałam, że wiesz, czego chcesz, Zach.

- Nie wiem, jak funkcjonuje mózg hollywoodzkiej gwiazdki, ale jeżeli ci się wydaje, że cały świat padnie ci do stóp tylko dlatego, że parujesz na ekranie nago... Ugryzł się w język.

- Owszem, paruję nago, ale dopiero na samym końcu filmu. A ty podobno obejrzałeś tylko początek.

- Początek, koniec, co za różnica? - burknął, głęboko zawstydzony.

Rebecca z trudem powstrzymała się od śmiechu. Usiadła na kanapie i spojrzała na Zacha.

- Prawdę mówiąc, nie byłam całkiem naga. Miałam na sobie kilka dyplomatycznie rozmieszczonych szmatek. A te wszystkie zbliżenia mojego biustu i pośladków...

Zach poczuł, że robi się purpurowy.

- To wcale nie byłam ja - dokończyła z zimną krwią.

- Jak to? - Spojrzał na nią ze zdumieniem.

- Nigdy nie kręcę nagich scen. Mam to zagwarantowane w kontrakcie. Po prostu nie mogłabym tarzać się nago na sianie, z całą ekipą i kamerami wokoło.

Więc kiedy przychodzi co do czego, kamera robi cięcie na dublerkę. Mam nadzieję, że zachowasz to dla siebie. Lepiej, żeby moi wielbiciele o tym nie wiedzieli.

Zach osunął się na kanapę i potrząsnął głową. Kino... Co za niesamowita sprawa. Wygląda na to, że przez ostatnie kilka godzin marzył o piersiach i tyłku jakiejś obcej kobiety...

Sięgnął do torby i wyciągnął ociekającą tłuszczem paczkę frytek.

- Chcesz piwo? - spytała skwapliwie. - Jedno już otworzyłam, ale została jeszcze jedna puszka.

- Widzę, że czujesz się tu jak u siebie - powiedział lodowatym tonem. - Myślisz, że można tak po prostu wtargnąć do czyjegoś domu? Coś ci powiem. Nie będziesz tu koczować przez trzy tygodnie tylko po to, żeby „lepiej wczuć się w rolę”. Nie lubię nieproszonych gości. A poza tym, mam dziewczynę. Jest bardzo zazdrosna. Pomyśl, żebym wziął sobie na jakiś czas... lokatorkę, na pewno jej się nie spodoba.

- Masz na myśli Eileen?

- Skąd wiesz o Eileen? - zachnął się Zach. Tym razem Rebecca spuściła wzrok.

- Ona... ona dzwoniła tu, kiedy cię nie było.

- Rozmawiałaś z Eileen? - spytał z niedowierzaniem.

- Nie, skądże - oburzyła się Rebecca. - Nie mam zwyczaju odbierać cudzych telefonów. Możesz sobie myśleć, co chcesz... Źle mnie zrozumiałeś. Dopuść mnie do słowa, to wszystko ci wyjaśnię...

- Skąd wiesz, że dzwoniła? Rebecca westchnęła z rezygnacją.

- Zostawiła ci wiadomość. Może lepiej zaczekaj...- dodała pośpiesznie, widząc, że Zach sięga do automatycznej sekretarki.

Za późno. Zdążył wcisnąć klawisz. Z taśmy popłynął cichy głos Eileen.

Wysłuchali jej w milczeniu, ze wzrokiem wbitym w indiański wzór na

macie. Kiedy automat się wyłączył, zapadła grobowa cisza. Rebecca zerknęła na Zacha. Siedział wyprostowany, z kamienną twarzą. Nawet jeżeli miał złamane serce, nie dał tego po sobie poznać.

Po kilku nieskończenie długich minutach rozpakował placki i podsunął Rebecce torbę z frytkami.

- Poczęstuj się - powiedział bezbarwnym tonem.- Lepiej, żebyś nie umarła z głodu.

Bez słowa sięgnęła po zimny, tłusty placek i wsadziła go do ust.

Przez dłuższą chwilę jedli w milczeniu. Potem Zach wstał i wyszedł do kuchni. Po chwili wrócił i wręczył Rebecce napoczętą puszkę piwa.

- Tak mi przykro, Zach.

- Nic się nie stało. Została mi jeszcze jedna puszka. Rzuciła mu niecierpliwe spojrzenie.

- Do diabła, Zach, nie chodzi o puszkę! Dlaczego do niej nie zadzwonisz? Może czeka na jakiś znak od ciebie? Mówiła, że wyjeżdża dopiero jutro. Założę się, że uda ci się ją namówić, żeby została. Ustąp choć raz, Zach, na pewno ci się to opłaci.

Zach milczał z nieprzeniknionym wyrazem twarzy.

- Wstydzisz się o cokolwiek prosić, prawda? Jesteś na to zbyt dumny? A może po prostu tylko arogancki i zarozumiały? W Hollywood jest pełno takich facetów.

Zaschło jej w gardle. Wypiła kilka łyków piwa i znów go zaatakowała:

- Jak w ogóle mogłeś pomyśleć, że chciałabym się tu wprowadzić? Wolałabym raczej zamieszkać w schronisku dla bezdomnych. Kiedy po raz ostatni zaglądałeś do lodówki? Gdybyś prowadził bardziej higieniczny tryb życia, na pewno miałbyś lepszy humor.

- Czy przyszedł tu mnie pouczać? - odezwał się wreszcie Zach.

- No... nie tylko - zmieszała się Rebecca. - Szczerze mówiąc, byłam

ciekawa, jak mieszkasz. I chciałam ci przekazać pewną wiadomość. Spędziłam tu tylko kilka minut.

- I w ciągu tych kilku minut zdążyłaś się wszystkiego o mnie dowiedzieć?

A co to za wiadomość?

- Wprowadzam się do Kellych. - Rebecca spojrzała na zegarek i lekko się uniosła. - Muszę się zbierać...

Silne ramię Zacha wcisnęło ją w kanapę.

- Do jakich Kellych? Chyba nie mówisz o moim partnerze?

- Joe nie jest twoim partnerem – przypomniała mu.

- Widziałem się z nim parę godzin temu. Nie wspomniał o tym ani słowem...

- Bo wtedy jeszcze nic nie wiedział. Fitzgerald rozmawiał z jego żoną dopiero po południu. Była zachwycona. Powiedziała, że dzieci z radością odstąpią mi jeden pokój.

- A co na to Joe? Też był zachwycony?

- W każdym razie nie miał nic przeciwko temu - powiedziała opryskliwym tonem, bo silny uścisk Zacha dziwnie ją drażnił. - A teraz bądź łaskaw mnie puścić. Spiesz mi się, tak samo jak tobie.

Zach cofnął ramię.

Rebecca uniosła ręce do góry i zaczęła przyglądać włosy. Przez ułamek sekundy zobaczył ją tak, jak w tym filmie - wyprężoną na łóżku... naga... Co prawda to nie była ona. Tak przynajmniej twierdziła. Ale na pewno jakaś część tego olśniewającego ciała należała do niej.

Kaszlnął, bo nagle zaschło mu w gardle.

- Nie podoba mi się to, Rebecco.

Opuściła ręce i spojrzała na niego ze zdumieniem.

- Co ci się nie podoba?

Więcej niż był w stanie wyrazić. W każdym razie, co do jednego się nie

myliła - miał swoją dumę. I nie zamierzał się przyznawać, że nie podoba mu się to, jak z nim postępuje i jak działa na jego wyobraźnię.

- Nie podoba mi się to, że wprowadzasz się do Kellych.

- A to niby dlaczego? - spytała, krzyżując ręce na piersiach. Czerwona koszulka ciasno opięła jej biust. Zach zauważył to i nagle zapragnął wsunąć ręce pod koszulkę i dotknąć tych gładkich, pełnych piersi...

- Zastanów się, Zach - mówiła dalej Rebecca - przecież to najlepsze wyjście dla wszystkich. W tej chwili nie wolno ci pracować z Joe, ale moglibyście porozumiewać się za moim pośrednictwem.

- Nie ma mowy! Nie chcę, żebyś się w to mieszała.

Zach wstał i odsunął się o krok. Bliskość Rebecki i otaczający ją delikatny zapach orchidei przyprawiały go o zawrót głowy.

- Nie ma mowy - powtórzył. - Dużo o tym myślałem. Mój szef, Mikę Collins, miał rację, odsuwając mnie na jakiś czas od tej sprawy. Może potrzebny jest ktoś ze świeżym spojrzeniem...

Rebecca podniosła się z kanapy i podeszła do niego.

- Przecież ty tkwisz w tej sprawie po uszy, Zach. Przejrzałam cię na wylot.

Mógł tylko mieć nadzieję, że to nieprawda. Gdyby było inaczej, dawno oberwałby od niej po twarzy.

- Wiem, że nigdy nie zrezygnujesz - powiedziała, celując w niego palcem - ale ja też nie. Będziemy działać we trójkę - ty, Joe i ja.

- Nigdzie nie będziesz działać. Nie masz zielonego pojęcia o tych sprawach. Twoja robota to porządnie nauczyć się roli, dobrze wyglądać przed kamerą i kręcić tyłkiem jak należy...

Nie zdziwił się, kiedy wymierzyła mu bolesny, zupełnie nie filmowy policzek.

- Już ci mówiłam, że to nie był mój tyłek - syknęła. Machinalnie potarł piekący policzek.

- Niech ci będzie. Trochę się zagalopowałem.
- Nie masz pojęcia, jak traktować kobiety, nic dziwnego że Eileen ...

Przerwała zbyt późno. Zach zaatakował ją z wściekłą furją,

- Słuchałaś jej raptem przez dwadzieścia sekund i wydaje ci się, że już wszystko o nas wiesz. Starala się, jak mogła, a ja nie dawałem z siebie nic. Wkładała w to serce i duszę, a dla mnie to był przelotny związek. Miała w sobie jasność i słodycz, a ja byłem tylko ponurym zrzędą. Wszystko to wiesz, prawda? - Wyzywająco spojrzał jej w twarz.

Rebecca wytrzymała jego spojrzenie.

- Powiedz mi, w którym miejscu się pomyliłam?

Nagle poczuł, że uchodzi z niego cała złość. Pokonała go, a jemu, o dziwo, było z tym dobrze.

- W żadnym - odpowiedział z rozbajającym uśmiechem.

Do tej chwili zdawało się jej, że jest bezpieczna. Ale uśmiech Zacha należał do tych, które ścinają z nóg i chwytają za gardło. Nagle zakreśliło jej się w głowie. Nim zdała sobie sprawę, co robi, znalazła się w jego ramionach.

- Myślisz, że jesteś taki twardy - szepnęła, patrząc mu w oczy. - Założę się, że rzuciłbyś się w ogień tylko po to, żeby uratować rybki w akwarium.

Wydawało jej się, że uśmiechnął się jeszcze szerzej, ale nie była pewna, bo nagle jego uśmiechnięte usta zmiażdżyły jej wargi. Całował lepiej, niż to sobie wyobrażała. W jego pocałunku były ogień i żar, namiętność i pasja, gwałtowność i czułość. Tak całuje tylko człowiek, który nie może dojść do ładu z samym sobą. Ale co do jednego nie miała wątpliwości - oboje rozpaczliwie pragnęli tego pocałunku.

Rebecca dobrze wiedziała, dokąd może ich zaprowadzić ten płomienny pocałunek. Prosto do sypialni Zacha Chapina. Nie wiedziała tylko, czy Zach postanowił pójść z nią do łóżka, żeby łatwiej się jej pozbyć. Czyżby sobie wyobrażał, że potem da się namówić do odstąpienia od swoich planów?

Odsunęła się od niego, choć nie przyszło jej to łatwo.

- Już ci mówiłam, że państwo Kelly na mnie czekają - odezwała się drżącym głosem. - Przyjadę rano do pracy razem z Joe. Zobaczymy się w biurze.

Narzuciła kurtkę i podeszła do drzwi. Na chwilę przystanąła w progu. Niby po to, żeby zapiąć suwak, ale tak naprawdę - by dać Zachowi ostatnią szansę.

Nie odezwał się ani słowem. Sięgnęła po walizkę i wtedy zadzwonił telefon. Może to znowu Eileen?

Zach podniósł słuchawkę. Nim zdążył cokolwiek powiedzieć, usłyszał znajomy, mrozący krew w żyłach śmiech.

- Gorąco tam u was, co? Twoja nowa dziewczyna jest pierwsza klasa. Szczęściarz z ciebie, stary. Mam nadzieję, że to doceniasz.

Rebecca była już jedną nogą za drzwiami, ale rzut oka na stężałą twarz Zacha powiedział jej, że to nie Eileen.

- To zaczyna być niepoważne - powiedział bezbarwnym tonem Zach. - Czy nie pora, żeby się wreszcie spotkać twarzą w twarz?

Śmiech przeszedł w diabelski chichot.

- Dobra, Zach, stary kumplu. Na wypadek, gdyby było ci mnie żal, postanowiłem zadzwonić do ciebie i powiedzieć ci, że tu też robi się gorąco.

- Tu, to znaczy gdzie? - spytał Zach, wyjmując z kieszonki świeżo otwartą paczkę cameli. Wsunął do ust papierosa i zaczął nerwowo szukać po kieszeniach. Rebecca wypatrzyła pudełko zapalek na jednym ze stolików, podeszła do Zacha i podała mu ogień. Zaciągnął się głęboko, uparcie unikając jej wzroku.

- Jesteś tam jeszcze, Zach?

- Tak.

- To powiedz swojej nowej przyjaciółce, żeby wyjrzała przez okno.

Nie musiał tego robić, bo Rebecca stała na tyle blisko, że i tak wszystko

słyszała. Szybko podbiegła do okna. Zach ruszył za nią, bo rozmówca już się wyłączył.

Wyjrzała na ulicę. Było zupełnie ciemno.

- Nic nie widzę.

Wzrok Zacha prześlizgnął się po opuszczonym budynku na drugiej stronie ulicy. Takie właśnie obiekty upodobał sobie jego podpalacz. Na szczęście po obu stronach kamienicy znajdowały się wąskie, puste działki, tak więc gdyby to właśnie tam podłożono ogień, pożar nie rozprzestrzeniłby się na pozostałą część ulicy.

Z początku nie dostrzegł niczego niepokojącego. Potem, nagle, usłyszał dziwny huk. To na piątym piętrze eksplodowało zabite okno. Kawałki drewna i stłuczonej szyby rozprysły się na wszystkie strony, a w ciemnym otworze ukazały się długie języki ognia.

Rebecca była zbyt przerażona, by krzyczeć. Zach musiał nią potrząsnąć, by wreszcie oprzytomniała.

- Dzwon na 911! Natychmiast! A potem połącz się z Kellym.

Kiedy dobiegła do telefonu, Zach był już na schodach. Przez otwarte drzwi słyszała dobiegające z dołu głosy - widocznie sąsiedzi też usłyszeli eksplozję. Drżącymi palcami wykręciła numer straży pożarnej, a potem zadzwoniła do Joe. Odebrała Millie.

- Niech Joe przyjeżdża do Zacha! - wyrzuciła z siebie Rebecca. - Natychmiast! Właśnie podpalono dom po drugiej stronie ulicy!

Zapominając o kurtce, wybiegła za Zachem. Dogoniła go na ulicy. Zaczęła mu opowiadać, że pięć wozów strażackich jest już w drodze, ale wzrok miała utkwiony w płonący budynek. Nagle coś przykuło jej uwagę. Na czwartym piętrze w częściowo zasłoniętym oknie dostrzegła twarz. Twarz dziecka.

- Tam ktoś jest! - krzyknęła, wskazując na okno. Zach spojrzał w górę. W jednej chwili zrobiło mu się zimno i gorąco. Czysto fizyczne wrażenie, żadnych

uczuć.

- Zostań tu! - warknął. - Pilnuj, żeby nikt tam nie wchodził i czekaj na straż pożarną.

Dopiero wtedy zauważyła, że zebrał się już spory tłum. Ludzie wybiegali z sąsiednich budynków, nie którzy w pantoflach i pidżamach, i drżąc z zimna, skupiali się w grupki.

Za plecami usłyszała głos jakiejś kobiety.

- To szaleństwo, żeby tam iść. On się zabije. Odwróciła się i spojrzała na nią.

- Nie, nie zabije się. Jest strażakiem. - Tak jakby strażaków ogień się nie miał.

Ale w końcu sama zaczęła w to wątpić. Gdzie teraz był Zach? Ile potrzeba czasu, żeby dostać się na czwarte piętro, porwać dziecko i zbiec na dół?

Mijały kolejne minuty. W oddali usłyszała wycie Syren. Obliczyła, że trzeba jeszcze paru minut, żeby wozy dotarły na miejsce.

Paru bezcennych minut. Na wagę życia. Bo ogień rozprzestrzeniał się w błyskawicznym tempie. Płomienie wydostawały się ze wszystkich okien na piątym piętrze i długimi językami sięgały dachu. W każdej chwili mogły zająć się i niższe piętra budynku.

Okno, w którym zobaczyła dziecko, rozświetliło się złotą poświatą. Ogień stopniowo ogarniał czwarte piętro. Jeżeli Zach jeszcze tam był...

Poczuła, że dłużej już tego nie zniesie. Musiała tam wejść i sprawdzić, czy nie potrzebuje pomocy. Biegnąc w stronę płonącego budynku, usłyszała głos tej samej kobiety:

- Co? To ona też jest strażakiem?

ROZDZIAŁ 5

Wyrznął prawym ramieniem w zamkniętą bramę płonącego budynku. Drzwi rozwarły się. Światło ulicznej latarni rozświetliło mroczną sień, ale na klatce schodowej panowały kompletne ciemności.

Trzymając się poręczy, biegł po schodach, przeskakując po dwa, trzy stopnie naraz. Kontuzjowana noga znów zaczęła dawać mu się we znaki. Kiedy dotarł na trzecie piętro, przystanął, bo zabrakło mu tchu. Jeszcze jedno piętro... Chyba rzeczywiście powinien rzucić palenie.

Ostrożnie ruszył przed siebie. W tej chwili to już tylko kwestia minut, może sekund... Potem ogień strawi belki nad jego głową i strop runie, niosąc ze sobą piekło i zagładę.

Zaczął się modlić, żeby wozy przyjechały jak najprędzej. Rzucił się na ratunek tak, jak stał - bez kombinezonu, pasa, latarki, maski gazowej i węża, wiedząc, że na zewnątrz nie ma drabiny, która umożliwiłaby mu szybką ucieczkę. W tej sytuacji mógł liczyć tylko na cud.

Kiedy znalazł się na podeście czwartego piętra, otoczył go gryzący dym,

- Hej, ty tam - krzyknął. Jego schrypnięty, zdyszany głos odbił się echem od spękanych ścian. - Nie ruszaj się. Połóż się na podłodze. Idę po ciebie. Wszystko będzie dobrze.

W jego głosie brzmiała pewność siebie, której niestety nie czuł. Przed oczami zawirowały mu obrazy sprzed trzech lat. Wtedy też krzyczał, używając tych samych słów. Wciąż pamiętał każdy moment, pamiętał, jak wpadł do płonącego pokoju i porwał z łóżka młodzieńką, zemdloną dziewczynę. Była taka lekka. Nie mogła mieć więcej niż szesnaście lat. Kiedy znosił ją po schodach, z góry spadł na nich deszcz płomieni. Mógł iść tylko na dół, z

nadzieją, że uda mu się wyprzedzić depczący im po piętach ogień. Dziewczyna ledwo oddychała. Była nieprzytomna. Może i tak by z tego nie wyszła. Niestety ogień jest nieobliczalny. Nagle spostrzegł, że płomienie ogarniają drewniany filar, podtrzymujący konstrukcję schodów. To było przerażające. Mógł już się tylko modlić, żeby schody wytrzymały.

Tylko dwa podesty - a byliby ocaleni. I wtedy właśnie runęły, pociągając ich za sobą. Do dziś pamiętał, jak starał się uchronić dziewczynę, biorąc na siebie cały impet upadku. Wciąż miał w uszach głuchy huk, kiedy jego ciało zderzyło się z ziemią. Wciąż pamiętał ten przejmujący ból. Ale najbardziej dręczyło go wspomnienie bezwładnego ciała dziewczyny, które młody strażak delikatnie uniósł, potrząsając ze smutkiem głową...

Dość, nakazał sobie ostro w duchu. Ciało miał złane potem. Nie wolno ci teraz o tym myśleć. Nie wolno ci myśleć o niczym, prócz tego dziecka.

Bo miał nadzieję, że jest tam tylko jedno dziecko. I że wciąż jeszcze żyje.

Kiedy Rebecca weszła do bramy, przerażający trzask płonącego drewna, który tak wyraźnie słyszała na ulicy, jakby trochę przycichł. W wąskiej sieni nie było też dymu. Przez chwilę miała wrażenie, że weszła do niewłaściwego budynku.

Ostrożnie ruszyła przed siebie. W głębi było zupełnie ciemno. Kiedy stanęła u wylotu schodów, dobiegł ją syk płomieni. Poczowała cierpki zapach dymu.

Jej ręka natrafiła na balustradę i kurczowo się na niej zacisnęła.

- Zach - krzyknęła drżącym głosem. Nie było odpowiedzi.

Serce zamarło jej w piersi. Zaczęła biec po schodach na górę. Już na półpiętrze stwierdziła, że zapach spalenizny staje się coraz bardziej intensywny, a trzask płomieni coraz głośniejszy.

- Zach? Słyszysz mnie? Zach?

Serce biło jej jak oszalałe. Ciało miała zlane zimnym potem. Reszta zdrowego rozsądku podpowiadała jej, że to czyste szaleństwo, że jeszcze może wrócić, że to się może źle skończyć. Albo wręcz tragicznie.

Mimo to zaczęła się wspinać na drugie piętro. Jeżeli Zach się nie odezwie, nie będzie go dalej szukać. Wycofa się, nim będzie za późno.

Przepalona belka z kawałkiem sufitu runęła prosto pod nogi Zacha. Był w połowie korytarza na czwartym piętrze. Z głębi usłyszał płacz dziecka. Zaczął wołać, żeby je uspokoić:

- Wszystko będzie dobrze. Nie bój się. Zaraz tam będę.

Dziecko schroniło się gdzieś na końcu korytarza. Może uda im się wydostać przez okno na schody ewakuacyjne. Wpadł do ostatniego mieszkania. Tu też załamała się część stropu, a dopalające się belki rozświetlały pomieszczenie żółtawym blaskiem. Chłopiec, dwunasto, najwyżej trzynastoletni, szlochał skulony na łóżku, niespełna metr od miejsca, na które zawalił się sufit. Gdyby nie ręka opatrności...

Zach pogłaskał chłopca po plecach, a potem chwycił go na ręce.

- Jesteś tu sam? - krzyknął. Dziecko nadal szlochało rozpaczliwie,

- Powiedz tylko tak czy nie - błagał Zach, niosąc chłopca w stronę okna, które, jak przypuszczał, powinno wychodzić na schody pożarowe.

Czas uciekał, a chłopiec wciąż płakał. Zach posadził go pod ścianą, a sam zaczął odrywać deski, którymi zabito okno. Kiedy udało mu się je otworzyć, z ulgą stwierdził, że schody ewakuacyjne są jeszcze nietknięte. Co więcej, usłyszał wycie nadjeżdżających wozów straży pożarnej.

Schylił się po chłopca i wtedy mała, osmalona dłoń wczepiła się w jego koszulę.

- Mój... brat - wychrypiało dziecko.

- Gdzie? - krzyknął Zach. Serce zamarło mu w piersi.

Chłopiec wzniosł oczy do góry.

- Na górze?

Chłopiec skinął głową, a potem zerwał się i popędził do drzwi. Wypadł na korytarz i biegł w stronę schodów, nie zważając na sypiące się z góry kawałki płonącego drewna.

- Jerry! Jerry - krzyczał cienkim, przeraźliwym głosem. - Jerry!

Kompletnie zaskoczony Zach rzucił się za nim, klnąc głośno, miotany na przemian wściekłością i strachem.

Rebecca przystanąła na podeście trzeciego piętra. Miała uczucie, jakby zstępowała w jakąś piekielną otchłań. Dym dusił ją za gardło i boleśnie szczypał w oczy. Spojrzała w górę. Sufit nad jej głową tonął w nieziemskiej, czerwonej poświacie. Jak w filmie. Tylko że to nie był film, a ogień dosięgnął już czwartego piętra. Tam, gdzie Zach usiłował odnaleźć jakieś bezimienne dziecko, które było na tyle nierozsądne, żeby szukać schronienia w wyludnionej kamienicy. I wtedy zdała sobie sprawę, że jeśli natychmiast nie zawróci, być może straci ostatnią szansę ucieczki.

Jednak znów zbuntowała się przeciwko zdrowemu rozsądkowi. Zaczęła głośno wołać Zacha, ale zaraz zmógł ją atak kaszlu.

Potem zrobiło się jej słabo. Osunęła się na kolana, broniąc się resztką sił przed omdleniem.

Na szczęście zawroty głowy po chwili ustąpiły. Znowu zaczęła go wołać.

Z początku nikt nie odpowiadał. Potem usłyszała krzyk. W gęstym dymie zamajaczyła jakaś postać.

- Zach - jęknęła z ulgą.

Ale to nie był Zach. To był chłopiec. Ten sam, którego zobaczyła w oknie. Na ułamek sekundy ich oczy się spotkały. W jego spojrzeniu nie było nic prócz strachu. Kurczowo przywarła do poręczy. Gdzie wobec tego był Zach?

Myślała, że chłopiec zbiegnie do niej. Ale on nagle się odwrócił i ruszył w sam środek piekła.

- Nie - krzyknęła. Zaczęła biec za nim na górę.

I wtedy zobaczyła Zacha. Pod pachą trzymał wierzgające dziecko,

- Jerry! Jeny! Jerry! - histerycznie krzyczał chłopiec. Nagle wśród jednostajnego szumu ognia Rebecca wyłowiła nowy dźwięk. Przerażliwy krzyk. A potem z płomieni wyskoczyła jakaś postać i stoczyła się po schodach pod nogi Zacha.

Rebecca wydała głośny okrzyk. Dopiero wtedy Zach ją zauważył. Poczuł wściekłość, że poszła za nim w to piekło, a zarazem ulgę, że może liczyć na jej pomoc.

Młodszy z chłopców szlochał teraz rozpaczliwie, skulony nad bezwładnym ciałem brata. Zach nachylił się, żeby zbadać puls. Rebecca wbiegła na górę i otoczyła ramionami płaczące dziecko.

- Twój brat żyje - powiedział Zach. - A teraz weź się w garść, bo musimy stąd uciekać.

Podniósł starszego chłopca - mógł mieć szesnaście lat, jak tamta dziewczyna - i zwrócił się do Rebecki:

- Weź małego i nie puszczaj go za żadne skarby. Jeszcze cztery piętra w dół i jesteśmy w domu.

- W porządku. - Rebecca mocno ścisnęła chłopca za rękę. Wciąż płakał, ale już nie tak histerycznie. Kiedy go popchnęła, posłusznie ruszył przed siebie.

Zach szedł za nimi, z nieprzytomnym chłopcem w ramionach. W połowie drogi poraził ich odgłos kolejnej eksplozji, tym razem na dole. Widocznie podpalacz podłożył drugi ładunek, prawdopodobnie w suterenie. Za chwilę płomienie ogarną parter i zaczną pełznąć do góry. A oni zostaną odcięci w środku, bez wyjścia.

Rebecca poczuła, że ciało chłopca sztywnieje ze strachu. I ją ogarniało

przerażenie, ale przynajmniej starała się to ukryć.

- Jeżeli się pospieszymy... - zaczęła, sądząc, że schody są jedynym rozwiązaniem.

Zach brutalnie jej przerwał.

- Nie da rady. - Wskazał korytarz na trzecim piętrze. - Tędy. Zejdziemy po schodach pożarowych.

Ogień powoli pełznął wzdłuż korytarza. Jedynie Zach w pełni zdawał sobie sprawę z niebezpieczeństwa. W każdej chwili może zawalić się dach, a wtedy budynek runie, grzebiąc ich pod gruzami.

Kopniakiem otworzył drzwi do jednego mieszkania. Weszli do środka. Nagle rozległ się huk i wszystko wokół nich stanęło, w ogniu.

- Stać! - krzyknął Zach. - Spróbujemy obok.

Z następnego mieszkania już bezpiecznie dotarli do schodów ewakuacyjnych. Zach pierwszy wyszedł na zewnątrz. Syreny wyły coraz głośniejsze. Wozy musiały już być o przecznicę lub dwie od płonącego budynku. Ta jedna przecznica mogła stanowić o wszystkim.

Spojrzał w górę. Wszędzie płomienie. Za chwilę budynek zacznie się walić, a razem z nim stare, przerdzewiałe schody pożarowe. Ale nie mieli innego wyjścia. Spojrzał w dół. Za wszelką cenę muszą dotrzeć na ulicę.

Rebecca wyszła na żelazną galerię, mocno przytulając kompletnie wyczerpanego chłopca. Kiedy Zach puścił ją przodem, zawahała się i spojrzała na niego pytającym wzrokiem.

- Zaufaj mi - powiedział.

Uśmiechnęła się - z jakiejś niepojętej przyczyny naprawdę to zrobiła.

Piętro niżej przystanąła na chwilę. Na bardzo krótką chwilę. Żelazna konstrukcja zaczęła puszczać. Jedna strona schodów niebezpiecznie odchyliła się od ściany budynku. Co gorsza, właśnie runęła część dachu. Z sutereny i parteru zaczęły się wydobywać płomienie i kłęby czarnego, dławiącego dymu.

- Naprzód - krzyknął Zach, bo Rebecca z chłopcem zamarli w bezruchu.

Jeden z wozów strażackich wjeżdżał właśnie na tyły posesji. Strażacy zauważyli ich, zeskoczyli z wozu i podbiegli do schodów.

Choć wszyscy poruszali się bardzo szybko, Rebecce wydało się, że ogląda film w zwolnionym tempie. Słyszała huk ognia, ciężki oddech chłopca i metaliczny stukot kroków na żelaznych stopniach.

Jeden ze strażaków chciał wbiec na górę, ale Zach ostrzegł go, że dodatkowe obciążenie może spowodować katastrofę. Kiedy pokonywali ostatnie piętro, schody praktycznie wisiały na włosku.

Rebecca dotknęła ziemi z uczuciem niewysłowionej ulgi. Młody strażak porwał dziecko i pobiegł z nim do ambulansu, który właśnie wjeżdżał na podwórze. Drugi mężczyzna wziął z rąk Zacha nieprzytomnego chłopca. Zach nie miał odwagi spojrzeć strażakowi w oczy. Bał się najgorszego - że może już być za późno.

Kiedy lekarze pochylili się nad chłopcem, podając mu tlen, Rebecca kurczowo chwyciła Zacha za rękę.

- Myślę, że wyjdzie z tego - odezwał się jeden z lekarzy. - Oparzenia są dość powierzchowne. Ma tylko kilka poważniejszych ran na plecach i nogach. Największy problem to zatrucie dymem.

Po chwili ambulans odjechał, zabierając obu chłopców. Dopiero wtedy Zach odwrócił się do Rebecki.

- Zdajesz sobie sprawę, że mogłaś zginąć? W jej oczach pojawiły się łzy.

- Tak. I nie próbuj mi teraz wygłaszać kazania na ten temat, bo...bo... - nie była w stanie dalej mówić.

Zach wziął ją w ramiona i mocno przytulił.

Akcja ratownicza była w pełnym toku. Wszystkie wozy znalazły się już na miejscu. Zjawiała się też policja i ustawiła prowizoryczne zapory, żeby utrzymać gapiów w bezpiecznej odległości.

Zach pociągnął Rebecę na drugą stronę ulicy, zamkniętej teraz dla ruchu.

- Wracaj na górę - powiedział. - Jak chcesz, możesz wziąć gorący prysznic, - Ciekawe, czy zdawała sobie sprawę, że jest czarna od sadzy, a we włosach ma kawałki tynku. Zresztą on sam na pewno nie wyglądał lepiej.

- A ty? - spytała Rebecca.

- Muszę tu czekać, aż ugaszą ogień. Potem wejdę do środka, żeby się trochę rozejrzeć.

- To ja też zostaję - powiedziała ze znanym mu błyskiem w oczach.

Chciał zaprotestować, jednak zmienił zdanie. Po prostu uznał, że jest jej to winien. Co więcej, wiedział, że prawdopodobnie nie poradziliby sobie bez jej pomocy. On - albo któryś z chłopców. Do diabła! Teraz do tych wszystkich uczuć, jakie dla niej żywił, dołączyła jeszcze wdzięczność.

Joe Kelly zjawił się na miejscu parę minut po straży pożarnej. Musiał pędzić jak szalony, bo miał do pokonania odległość co najmniej dwa razy większą niż jego koledzy.

Kiedy podszedł, Rebecca uśmiechnęła się z zakłopotaniem.

- Cześć - powiedziała słabym głosem. - Chyba Millie mi wybaczy, że się spóźniam.

Joe dokładnie zlustrował ich wzrokiem. Czuć było od nich dym, a ubrania i twarze mieli pokryte popiołem i sadzą.

- Zabrałeś ją tu ze sobą? - z niedowierzaniem zwrócił się do Zacha.

- No, niezupełnie - uśmiechnął się Zach i pokrótce opowiedział, co się zdarzyło. A potem dodał:

- Chcę mieć dokładny raport ze szpitala. Mają mnie informować o stanie chłopców, zwłaszcza starszego.

Joe skinął głową i przeniósł wzrok na płonący budynek.

- Wiesz, jak to się zaczęło?

- Nie wiem jak, ale wiem kto.

- Znowu miałeś telefon...?
- Jutro się wszystkiego dowiesz.
- Zach...

Rebecca stała obok, przysłuchując się rozmowie. Nagle zaczęła się trząść z zimna. Chwyliła Joe za rękę.

- Mógłbyś pójść do mieszkania Zacha i przynieść nam kurtki? Przy okazji zadzwoń do żony i powiedz jej, że prawdopodobnie zostaniemy tu na noc.

- Już jej mówiłem - uśmiechnął się Joe. Zdjął z ramion wełnianą kurtkę i owinął nią Rebecce. - Rozgrzej się trochę, zanim wrócę. - Odchodząc, mrugnął do Zacha.

- Będziesz miał kłopoty z szefem? - Rebecca z niepokojem spojrzała na Zacha.

- Za co? Za zatajanie informacji czy narażanie życia ulubionej gwiazdy filmowej naszego komendanta?

- Nie narażałem mojego życia. Sama to zrobiłam. Zostaw Fitzgeralda mnie. Jakoś go udobrucham.

- Wykluczone. Odkąd skończyłem pięć lat, sam rozgrywam swoje batalie.

Rebecca uśmiechnęła się.

- Jakoś nie mogę sobie wyobrazić ciebie w tym wieku.

- Chodzi mi o to, że sam sobie poradzę z Fitzgeraldem.

- Czyżbyś był zazdrosny, Chapin?

Chciał się odciąć, ale nic nie przychodziło mu do głowy. Z kłopotliwej sytuacji wybawił go Joe, który zjawił się z kurtkami.

Stali teraz we trójkę, obserwując walkę strażaków z ogniem. Wzrok Zacha prześlizgnął się po grupce gapiów. Wszystko wskazywało na to, że jeden z nich był podpalaczem. Zaczął się przyglądać twarzom, szukając jakiejś wskazówki, czegoś, co mogłoby zdradzić sprawcę. Jakiegoś grymasu, cienia uśmiechu, błysku szaleństwa w oczach. Czy to był ktoś, kogo znał? Ktoś, komu się

naraził? Czy podpalacz wiedział, że w budynku jest dwoje dzieci? Czy liczył na to, że Zach będzie próbował je ratować? Czy ten drań miał nadzieję, że mu się nie uda?

Nagle Rebecca krzyknęła przerażona. Żelazne schody oderwały się od budynku i runęły na ziemię. Objął ją, ale pod spojrzeniem Joe szybko cofnął ramię.

Ostatnią rzeczą, na jaką miał teraz ochotę, były żarty na temat jego słabości do hollywoodzkiej gwiazdy filmowej.

Po jakimś czasie pożar został opanowany. Strażacy założyli maski gazowe i weszli do budynku.

Joe zwrócił się do Zacha:

- Opowiedz mi o tym telefonie.
- Nie bardzo jest o czym mówić.
- Dlaczego on zawsze dzwoni do ciebie? - wtrąciła się Rebecca.
- Nie wiem - wzruszył ramionami Zach. - Może czytał o mnie w gazecie.
- A może cię zna? - podsunęła Rebecca.
- Sprawdziliśmy wszystkich podpalaczy, z którymi Zach miał do czynienia i którzy są teraz na wolności - powiedział Joe. - Wszystkie hipotezy, wszystkie ślady... i nic...

- Może to ktoś, kto ma do ciebie pretensje z innego powodu? - spytała.

Zach skrzywił się.

- Sugerujesz, że nie jestem powszechnie lubiany?
- No wiesz, Zach...
- Sprawdziliśmy i to - powiedział Joe, kiedy Zach na chwilę odszedł, żeby porozmawiać ze strażakami.
- Musi mieć jakichś wrogów - upierała się Rebecca. Joe uśmiechnął się.
- Ludzie naprawdę go lubią. Zwłaszcza kiedy go bliżej poznają.
- A jego była żona? Też go lubi?

- Cheryl? - roześmiał się Joe. - Nie, chyba niespecjalnie... No cóż, jak się kogoś kocha, niełatwo z tym potem skończyć.

Rebecca spuściła wzrok.

- Tak czy inaczej, podpalacz jest mężczyzną. Słyszałam, jak mówił przez telefon. Miał niski, nieprzyjemny głos. Sprawiał wrażenie psychopaty.

- Możliwe...

- A co ty o tym myślisz? - Rebecca spojrzała na Joe.

- Myślenie zostawiam staremu kumplowi - powiedział, mrugając do Zacha, który właśnie wrócił.

- Myślenie o czym? - spytał Zach.

- O tym, dlaczego niektórzy ludzie świrują. Zach uśmiechnął się sceptycznie.

- Gdybym to wiedział, zostałbym psychiatrą, a nie inspektorem straży pożarnej.

- Są jakieś wiadomości o chłopcu? - zainteresowała się Rebecca.

Po raz pierwszy zobaczyła na jego twarzy cień uśmiechu.

- Mówią, że z tego wyjdzie - powiedział. Odetchnęła z ulgą.

- Następny dzieciak może nie mieć tyle szczęścia. - Zach nagle spowaźniał. - Trzeba powstrzymać tego drania. Nie zasnę spokojnie, dopóki go nie złapię.

Dopiero nad ranem zgłiszczą budynku zostały zabezpieczone i wystygły na tyle, żeby ekipa dochodzeniowa mogła wkroczyć do akcji. Joe przyniósł z samochodu skrzynkę ze sprzętem i trzy metalowe kaski. Zach znów próbował wyperswadować Rebecce zamiar towarzyszenia im, ale i tym razem bez skutku. Joe uśmiechnął się pod nosem. Ta dziewczyna jest równie piękna, jak uparta. I ma charakter. Wymarzona partnerka dla jego kumpla.

- Przyjrzyj się temu, Rebecco. - Joe oświetlił latarką opalony skrawek muru w suterenie. - Mniej sadzy, wyższa temperatura. To znaczy, że ogień tlił

się tu przez dłuższy czas, nim nastąpił wybuch.

Rebecca skinęła głową i spojrzała na Zacha, który kilka metrów dalej zbierał kawałki zwęglonej substancji.

- Czego on tam szuka?

- Śladów substancji zapalającej. Miejsca, w którym zaczął się pożar.

Obaj mężczyźni zaczęli w skupieniu przeszukiwać metr po metrze. Zach działał w absolutnym milczeniu. Joe przez cały czas odpowiadał na pytania Rebecki i objaśniał jej każdy kolejny krok, choć wiedział, że to denerwuje jego partnera.

- Chodź tu, Joe - zawołał nagle Zach. - Wydaje mi się, że znalazłem to miejsce. Jeżeli nos mnie nie zawodzi, na pewno znajdziemy tu wyraźne ślady kwasu azotowego.

Joe zbliżył się do Zacha. Rebecca przez cały czas deptała mu po piętach. Nagle przystanęła. Schyliła się i podniosła z ziemi coś, co wyglądało jak moneta, a okazało się złotym guzikiem.

- Ja też coś znalazłam - krzyknęła podniecona. Była wyraźnie rozczarowana, że ani Zach, ani Joe nie zwrócili na guzik większej uwagi.

- Pewnie odpadł komuś od płaszcza - mruknął z roztargnieniem Zach.

- Na przykład komu? - Rebecca nie dawała za wygraną. - Przecież nikt nie mieszkał w tym domu.

- Powiedz to tym chłopcom, których stąd wynieśliśmy.

Joe wsunął guzik do plastikowego woreczka.

- Nie twierdzimy, że to nie jest jakiś ślad. Trzeba wszystko sprawdzić.

- O tak, daj to Adamsowi - odezwał się Zach. Joe uśmiechnął się krzywo, a potem spojrzał na zegarek.

- Coś wam powiem. Pora się zbierać. Nie wiem jak wy, ale ja wracam do domu. Chcę wziąć gorącą kąpiel, przebrać się, a potem muszę gnać do biura.

Zach pobrał jeszcze kilka próbek.

- Wobec tego zobaczymy się w biurze. Zawiozę materiał do laboratorium i wstąpię do szpitala...

Joe spojrział pytająco na Rebeccę.

- Zostanę z Zachem - powiedziała. - Mam u niego swoje rzeczy.

Kilka minut później brała prysznic w jego łazience. Zach siedział w kuchni. Żując zimny placek, zastanawiał się, dlaczego pozwolił jej do siebie wrócić. Powinna była po prostu zabrać swoje walizki i jechać do domu z Joe.

Kiedy owinięta w jego biały szlafrok, rozgrzana od kąpieli, weszła do kuchni, poczuł się, jakby ktoś smagnął go biczem.

I wtedy zrozumiał, dlaczego się na to zgodził.

ROZDZIAŁ 6

- Skoczę do sklepu i kupię coś porządnego na Śniadanie - zaproponował,

- Proszę tylko o kawę.

- Może być nesca?

- Tak. Sama zrobię - dodała, widząc, że Zach podnosi się z miejsca. - Dla ciebie też?

Nie miał ochoty na kawę, ale skinął głową. Przez cały czas zastanawiał się, czy Rebecca ma coś pod tym szlafrokiem.

Rebecca naląła wody do rondelka i postawiła na gazie.

- Właściwie powinienem być na ciebie wściekły - mruknął.

Odwróciła się i spojrzała mu w oczy.

- Nigdy dotąd czegoś takiego nie zrobiłam. Nie uważam się za osobę szczególnie odważną. Szczerze mówiąc, potwornie się bałam.

- To zupełnie normalne - powiedział Zach. Rebecca z trudem przełknęła ślinę.

- Było gorąco, prawda?

- O tak. Bardzo gorąco.

Spuściła wzrok i spojrzała na swoje ręce. Nie wiadomo dlaczego drżały. Pospiesznie ukryła je w kieszeniach szlafroka.

Zach wstał i podszedł do niej.

- Byłaś naprawdę dobra - oznajmił. - Zachowałaś spokój. Nawet w najgorszych momentach nie straciłaś głowy.

Jego pochwały sprawiły jej nieklamana przyjemność. W końcu nie należał do ludzi, którzy nimi szafują na lewo i prawo.

Ale jej radość nie trwała długo, bo Zach chwycił ją nagle za ramiona i brutalnie nią potrząsnął.

- Jeżeli jeszcze raz zrobisz podobne głupstwo, to...

- To co? - Rzuciła mu wyzywające spojrzenie.

Zapadła cisza. Zach wciąż kurczowo trzymał Rebecę. Jej delikatny zapach mącił mu myśli. Rebecce zakręciło się w głowie od dotyku jego gorących dłoni.

- To przerzucę cię przez kolano i sprawię lanie - dokończył, znacznie spokojniej. Nagle wyparowała z niego cała złość. Wizja Rebecki rozciągniętej na jego kolanach wydała mu się tak ekscytująca, że puścił ją, cofnął się o krok i szybko zapalił papierosa.

Ale nie tylko on czuł, że wkraczają na śliski grunt. Rebecca też zdążyła to zrozumieć i była mu nawet wdzięczna, że stara się racjonalnie myśleć za nich oboje.

- Woda się gotuje. - Zdjął z półki dwa kubki i wsypał do każdego po

łyżeczce kawy. Rebecca sięgnęła po ronderek, ale odskoczyła z okrzykiem bólu.

Chwycił ją za rękę i pociągnął do zlewu, puszczając strumień zimnej wody na poparzoną dłoń. Wybuchnęła nerwowym śmiechem.

- Z czego się śmiejesz?

- Wyszłam z płonącego budynku z kilkoma małymi zadrapaniami, a poparzyłam się głupim rondelkiem.

- To rzeczywiście dość śmieszne - przyznał Zach. Zakręcił wodę i zaczął oglądać oparzone miejsce.

- Może trzeba posmarować to maścią?

- Nie. Już wszystko w porządku.

Wciąż stał, trzymając ją za rękę. Po prostu nie mógł jej puścić. Albo raczej nie chciał...

- Rebecca... - Nagle zapragnął jej powiedzieć, że ostatnią rzeczą, jaka mu teraz była potrzebna, jest romans ze znaną aktorką. To byłoby szaleństwo. Idiotyzm. Głupota. Ale skoro już to wiedział, to czemu nagle zabrakło mu słów?

Wolną ręką bezwiednie dotknął jej wilgotnych włosów. Poły szlafroka rozchyliły się, odsłaniając głęboki rowek między piersiami. Musiał przyznać, że dublerka z filmu nie umywała się do prawdziwej Rebecki.

- Zach...

Jego imię zabrzmiało w jej ustach jak ledwo słyszalne błaganie. Serce waliło jej jak młotem. Co sobie o niej pomyśli? Może mu się wydaje, że gwiazdom filmowym takie rzeczy zdarzają się na co dzień? Chciała mu powiedzieć, że to nieprawda. Że zawsze podchodziła do tych spraw z wielką rezerwą. Gdzie wobec tego podziała się tym razem?

Stali blisko siebie. Na twarzy czuła urywany oddech Zacha. Nagle gorąca fala oblała jej piersi, brzuch, uda... Nigdy dotąd jej ciało nie reagowało tak

intensywnie na bliskość mężczyzny.

Palce Zacha zaczęły się bawić włosami Rebecki, a potem zacisnęły się w pięść, odchylając jej głowę do tyłu. Poły szlafroka jeszcze bardziej się rozchyliły.

Poparzona dłoń Rebecki dotknęła jego policzka. Ta krótka pieszczota rozpałała jego zmysły. Przeszli razem przez piekło. Teraz pora na niebo. Chyba sobie na to zasłużyli.

Drżącymi rękami rozwiązał pasek i delikatnie zsunął jej z ramion szlafrok. Nagie ciało zaskoczyło go swoją doskonałością. Z wrażenia zabrakło mu tchu.

Szlafrok opadł na podłogę u stóp Rebecki. Stała naga, skąpana w blasku porannego słońca. Zach patrzył na nią i czuł się głupio szczęśliwy, że to nie jej ciało publiczność ogląda na ekranie. Nagle zapragnął wyłączności.

Chciała się do niego przytulić, ale ją powstrzymał.

- Czuć ode mnie spalenizną. Powinienem... wziąć prysznic.

- Lubię ten zapach - szepnęła, muskając wargami jego ucho. - Nie mogę już dłużej czekać, Zach.

Nagle ogarnęło go szaleństwo. Błyskawicznie zerwał z siebie ubranie, a potem nadzy zwarli się w uścisku.

Zbyt roznamiętnieni, żeby bawić się w jakieś przygotowania, zaczęli się kochać od razu. Zach uniósł Rebecę i posadził na kuchennym blacie, a potem wszedł w nią jednym silnym pchnięciem. Przyjęła go jękiem rozkoszy.

Ich usta spotkały się w pocałunku. Nigdy dotąd Rebecca nie doświadczyła tak bezwstydnej, wszechogarniającej namiętności. Kiedy jej ciałem zaczęły wstrząsać rytmiczne fale spełnienia, z ust wyrwał się dziki krzyk. Wkrótce i Zach podążył za nią...

Kiedy wreszcie odsunęli się od siebie, żadne z nich nie wiedziało, co powiedzieć. I wtedy poczuli jakiś dziwny zapach - woń spalenizny. Na moment ogarnęła ich panika. A potem oboje wybuchnęli śmiechem. Na gazie wciąż stał

rozpalony ronderek, z którego wyparowała cała woda.

Zach szybko wziął prysznic i zmienił ubranie. Kiedy wszedł do pokoju, Rebecca leżała na kanapie, pogrążona w głębokim śnie. Miała na sobie czyste dżinsy i szarą bluzę. Włosy skromnie związała w koński ogon. W niczym nie przypominała ponętnej uwodzicielki, z którą szalał w kuchni przed niespełną godziną.

Przyniósł kołdrę z sypialni i ostrożnie ją okrył. Na sekundę otworzyła oczy.

- Zach?

Delikatnie pogładził ją po policzku.

- Wszystko w porządku. Spij...

- Zdrzemnę się trochę... a potem musimy iść...

- Dobrze - mruknął. Troskliwie otulił ją kołdrą i na palcach wymknął się z pokoju.

Ostry dźwięk telefonu wyrwał Rebeccę ze snu. Nieprzytomnym gestem sięgnęła po słuchawkę, ale jej ręka trafiła w próżnię. Ktoś zabrał aparat. Pokojówka? Gail? Przewróciła się na drugi bok i z głuchym stukiem wylądowała na podłodze. Zdumiona otworzyła szeroko oczy. Nim pojęła, że to nie jest jej luksusowa sypialnia w Malibu, upłynęło dobre parę sekund. I jeszcze kilka następnych, nim zdała sobie sprawę, gdzie się naprawdę znajduje.

Telefon zamilkł. Usłyszała znajomy, pewny siebie głos:

- Nie ma mnie. Proszę zostawić wiadomość. Zerwała się na równe nogi. Nie ma go? Dokąd poszedł? Jak mógł bez niej wyjść po tym wszystkim, co zaszło między nimi?

Nagle wstrzymała oddech. Kto może dzwonić? Podpalacz? A może to Eileen zmieniła zdanie? Serce gwałtownie zabiło jej w piersi.

Z rosnącym napięciem wpatrywała się w automatyczną sekretarkę, a kiedy wreszcie odezwał się głos rozmówcy, kompletnie osłupiała.

- Panie Chapin, mówi Sam Porter, agent Rebecki Fox...

Rzuciła się do telefonu.

- Sam?

- To ty, Rebecca?

- Co się dzieje, Sam? Po co dzwonisz do Zacha?

- Wcale nie dzwoniłem do Zacha, tylko próbowałem jakoś cię namierzyć.

Czyś ty oszalała? Chyba całkiem postradałaś zmysły.

- No, może nie tak całkiem - uśmiechnęła się.

- Nie pora na żarty. Rozmawiałem z Gail. Twój bilet jest do odebrania na lotnisku Logan. Samolot odlatuje o piątej po południu. Czekam na ciebie w Los Angeles.

- Uspokój się. Sam. Nigdzie nie jadę. A już na pewno nie ruszę się stąd przez następne trzy tygodnie. A w ogóle dlaczego jesteś taki zdenerwowany?

- Dlaczego jestem zdenerwowany? Widziałaś dzisiejsze gazety? Słuchałaś porannych wiadomości?

- Nie. Jeszcze nie. Dopiero się obudziłam. - Spojrzała na zegarek i ze zdumieniem stwierdziła, że jest już druga po południu.

Po drugiej stronie słuchawki zapadła cisza.

- Rozumiem - odezwał się po dłuższej chwili Sam.

- Zasnęłam na kanapie. Zacha tu nie ma. - Nie chciała, żeby Sam wyciągnął jakieś wnioski, nawet jeżeli byłyby prawdziwe.

- Dobrze już, dobrze, to nie moja sprawa. Ale to, że nadstawiasz swojego ślicznego karku po to, żeby ratować jakieś dzieci uwięzione w płonącym budynku - to już moja sprawa.

- Ale skąd...?

- Skąd? Skąd? Jesteś znaną osobistością, Rebecca. A od dziś również bohaterką. Ty i ten nieodpowiedzialny idiota, Chapin...

- On wcale nie jest nieodpowiedzialnym idiotą. To... wysoce odpowiedzialny człowiek o wyjątkowym poczuciu obowiązku.

- Wczoraj mówiłaś Gail zupełnie coś innego. Rebecca uśmiechnęła się.

- No tak, ale teraz znam go znacznie lepiej. A poza tym - dodała pospiesznie - on był jeszcze bardziej niż ty wściekły na mnie, za to, że zachciało mi się udawać bohaterkę.

- Och, Rebecco, Rebecco...

- Wiem, Sam. Ja też się nie mogę w tym wszystkim połąpać.

- Wsiądź w ten samolot o piątej, kochanie.

- Nie mogę. Poza tym, jako mój agent, powinienesz szaleć ze szczęścia. Pomyśl tylko, jakie to zrobi wrażenie na Masonie. Jeszcze cię będzie błagać na klęczkach, żebym raczyła przyjąć rolę Toni Paradisi.

- Jeżeli to zrobi, wrócisz do domu?

Rebecca zawahała się. Przecież o to właśnie jej chodziło. A może nie tylko? Ostatnio sprawy przybrały zupełnie inny obrót.

- Posłuchaj mnie - perswadował Sam - jako twój agent jestem bardzo szczęśliwy. Ale muszę o ciebie dbać i nie zaznam spokoju, dopóki cię tu znowu nie zobaczę.

- Od dziś będę się trzymać z dala od płonących domów. Co ty na to, Sam? Wtedy nie będziesz miał powodów do obaw.

- Odnoszę wrażenie, że twoje bohaterskie wyczyny to nie jedyny powód moich obaw.

Znowu musiała się uśmiechnąć. Jej agent znał ją wyjątkowo dobrze.

- Wiem, że ta znajomość prowadzi donikąd, Sam. Może to jeden z tych krótkich, ale gwałtownych romansów, kiedy dwoje ludzi spotyka się we właściwym czasie i miejscu...

Ze słuchawki dobiegło ją głębokie westchnienie.

- To wspaniałe zakończenie scenariusza, Rebecco. Ale w życiu nie zawsze wszystko układa się tak gładko.

Kiedy Zach wszedł do biura, Fitzgerald krążył nerwowo po pokoju. Zły znak.

- Gdzie byłeś, do jasnej cholery? - warknął. - Miałeś się zgłosić dwie godziny temu.

- Byłem w szpitalu - odpowiedział Zach. - Dotrzymałem towarzystwa przerażonemu dzieciakowi, kiedy jego brat miał operację.

Fitzgerald walnął pięścią w leżącą na biurku gazetę - poranne wydanie jednego z bostońskich dzienników. Na pierwszej stronie zdjęcie Rebecki sąsiadowało z fotografią płonącego budynku.

- Pewnie już to widziałeś? Zach skinął głową.

- Ktoś z tłumu albo z prasy musiał ją rozpoznać.

- Wydałem jasne polecenie, Chapin...

- Tak jest. A ja od początku mówiłem, że nie nadaję się na niańkę.

- Nie tylko zlekceważyłeś moje polecenie, by chronić pannę Fox przed niebezpieczeństwem, ale również nie wycofałeś się ze sprawy, od której cię odsunąłem.

Zach oparł dłonie na biurku i nachylił się do Fitzgeralda.

- To moja działka.

- Mylisz się, Chapin. Collins miał rację. Masz zbyt osobisty stosunek do tej sprawy. Straciłeś zdrowy rozsądek. Zaczynasz popełniać błędy. Podejmujesz niepotrzebne ryzyko. Rozumiesz, co do ciebie mówię?

Zach skinął głową. Nie mógł nie przyznać Fitzgeraldowi racji. Tylko że myślał zupełnie o czymś innym. Nie o osobistym zaangażowaniu w kolejną aferę z podpalaczem, ale o swoim związku z hollywoodzką gwiazdą, a od niedawna także miejscową bohaterką, Rebeccą Fox.

Fitzgerald obrzucił go karcącym wzrokiem.

- Weźże się w garść, Chapin.

- Ma pan rację - powiedział Zach. - To właśnie mam zamiar zrobić.

Rebecca i Joe wpadli na siebie pod drzwiami biura. Joe uśmiechnął się szeroko.

- Wyglądasz znacznie lepiej, Rebecco. To znaczy, zawsze wyglądasz dobrze...

- Czy on tam jest? - przerwała mu, wskazując na drzwi.

Joe przecząco potrząsnął głową. Nie była pewna, czy ma mu wierzyć. Chwyciła za klamkę, ale Joe złapał ją za rękę.

- Lepiej tam nie wchodzić, bo się rzucą na ciebie. Chłopaki chcą ci pogratulować. W końcu nie co dzień się zdarza, żeby gwiazda filmowa bawiła się w strażaka.

- Gdzie on jest, Joe? Pojechałam do szpitala - już go tam nie było. Pielęgniarki powiedziały, że czekał na wynik operacji, a potem zabrał młodszego chłopca do schroniska. Pojechałam do schroniska, ale znowu się spóźniłam. Odnoszę wrażenie, że on mnie unika. Co ty o tym sądzisz, Joe? Znasz go przecież.

Joe z uśmiechem odwrócił ją twarzą do Zacha, który właśnie nadchodził w ich stronę.

- Pytaj zawsze u źródła. Oczywiście o ile to możliwe - szepnął, lekko ją popychając.

Chciała powiedzieć Zachowi, co myśli o tym, że zostawił ją samą, ale kiedy zobaczyła, jaki jest zmęczony, zrobiło jej się go żal.

- Powinieneś coś zjeść, a potem iść do łóżka - powiedziała z wyrzutem.

- Rebecco, czy mam powiedzieć Millie, że przyjedziesz wieczorem? - wtrącił się nagle Joe.

- Tak - zdecydowanie odpowiedział za nią Zach. Joe chrząknął znacząco i odszedł w głąb korytarza, zostawiając ich samych.

- Nie musisz się bać, Zach, nie zmieniałam swoich planów - odezwała się

cicho Rebecca.

- Ale ja zmieniłem swoje. Zaniepokojona chwyciła go za rękę.

- Co to ma znaczyć?

- Nie widzisz, co się tu dzieje? - krzyknął. - To wszystko jest bez sensu.

Dzięki twoim popisom mam teraz na karku Collinsa i Fitzgeralda. Mogę w ogóle stracić pracę. A do tego rano przed domem zaatakowała mnie zgraja reporterów. Wypałaś się tylko dlatego, że udało mi się odesłać ich do hotelu.

- A czy ty choć trochę spałeś? Wzruszył ramionami.

- Nic dziwnego, że jesteś w takim kiepskim humorze.

- Nic nie rozumiesz. - Podniósł ręce do góry. - Przewróciłaś mój świat do góry nogami. W głowie mi się kręci od tego wszystkiego...

- Mnie też. - Uśmiechnęła się zalotnie.

- Nie o tym mówię - syknął.

- Nie uważasz, że powinniśmy porozmawiać, Zach?

- Nie. - Wziął papierosa, ale Rebecca wyjęła mu go z ust.

- Chodź, postawię ci porządną kolację. Gdzieś, gdzie są lniane obrusy i czyste serwetki.

- Mam jeść z bandą reporterów na karku? - spytał ponuro.

- Moja asystentka przygotowała komunikat dla prasy. Do wieczora znajdą sobie inny obiekt zainteresowań. A my będziemy mogli w spokoju zjeść kolację. Co ty na to?

- Niech ci będzie - zgodził się z wahaniem. - Ale nie mam ochoty na żadne rozmowy - dorzucił. - Jestem wykończony. Rozumiesz?

- Absolutnie. - Rebecca uniosła dwa palce w górę. - Obiecuję ci, że w ogóle nie będziemy rozmawiać.

- Kochałeś ją?

Zach oderwał wzrok od pstrąga w migdałowym sosie. Rebecca z trudem

powstrzymała się od śmiechu. Siedzieli w zacisznym kącie eleganckiej restauracji na nabrzeżu.

- Kogo? Eileen? - spytał rozdrażniony. Szczerze mówiąc, od ostatniej wiadomości od Eileen poświęcił jej co najwyżej przelotną myśl. Za to inne myśli wręcz kłębiły mu się w głowie. I wszystkie dotyczyły Rebecki.

- Nie, nie Eileen. Cheryl.

- Cheryl? - Zach opuścił widelec.

- Twoją żonę. A raczej była żoną.

- Wiem, kto to jest Cheryl - powiedział poirytowanym tonem. - Byliśmy małżeństwem przez pięć lat. A od trzech lat jesteśmy rozwiedzeni. Chyba o tym wiesz?

- Fakty to jeszcze nie wszystko, Zach. Pociągnął łyk wina i ze źle udaną obojętną wyższością odparł:

- Jasne, że ją kochałem. Przecież ożeniłem się z nią, prawda?

Rebecca w skupieniu smarowała grzanek masłem.

- Jaka ona była? Dlaczego się w niej zakochałeś?

- Nie wiem - stwierdził z zażenowaniem. Zawsze uważał, że uczucia są czymś naturalnym, ale rozmowa o nich to już zupełnie inna sprawa. - Byliśmy młodzi, chodziliśmy ze sobą przez kilka lat, Cheryl uważała, że już czas... Jej rodzina też była tego zdania.

- A ty? Nie chciałeś się żenić? - nalegała Rebecca. Zach westchnął.

- Chciałem. No, może... miałem mieszane uczucia.

- Ale dlaczego?

- Słyszałem to i owo od kolegów. Niełatwo być żoną strażaka. Mam na myśli godziny pracy, ciągłe napięcie, niebezpieczeństwo. Cheryl zapewniała mnie, że sobie z tym poradzi. - Zamilkł i podniósł do ust widelec.

- Nie udało się, co? - spytała cicho Rebecca.

- To chyba jasne. Przecież mnie zostawiła.

- Musiałeś to bardzo przeżyć.

Zacisnął szczęki. W końcu żaden mężczyzna nie lubi, żeby okazywać mu współczucie.

- Nasze małżeństwo nie zawsze było sielanką. Często się kłóciliśmy. Dzielili nas poglądy na wiele spraw. Teraz myślę, że od początku było pomyłką.

Przez dłuższą chwilę jedli w milczeniu.

- Powiedz mi jedno - odezwał się w końcu Zach - dlaczego tak wypytujesz mnie o Cheryl, z którą od lat nic mnie nie łączy? Nie interesuje cię Eileen, która dopiero co mnie rzuciła?

Rebecca uśmiechnęła się.

- Staram się trzymać chronologicznego porządku. No dobrze - ustąpiła, widząc, że jej odpowiedź wcale go nie rozbawiła - nie pytam o Eileen, bo wydaje mi się, że znam odpowiedź.

- No i jak brzmi ta odpowiedź? - zapytał, patrząc na nią z uwagą.

- Nie kochałeś jej. Tak ci było wygodniej. Miły, niezobowiązujący romans. Żadnych wymagań, żadnych obowiązków, żadnych złamanych serc.

Zach wymownie pokiwał głową.

- Naoglądałaś się za dużo hollywoodzkich romansów.

- Założę się, że od czasów Cheryl nie miałeś nikogo. Boisz się, że się znowu sparzysz.

- W moim zawodzie to chyba zaleta.

- Mówię o tym, co robisz po pracy, Zach. O tym, co zaszło między nami...

- Mieliśmy nie rozmawiać o tych rzeczach. - Pociągnął długi łyk wina.

- Czy przez „te rzeczy” rozumiesz to, co robiliśmy dziś rano w kuchni? - spytała.

Zach poczerwieniał i zakrztusił się winem.

- Dlaczego nie ogłosisz tego przez mikrofon? - burknął.

Położyła dłoń na jego rękę.

- Nigdy dotąd nie kochałam się w kuchni. I chętnie wypróbuję pozostałe pomieszczenia w twoim domu.

- Zapomnijmy o tym - powiedział, gwałtownie cofając rękę. - Dziś rano to był tylko... przypadek. Oboje byliśmy w euforii, bo udało nam się uratować te dzieciaki. Mieliliśmy podwyższony poziom adrenaliny.

- Czy było ci tak dobrze jak mnie, Zach? Bo dla mnie to było coś zupełnie nowego. Nigdy w życiu nie byłam taka... podniecona.

Zach głęboko westchnął.

- Dlaczego mi to robisz? - zapytał zmęczonym głosem. - Myślisz, że jak ktoś jest gwiazdą filmową...

- A z kim kochałeś się dziś rano w kuchni? Z gwiazdą filmową czy ze mną?

Wzniósł oczy do góry.

- Wiesz, na czym polegał mój błąd? Powinienem był cię zanieść do sypialni. Gdyby wszystko odbyło się w sposób bardziej konwencjonalny...

Rebecca wybuchnęła śmiechem.

- Ale ty nie jesteś ani trochę konwencjonalny. Ja zresztą też nie.

- Właśnie to mnie martwi.

- Może nie tylko to. Żeby wszystko było jasne, Zach, niczego takiego nie planowałam. To była ostatnia rzecz... Powiedzmy sobie szczerze, nie jesteś najlepszym materiałem na partnera. Trudny z ciebie facet. Jesteś taki uparty, opryskliwy, nerwowy...

- Masz rację. Powinnaś się trzymać swoich kolegów po fachu. Takich jak ten z filmu...

- Naczytałeś się za dużo brukowej prasy... Nie należę do aktorek, które z zasady zakochują się w swoich filmowych partnerach. Unikam aktorów jak najgorszej zarazy. I w ogóle wszystkich facetów z branży. Ostatni mężczyzna, z

którym byłam związana, handlował nieruchomościami. Rozstaliśmy się prawie rok temu. Był miły, wrażliwy i niestety straszliwie nudny. Za to ty, cokolwiek o tobie powiedzieć, na pewno nie jesteś nudny.

Zach nalał sobie kolejny kieliszek wina. Przez cały czas starannie unikał jej wzroku.

- Zaczynj wreszcie te twoje krewetki - burknął - bo ci całkiem wystygna.

- No i co teraz zrobimy, Zach? Spędzimy razem trzy następne tygodnie, udając, że nie dostrzegamy tej niewiarygodnej fascynacji, której ulegliśmy?

- Zawsze jesteś taka bezpośrednia? Rebecca wychyliła się do przodu.

- Strasznie się bałam w tym płonącym budynku. Ale to wszystko nic w porównaniu ze strachem, który czuję teraz.

Zach przyglądał się jej zafascynowany.

Rebecca Fox w niczym nie przypominała kobiet, które znał do tej pory. Czasami zalotna, wręcz prowokująca, w jednej chwili potrafiła zmienić się w bezbronną, wrażliwą istotę. On sam też był przerażony. Ale jako mężczyzna nigdy nie pozwoliliby sobie na okazywanie tego rodzaju słabości.

- Nic z tego nie będzie - odezwał się wreszcie. - Wracaj do domu, Rebecca.

- A co z naszym podpalaczem?

- Naszym podpalaczem? - Odsunął talerz. - No, nie...

- Nie możesz mnie teraz spławić, Zach. Ostatnio coś zrozumiałam. Ja naprawdę chcę ci pomóc.

- Wyleją mnie z pracy.

- Naprawdę boisz się, że to zrobią? - Rebecca miała poważne wątpliwości, czy Fitzgerald zdecydowałby się rozstać z jednym ze swoich najlepszych specjalistów.

Zach milczał.

- Obiecuję trzymać się z daleka od płonących budynków - powiedziała, skromnie spuszczaając wzrok. - I oczywiście od twojej kuchni - dorzuciła, a

kąciki jej ust drgnęły w ledwo dostrzegalnym uśmiechu.

Zach odwoził Rebecę do domu Kellych w Somerville. Był w bardzo kiepskim humorze. Jak podejrzewał, z powodu niewyspania i nadmiernej ilości wypitego wina.

- Wiesz, w czym tkwi największy problem? - zapytał.

- Nie mam pojęcia.

- Żyjemy w dwóch różnych światach. Ja żyję w świecie brutalnej rzeczywistości. Ty - w świecie fantazji. Nasz stosunek do życia jest zupełnie inny. Po prostu inaczej na nie patrzymy.

- Nie urodziłam się aktorką, Zach. A gdybym tak ci powiedziała, że wychowałam się w ubogiej dzielnicy Detroit? Że mój ojciec był urzędnikiem pocztowym, a matka porzuciła nas, kiedy miałam jedenaście lat? Że rano chodziłam do szkoły, a po południu musiałam pracować w sklepie, żebyśmy mogli jakoś związać koniec z końcem? Że mój starszy brat przystał do bandy? Że poszedł do poprawczaka, a w końcu wylądował z pięcioletnim wyrokiem za napad z bronią w rękę?

Zach spojrzał na nią z niedowierzaniem.

- Zapytałbym, z jakiego to filmu.

- „Wołanie o pomoc”. To był mój drugi film i moja pierwsza główna rola. Niestety, studio zbankrutowało i film trafił na półkę. Nie powiem, że bym się tym specjalnie przejęła. Cała ta historia była zbyt banalna. - Uśmiechnęła się. - Chcesz wiedzieć, jak było naprawdę?

- Nie. - Nie chciał poznawać jej jeszcze bliżej. I tak wiedział już więcej, niż był w stanie znieść.

Rebecca zignorowała jego protest.

- Jestem Kalifornijką. Urodziłam się w Santa Monica. Mój ojciec był przemysłowcem, potem przerzucił się na finanse. Mama była obiecującą śpiewaczką. Przez jakiś czas występowała w operetce, ale po urodzeniu mnie

całkowicie poświęciła się rodzinie. Byłam nieprzyzwoicie rozpieszczona, zawsze dostawałam to, czego chciałam, a najbardziej na świecie chciałam zostać aktorką. Oczywiście w moim życiu był taki okres, kiedy musiałam walczyć, ale nigdy nie musiałam pracować w sklepie. Zawsze jakoś wiązałam koniec z końcem.

Zach uśmiechnął się ironicznie.

- I kto tu mówi, że tamten film był banalny? Rebecca roześmiała się. Miała bardzo seksowny śmiech. Nagle pomyślał, że mogłaby się tak śmiać w łóżku, u jego boku, zamiast w samochodzie. Po co wobec tego wiózł ją teraz do Somerville? Poczł nieprzepartą chęć, żeby natychmiast zawrócić. Czemu nie miałby chociaż raz dać się ponieść fantazji?

- A jaka jest twoja historia, Zach?

- Moja historia? - Jego głos zabrzmiał podejrzanie szorstko. - Wychowałem się w jednej z najbiedniejszych dzielnic Bostonu. Mój ojciec nie był urzędnikiem pocztowym, tylko pijakiem. Mama nie porzuciła nas - to znaczy mnie, moich dwóch braci i trzech siostr - tylko pracowała na dwóch posadach, żeby opłacić nasze ciasne, pełne karaluchów mieszkanie. Nie pracowałem w sklepie, ale chwytałem się każdego zajęcia, byle tylko zarobić dolara. Nie wylądowałem w poprawczaku, ale mogło się tak skończyć. Na szczęście miałem wujka, który był strażakiem. Zabrał mnie kilka razy ze sobą, no i wciągnęła mnie ta robota. Zostałem strażakiem, ale po kilku latach zdałem sobie sprawę, że chcę robić coś więcej, niż tylko gasić pożary. Zapraǳnałem walczyć z ludźmi, którzy je wzniecają. Reszta, jak to się mówi, to już historia.

Rebecca popatrzyła na zmienioną twarz Zacha,

- A teraz i mnie wciągnęło - odezwała się cichym głosem.

Oboje zdali sobie sprawę, że chodzi tu o coś więcej niż tylko o ściganie podpalaczy.

Rodzina Kellych mieszkała w niewielkim białym domku z zielonymi

okiennicami. Kiedy Zach zatrzymał się na podjeździe, w jednym z okien zafalowała firanka. Za szybą ukazała się uśmiechnięta dziewczęca buzia. Zach pomachał na powitanie.

- Zdaje się, że klub wielbicieli Rebecki Fox jest w komplecie.

Rebecca spojrzała na niego błagalnym wzrokiem.

- Nie wejdiesz ze mną?

- Jestem zupełnie wykończony - mruknął.

- Proszę cię, Zach, tylko na parę minut.

Zach milczał, bębniąc palcami po kierownicy, choć wiedział, że i tak w końcu ulegnie. Z przerażeniem zdał sobie sprawę, że nie jest w stanie niczego odmówić Rebecce Fox.

ROZDZIAŁ 7

Kiedy Joe Kelly otworzył ozdobione świątecznym wieńcem drzwi, za jego plecami stał już spory tłum.

- Kim są ci ludzie? - szepnęła zaskoczona Rebecca - Myślałam, że będzie tylko Joe z żoną i dziećmi.

W progu powitała ich tęga kobieta w jaskrawo-niebieskiej sukni, o ciemnych, przyprószonych siwizną włosach.

- Jestem Millie Kelly. Prosimy, prosimy - wykrzyknęła z promiennym uśmiechem. - Czekaliśmy na panią. Pozwoliłam sobie również zaprosić sąsiadów i moich braci z rodzinami. Mam nadzieję, że nie ma pani nic przeciwko temu. To taka niezwykła okazja. Kiedy pan Fitzgerald zadzwonił do mnie i zapytał, czy zgodzilibyśmy się gościć panią u siebie, nie wierzyłam własnym uszom.

Ujęła Rebecę pod ramię i wprowadziła do domu, w którym zgromadzili się podekscytowani krewni i przyjaciele.

- Miałaś absolutną rację - zwróciła się do męża. - Panna Fox jest jeszcze piękniejsza niż na ekranie.

Zach przez cały czas trzymał się z tyłu. Od początku, miał ochotę dyskretnie się wycofać, ale kiedy pochwycił błagalne spojrzenie Rebecki, z westchnieniem przyłączył się do towarzystwa.

Ktoś głośno psyknął.

Zapadła cisza. Rebecca zdjęła kurtkę i uśmiechnęła się. Millie zaczęła kolejno przedstawiać jej wszystkich. Rebecca nie była w stanie zapamiętać nawet połowy nazwisk, jednak z każdym z gości zamieniła kilka uprzejmych słów.

Potem rolę mistrzyni ceremonii przejęła matka Joe, Rose, drobna siwowłosa staruszka. Uroczyście poprowadziła Rebecę do niewielkiej jadalni, gdzie nakryty koronkowym obrusem stół uginał się od różnorodności owoców, ciast, słodczy i napojów. Uwagę Zacha przykuła butelka whisky na drugim końcu stołu. Odwrócił głowę. Przypadkiem jego wzrok padł na wiszący na ścianie plakat z Rebecca. Taki sam jak tamten na drzwiach wypożyczalni. Poczul nagły, paraliżujący przypływ pożądania. Nie mógł oderwać oczu od plakatu. Burzliwe wspomnienia ostatniej nocy sprawiły, że nagle zakręciło mu się w głowie.

- Muszę wracać do domu - zwrócił się do Joe. - Przez ostatnią dobę nie zmrużyłem oka.

- Nie możesz w tym stanie siadać za kierownicą - zaprotestowała Millie. - Jeszcze zaśniesz w drodze. Coś takiego przydarzyło się kiedyś mojemu bratu.

- Obiecuję ci, że nie zasnę za kierownicą - zapewnił, ale Millie nie należała do kobiet, z którymi można było dyskutować.

- Zostaniesz u nas na noc. Wyrzucę wszystkich przed dziesiątą, żebyście

się mogli wcześniej położyć. Po tym, co przeszliście, należy wam się trochę spokoju.

Zach i Joe wymienili spojrzenia. Millie pożeglowała w stronę gości, którzy stłoczyli się wokół Rebecki.

- Nie pchajcie się tak - komenderowała. - Tu się nie da oddychać. Junior, ukroj pannie Fox kawałek tortu.

- Przestań mnie nazywać Junior, mam - obruszył się szesnastoletni Joe. - Nie jestem już dzieckiem.

Kiedy Rebecca skosztowała wszystkiego, łącznie z czekoladowym tortem Millie i brzoskwiniowym likierem Rosę Kelly, goście zarzucili ją gradem pytań i komplementów.

- Widziałem wszystkie pani filmy i moim zdaniem, jest pani sto razy lepsza od Julii Roberts...

- Czy to prawda, że uratowała pani tych chłopców, czy to tylko chwyt reklamowy? Gazety wypisują takie rzeczy...

- Kto jest pani ulubionym aktorem, ale tak szczerze? Ja mogłabym się zakochać w prawie każdym. A pani...?

- Te sceny miłosne są chyba krępujące. Trudno mi sobie nawet wyobrazić...

- Czy będzie pani kręcić nowy film w Bostonie? Dałabym wszystko, żeby w nim statystować. Mam nawet pewne doświadczenie...

- Ma pani wspaniałe życie. Te kolacje w luksusowych restauracjach, przyjęcia ze sławnymi ludźmi...

Joe przyniósł Zachowi szklaneczkę whisky.

- Strzel sobie kielicha, stary. Dobrze ci to zrobi.

- Chyba tak. - Zach uśmiechnął się gorzko. - Dlatego lepiej się powstrzymam.

Joe przyjrzał mu się uważnie, kiwając głową.

- Są jakieś wieści z laboratorium? - Zach uznał, że lepiej zmienić temat.

Badawczy wzrok Joe dziwnie go krępował.

- Nie - odpowiedział Joe. - Ale obiecali mi, że jutro rano będę miał raport na biurku. A co z tym dzieciakiem? Widział coś podejrzanego?

- Mówi, że nie - wzruszył ramionami Zach - ale był tak zszokowany i przejęty bratem, że na pewno nie powiedział wszystkiego. Zajrzę jutro do schroniska i spróbuję jeszcze raz z nim pogadać.

- A ten starszy? Kiedy będzie mógł złożyć zeznania?

- Dopiero za parę dni. Zostawię go tobie i Adamsowi. Gdyby Collins wywęszył, że znowu byłem w szpitalu, miałbym poważne kłopoty. - Zawahał się. - A co z tym guzikiem, który znalazła Rebecca?

- Zajrzałem do kilku sklepów z męską odzieżą - powiedział Joe. - Sprzedawcy powiedzieli mi, że to może być guzik od jednego z tych tanich płaszczy przeciwdeszczowych, które sprzedaje się w większości domów towarowych. Udało mi się znaleźć taki płaszcz u Filenesa na wyprzedaży. Miał identyczne guziki. Kupiłem go i zadzwoniłem do producenta. Teraz już takich nie szyją. To seria sprzed kilku lat. Pewnie dlatego był przeceniony.

Zach spojrzał na Rebeccę. Wciąż skupiała na sobie uwagę całego towarzystwa.

- To może być guzik od płaszcza, który miał na sobie podpalacz. Ale na razie to nic nam nie daje.

Joe popatrzył na Zacha, a potem na Rebeccę.

- Jest wprost rozrywana - zauważył. - Nie znam faceta, który nie chciałby teraz być w twojej skórze.

- Tak ci się tylko wydaje - mruknął Zach. - Słuchaj, naprawdę muszę już uciekać.

- W porządku - uśmiechnął się Joe. - Jakoś to załatwię. Tylko trzymaj się mocno kierownicy, bo Millie do końca życia nie da mi spokoju.

Zach niepostrzeżenie wymknął się na dwór. Kiedy wsiadał do samochodu, w jednym z okien uniosła się firanka.

To Rebecca wyszła na chwilę z jadalni i teraz patrzyła na Zacha przez posrebrzone mrozem okno. Ich oczy na moment się spotkały.

- Zobaczymy się jutro - powiedziała bezgłośnie. Zach skinął głową, trzasnął drzwiami wozu i odjechał.

Mężczyzna znowu wtopił się w mrok, tylko mały obłoczek pary zdradzał jego obecność. Z niesmakiem patrzył na ruiny wypalonego budynku, machinalnie uderzając o dłoń zwiniętą gazetą. Na pierwszych stronach znów widniało zdjęcie głównego bohatera - Zacharego Chapina. A teraz na scenę wkroczyła jeszcze ta jego filmowa przyjaciółka. Para martwych bohaterów - to dopiero gra warta świeczki. Dwoje za cenę jednego. Uśmiechnął się. To dobry pomysł.

Podmuch wiatru przejął go chłodem. Postawił kołnierz płaszcza. Chciał zapiąć górny guzik, ale gdzieś odpadł. Zaczął się zastanawiać, gdzie mógł go zgubić, ale szybko zapomniał o guziku, bo po drugiej stronie ulicy zatrzymał się czerwony, wysłużony ford.

Cofnął się jeszcze o krok. Zobaczył, że Chapin wysiada z samochodu. Gdzie mogła teraz być jego piękna dziewczyna? Jednego był pewny, Chapin nie wypuści jej tak łatwo z rąk.

Wzrokiem pełnym nienawiści patrzył, jak Chapin, lekko utykając, idzie w stronę domu. Uśmiechnął się, upatrując pewnej pociechy w tej małej niedoskonałości „bohatera”. Ale najbardziej pocieszała go świadomość, że wszystko na świecie ma swoje miejsce i czas.

Dwoje za cenę jednego. Tak, to doskonały pomysł. Dodatkowa premia. I jeszcze do tego ten dzieciak. Mały błąd, który trzeba jak najszybciej naprawić.

Wyłonił się z ciemności i ruszył w kierunku przystanku. Tramwajem

zielonej linii dojedzie do Dorchester, do schroniska księdza Franka Malrooneya.

Zach wszedł do mieszkania. W powietrzu wciąż unosił się delikatny, egzotyczny aromat. Perfumy Rebecki... Zapalił światło. Kołdra, którą okrył Rebecę tego ranka, leżała porządnie złożona na kanapie. Głośno zaburczało mu w brzuchu. Prawie nie skosztował kolacji i był teraz głodny, ale nie mógł się przemóc, żeby wejść do kuchni. Po prostu bał się wspomnień.

A zresztą, po co się oszukiwać?

Te wspomnienia zbyt głęboko wryły mu się w pamięć. Nigdy nie zapomni palącego pożądania i tej obsesyjnej potrzeby posiadania i bycia posiadany. Nawet podczas miodowych tygodni z Cheryl, kiedy wszystko miało urok nowości, nie było tak jak wczoraj z Rebecą.

Ruszył do kuchni z miną człowieka zdecydowanego stawić czoło każdemu przeciwnikowi. Ze ściśniętym gardłem przekroczył próg. Serce z głuchym łoskotem zaczęło walić mu w piersi. Spojrzał na blat, na którym posiadał Rebecę, i nagle od nowa zaczął przeżywać te burzliwe chwile. Widział opadający szlafrok i posągowe ciało, zbyt doskonałe, by mogło być prawdziwe. Czuł pocałunki i ręce zdzierające z niego ubranie, a potem ciężar Rebecki i oplatające go uda. W uszach zabrzmiał mu jej ponagląjący krzyk...

Natarczywy dźwięk nagle otrzeźwił Zacha. Ocierając pot z czoła, podszedł do telefonu. To dobrze, że ktoś dzwoni. Tego rodzaju wspomnienia są tylko źródłem kłopotów. I to kłopotów przez duże K.

- Słucham?

W słuchawce panowała cisza. Uczucie ulgi momentalnie wyparowało. Zach sprężył się jak do ataku.

- Gadaj, o co chodzi, albo do widzenia - powiedział ostro. Nie był w nastroju do żartów.

Znów żadnej odpowiedzi. Już miał się wyłączyć.

- Pan Chapin? - Głos był dziecinny, nieśmiały.

- To ty, Todd?

- Tak.

Spojrzał na zegarek. Dochodziła dziesiąta.

- Powinieneś być w łóżku. Ksiądz Frank wprowadził ostrą dyscyplinę w schronisku. Chyba nie chcesz już na wstępie zrobić złego wrażenia. Trzeba przestrzegać regulaminu.

- Ja tylko... nie mogłem zasnąć.

- Wiem, jak to jest - łagodnie powiedział Zach, bo tak było naprawdę. Pamiętał wiele nocy, kiedy strach, ból i rozpacz nie pozwalały mu zasnąć.

- Pan naprawdę myśli, że Jerry wyzdrowieje?

- Będzie zdrow jak ryba. - Włożył w to zdanie całą pewność siebie, na jaką było go stać.

- To był głupi pomysł, żeby się ukrywać w tym pustym domu. Ale było tak zimno, a my nie mieliśmy gdzie pójść.

- A wasi rodzice?

- Rozeszli się w zeszłym roku. Nikt nas nie chciał. Przez jakiś czas mieszkaliśmy u ciotki, ale ona nas nie lubiła i ciągle narzekała. A potem ten jej... znajomy... - Głos chłopca załamał się.

Zach zacisnął zęby. Przypomniawszy sobie sine pręgi na plecach Todda.

- Nie wrócisz tam, Todd. Ksiądz Frank zrobi wszystko, żeby znaleźć dla ciebie przyzwoity dom. Dla was obu. Nie martw się. Zaufaj mi. Wszystko będzie dobrze.

- Proszę pana?

- Tak?

- Mówił pan, że ktoś naumyślnie podłożył ogień.

- Rzeczywiście tak mówiłem. I znajdę go. Zapłaci za wszystko. Masz na to

moje słowo.

- Proszę pana, ja chyba kogoś widziałem.

Dłoń Zacha kurczowo zacisnęła się wokół słuchawki.

- Opowiedz mi o tym, Todd.

- Pan mnie pytał, czy widziałem kogoś w budynku. Ale to było na ulicy. Zobaczyłem jakiegoś faceta. Stał przed domem i patrzył w górę. Zaraz potem poczułem dym.

- Widział cię?

- Nie wiem. Nie jestem pewny.

- Możesz go opisać?

- Nie bardzo. Było ciemno. Chyba miał na sobie ciemny płaszcz.

Ciemny płaszcz przeciwdeszczowy. Prawdopodobnie bez jednego guzika, pomyślał Zach.

- Jak on wyglądał, Todd? Pamiętasz jeszcze coś?

- Nie. Muszę już kończyć. Słyszałem czyjeś kroki. Nie chcę, żeby przyłapali mnie na łamaniu regulaminu. Podoba mi się w tym schronisku.

- Nie przejmuj się regulaminem. Pogadam z księdzem... - nie skończył. W słuchawce zapadła głucha cisza.

Szybko wykręcił numer porucznika Denehy'ego z Komisariatu Policji w Dorchester i poprosił o całodobową ochronę dla schroniska, a zwłaszcza dla Todda.

Potem odłożył słuchawkę i wyszedł z kuchni. Odechciało mu się jeść. Z wahaniem spojrzął na drzwi sypialni, ale w końcu wyciągnął się na kanapie, przykrywając się tą samą kołdrą, pod którą ubiegłej nocy spała Rebecca. Wciąż pachniała jej perfumami. Przycisnął materiał do twarzy i zaczął wdychać delikatny aromat. Idiotyczny pomysł, ale dzięki temu powoli zapadł w sen.

Rebecca długo nie mogła zasnąć. I to nie dlatego, że znajdowała się w obcym domu, oddalonym o tysiące mil od jej luksusowej willi w Malibu. Nie mogła zasnąć, bo czuła się tak zdruzgotana, jakby przetoczył się nad nią huragan. Huragan, który nazywał się Zach Chapin. Leżąc w łóżku w gościnnym pokoju Kellych, próbowała dokonać bilansu strat, jakie poniosła w wyniku tego kataklizmu. Fizycznie czuła się dobrze, choć w tym rozpalonym piekle ubiegłej nocy kilka razy zwątpiła, czy w ogóle uda jej się ujść z życiem. Natomiast psychicznie... to już zupełnie inna sprawa. Jej mózg rozpadł się na tysiąc cząsteczek, a w myślach panował nieopisany chaos.

Próbowała sobie tłumaczyć, że to, co czuła do Zacha Chapina, to tylko czysto fizyczny pociąg. Od pamiętnego momentu w kuchni przeżywała nieopisane męki pożądania. Kiedy obudziła się dzisiejszego popołudnia, wcale nie dlatego była rozczarowana, że Zach wyszedł bez niej do pracy. To jego nieobecność sprawiła jej gorzki zawód. Zapragnęła jego ramion, jego miłości. Rzeczywiście chciała wypróbować wszystkie możliwe miejsca w jego mieszkaniu - łazienkę, beżowy dywan w salonie, stolik w kuchni, a nawet, czyniąc zadość tradycji, jego własne łóżko. Kiedy zaproponowała Zachowi wspólny wieczór w restauracji, w głębi duszy marzyła o najbliższym motelu.

A kiedy wiozł ją do Kellych, musiała stoczyć ze sobą walkę, żeby nie chwycić za kierownicę i nie zmusić go do zmiany kierunku - z powrotem do domu.

Usiadła na łóżku i odrzuciła kołdrę. Ciało miała rozpalone i mokre od potu. Odgarnęła z czoła wilgotny kosmyk. Była zła na siebie, że tak się zagalopowała. To uczucie nie było jej do niczego potrzebne, a związek z Zachem nie miał przed sobą żadnej przyszłości. W gruncie rzeczy Zach miał rację, nawet jeżeli posłużył się wyświechtanym frazesem. Żyli w dwóch odrębnych światach. Za trzy tygodnie ona wróci do Hollywood, na swoje śmieci, i wszystko, co się tu wydarzyło, wyda jej się dziwne i odległe jak film,

w którym przypadkowo zagrała.

Tylko że to nie był film ani fikcja, lecz, jak to Zach trafnie określił, brutalna rzeczywistość. Dwaj chłopcy o mały włos nie zginęli ubiegłej nocy w ogniu, podłożonym przez podpalacza. Ona i Zach też mogli paść jego ofiarą. Na wspomnienie zwęglonego ciała w kostnicy przeszedł ją dreszcz. Tamten mężczyzna miał mniej szczęścia. Narzuciła kołdrę na ramiona i zamknęła oczy.

W uszach zadźwięczał jej głos podpalacza - roztrzęsiony, nasączony jadem. Głos człowieka pewnego swojej przewagi, który upaja się poczuciem władzy. Nieludzki, bezlitosny głos. Dlaczego zawsze dzwonił do Zacha? Czy dlatego, że jego nazwisko najczęściej pojawiała się w prasie? Tak przynajmniej twierdził Zach. Czy ten niepoczytalny człowiek chciał się zmierzyć z najtrudniejszym przeciwnikiem? A może miał jakieś bardziej osobiste motywy? Czyżby kierowało nim pragnienie zemsty?

Napięte nerwy nie pozwalały Rebecce zasnąć. Wreszcie zrezygnowana wyskoczyła z łóżka i zeszła na dół, żeby się napić gorącego mleka. W domu było cicho i ciemno. Była pewna, że wszyscy śpią, toteż zaskoczyło ją, że w kuchni pali się światło.

Przy stole nad rozłożoną gazetą siedział Joe Kelly. Gorącym mlekiem popijał resztki czekoladowego tortu. Na dźwięk kroków drgnął, ale zaraz uśmiechnął się z ulgą.

- Uff. Myślałem, że to Millie. Miałbym za swoje - wskazał na talerz z dowodem przestępstwa. - Doktor kazał mi zrzucić parę kilo.

- Nie puszcę pary z ust - w głosie Rebecki zadźwięczał ton nagany - ale przed odjazdem muszę tobie i Zachowi zrobić wykład na temat zdrowej diety.

Joe podniósł do ust kolejny kawałek tortu.

- A kiedy masz zamiar wyjechać? - zapytał ostrożnie. Rebecca skrzyżowała ręce na piersi.

- I ty też? - powiedziała z wyrzutem.

- Nie zrozum mnie źle, Rebecca. Naprawdę jestem pod wrażeniem tego, co zrobiłaś ubiegłej nocy.

- Więc dlaczego chcesz mnie spławić? Joe zawahał się.

- Bo nie lubię patrzeć, jak Zach się męczy - powiedział cicho. - On i tak już przeszedł swoje,

- Wiem. - Zapominając o mleku usiadła przy stole.

- Nic nie wiesz, Rebecca. Czego ty właściwie od niego chcesz? Jesteś gwiazdą filmową. Obracasz się wśród sławnych i bogatych. Do diabła, sama jesteś sławna i bogata. Zach to przyzwoity facet, ale nie pasuje do tamtego towarzystwa.

Gorący rumieniec wypłynął twarz Rebecki.

- Nie chcę go zranić, Joe. Ale sama nie bardzo mogę się rozeznać w tym, co zaszło między nami. Nigdy dotąd nie przeżyłam czegoś takiego. Dwadzieścia cztery godziny z Zachem dały mi więcej niż dwadzieścia cztery miesiące z jakimkolwiek innym facetem. A przecież, jeżeli chodzi o mężczyzn, jestem bardzo ostrożna.

- Zach też jest ostrożny. Ale sposób, w jaki na ciebie patrzy... - Joe potarł podbródek. - Mówił ci o Eileen?

- Niewiele. Odniosłam wrażenie, że nie przejął się zbyt rozstaniem.

- Tak. - Joe wcale nie wyglądał na zdziwionego. - Wiedziałem, że to nie potrwa długo, Ale to miła dziewczyna.

- A Cheryl? - spytała Rebecca.

- Cheryl? - Joe zamyślił się na chwilę. - Chyba też. Przynajmniej od czasu do czasu.

- Zach mówił, że często się kłócili, bo Cheryl nie mogła znieść ciężaru małżeństwa z kimś, kto zawsze był na linii ognia.

Joe uśmiechnął się.

- No właśnie. A swoją drogą, to dobre określenie.

- O co jeszcze się kłócili?
- O parę innych rzeczy. Jak to w małżeństwie - powiedział wymijająco.
- Nigdy nie byłam w takiej sytuacji. Raz tylko omal nie przyjąłam

oświadczyn mojego szkolnego kolegi. Zresztą miesiąc później mnie rzucił.

Joe popatrzył na nią z niedowierzaniem.

- Myślałem, że byłaś zasypywana propozycjami małżeńskimi przez dwadzieścia cztery godziny na dobę.

- Nie przez ludzi, na których mi zależało. - Rebecca przysunęła się do stołu. - Powiedz mi, Joe, o co jeszcze się kłócili, oprócz pracy?

- O różne takie... O pieniądze, codzienne obowiązki, o dzieci...

- Myślałam, że nie mieli dzieci.

- Bo nie mieli.

- Zach nie chciał dzieci? - naciskała.

- Chciał.

- Więc to Cheryl ich nie chciała?

- Nie wiem. Zach mi się nie zwierzał, a Cheryl widywałem dość rzadko.

Może po prostu nie była jeszcze gotowa. - Joe zaczął się wiercić na krześle. - A tak w ogóle, to nie powinienem ci zdradzać rodzinnych sekretów,

- Z kim prócz ciebie mogę o tym porozmawiać? Zach jest człowiekiem skrytym, ale któregoś dnia może eksplodować.

Joe obrzucił ją długim, przenikliwym spojrzeniem.

- Tak. I może to właśnie ty będziesz tą iskrą, od której zajmie się lont.

ROZDZIAŁ 8

Telefon zadzwonił o szóstej piętnaście. Zach z miejsca oprzytomniał. Co

znaczą lata praktyki. Chwycił słuchawkę. Ludzie nie dzwonią tak wcześnie, chyba że mają złe wiadomości. Rzecz w tym, jak bardzo złe.

Gdy tylko usłyszał głos księdza Franka, domyślił się, że chodzi o Todda.

- Chłopiec zniknął - zakomunikował ksiądz.

Dłoń Zacha zacisnęła się w pięść. To jego wina. Nie powinien był zostawiać Todda w schronisku. Zwłaszcza po tym telefonie. Może dzieciak niewiele widział, ale podpalacz nie mógł być tego pewny.

- Kiedy? - Zmusił się do spokojnego tonu.

- Nie mam pojęcia - powiedział ponuro ksiądz. - W nocy żaden z chłopców niczego nie zauważył. Kiedy gong wydzwonił pobudkę o szóstej, łóżko Todda było puste.

- Nie było żadnych telefonów ze szpitala?

- Nie. Myśli pan, że Todd niepokoił się o brata i pojechał do szpitala?

Czy rzeczywiście tak myślał? Nie. Czy miał taką nadzieję? W głębi duszy tak.

- Zaraz to sprawdzę. Zawiadomiliście już policję?

- Jeszcze nie. Najpierw zadzwoniłem do pana - odpowiedział ksiądz. Po chwili dodał: - Pewnie uciekł. Wie pan, takie dzieci...

- Wiem. Dziękuję księdzu. Będę u was niedługo.

- Mam zawiadomić policję czy pan to zrobi?

- Ja to zrobię - powiedział Zach. Chciał powiedzieć kilka słów do słuchu porucznikowi Denehy'emu. Kogo wyznaczył do nadzoru? Dwóch zupełnie zielonych rekrutów?

- Posłuchaj, Zach, moi chłopcy zrobili, co mogli - zmęczonym głosem tłumaczył Denehy. - Oczywiście nie są doskonali. Nikt nie jest doskonały.

- I ty mi to mówisz?

- A co ze szpitalem? Mógł pojechać do brata.

- Sprawdziłem. Nie ma go tam. - To byłoby zbyt proste. Rozpromieniona pielęgniarka poinformowała go, że Jerry czuje się coraz lepiej. Ciekawe, jak będzie się czuł, kiedy się dowie o swoim bracie? Namyśl o tym przeszedł go dreszcz.

- Porozmawiam z moimi chłopakami, Zach. A potem jadę do schroniska. Trochę się rozejrzę i pogadam z dziećmi. Może znajdę jakiś trop.

- Wobec tego spotkamy się w schronisku.

Joe odłożył słuchawkę, zerwał się z łóżka i zaczął się ubierać. Mimo potężnej tuszy ruchy miał szybkie i precyzyjne.

Millie odwróciła się na drugi bok i spojrzała na tarczę budzika. Było wpół do siódmej.

- Co się stało, Joe?

- Ten dzieciak zniknął ze schroniska. Zach podejrzewa, że podpalacz mógł... - Joe wołał nie kończyć. - Muszę już iść, kochanie.

- A co z Rebecca?

Joe spojrzał przez ramię na żonę.

- Może nauczyłabyś ją piec ciasto albo coś w tym rodzaju. Byle tylko utrzymać ją z dala od Zacha. On jest dziś jak bomba zegarowa. W każdej chwili może wybuchnąć.

Budzik Rebecki zadzwonił piętnaście po siódmej. Z trudem otworzyła oczy. Ale przywykła do porannych telefonów, wzywających ją na plan, więc i tym razem przemogła zmęczenie i senność.

Odrzuciła kołdrę i zadrzała. W pokoju było przeraźliwie zimno. Chwyciła koc i owijając się nim, podeszła do okna. Przez zmrożone szyby zobaczyła niebo szare i ciężkie od chmur. Z gałęzi starego wiązu zwisały kryształki lodu. Jakie to niepodobne do słonecznego Malibu...

Kiedy otworzyła drzwi, omal nie zderzyła się z Juniorem, który właśnie wychodził z łazienki. Chłopak oblał się ciemnym rumieńcem.

- Mam nadzieję, że pani nie zbudziłem. Mama urwałaby mi głowę. Staralem się być cicho.

Rebecca uśmiechnęła się.

- Nic się nie stało. I tak musiałam wstać. O wpół do dziewiątej jadę z twoim tatą do pracy.

- Pani jedzie z moim tatą? Ale on...

- Joe - rozległ się z dołu głos Millie - śniadanie ci wystygnie.

O ósmej dziesiątej Rebecca zeszła do kuchni. Miała na sobie dżinsy, czarny sweter z golfem i botki. Przygotowała też torbę z adidasami, na wypadek gdyby mieli z Zachem jeszcze raz przeszukiwać ruiny wypalonego budynku.

Millie uwijała się przy kuchence.

- Mam nadzieję, że lubi pani jajka na bekonie - powitała wesoło Rebecę. - Zapomniałam wczoraj zapytać, co pani jada na śniadanie. Jest pani taka szczupła i zgrabna. Pewnie pani dba o linię, ale chciałam jakoś uczcić nasz pierwszy wspólny dzień, więc postanowiłam upiec szarlotkę. Mam świetny przepis, dostałam go jeszcze od mojej babki. Chętnie panią nauczę...

- Gdzie jest Joe? - udało się w końcu wtrącić Rebecę. - Czy już jadł śniadanie?

- O tak, i on, i Abby są już po śniadaniu. - Millie zaczęła układać plastry bekonu na patelni. - Chodzą do szkoły na ósmą. Woli pani jajka sadzone czy jajecznicę? A może omlet z serem? Mam prawdziwy vermoncki...

- Co się dzieje, Millie? Gdzie jest Joe? Joe senior? Millie przyglądała włosy.

- Wyjechał wcześniej rano.

- Co?

- Niech się pani nie gniewa, Rebecco. To był nagły wypadek. Wyjechał przed siódmą.

Serce głucho załomotało w piersi Rebecki.

- Nagły wypadek? Znowu jakiś pożar?

Millie z niezmaconym spokojem zaczęła ubijać jajka.

- Ach, nie. Nie pożar. Proszę siadać. Omlet zaraz będzie gotowy.

- Co się tu dzieje? - Rebecca podeszła do Millie. - Proszę mi powiedzieć.

Czy ma to coś wspólnego z Zachem? Czy to jego pomysł, żeby Joe wymknął się rano beze mnie?

Millie rzuciła jej karcące spojrzenie.

- Nigdzie się nie wymknął. Wyjechał zaraz po telefonie. I tak by pani nie zdążyła... - Potrząsnęła miską. - Proszę mi podać ser, Rebecca. Jest na górnej półce w lodówce.

- Millie, jeżeli mi pani natychmiast nie powie, co się dzieje, dzwonię do komendanta Fitzgeralda.

Millie pobladła.

- Proszę, niech pani zostanie dziś ze mną w domu. Dla dobra Zacha.

- Więc to ma coś wspólnego z Zachem? - przeraziła się Rebecca. - Co mu się stało? Czy ten podpalacz...?

- Z Zachem wszystko w porządku - zapewniła Millie, skwapliwie unikając wzroku Rebecki.

- Nie wierzę. Przecież widzę, że coś się stało. Było jasne, że Millie kłamie. Miała to wypisane na twarzy. Na pewno chodziło o Zacha. Rebecca ciężko oparła się o kuchenny blat.

- To ten chłopiec...- powiedziała cicho Millie, patrząc na pobladłą twarz Rebecki.

- Jerry? Ten chłopak w szpitalu? O Boże, czy on... Millie chwyciła ją za rękę.

- Nie. Nie Jerry. Jego brat. On... zniknął.

- Jak to zniknął? Chyba uciekł? Millie podeszła do lodówki i wyjęła ser.

- Sama niewiele wiem - mruknęła.

- Ma pani samochód? - spytała Rebecca.
- Tak, ale...
- Gdzie oni są? W schronisku? Gdzie to jest?
- Proszę, Rebecco - Millie oparła się o drzwi lodówki - niech pani tu zostanie. Tak będzie lepiej.
- Mogę pożyczyć pani samochód? - Rebecca w ogóle jej nie słuchała.
- A co ze śniadaniem?
- Zjem je na kolację.
- No to chociaż filiżankę kawy. A może woli pani herbatę? - Sięgnęła do szafki. - Mam nawet prawdziwą angielską. Siostra przywiozła mi z Londynu...
- Co próbuje mi pani powiedzieć, Millie? - przerwała jej Rebecca. Zaczynała powoli rozumieć.

Millie machinalnie wytarła ręce w fartuch.

- Nie wiem, czy pani zdaje sobie sprawę, jakie to niebezpieczne. Każdego dnia, kiedy Joe wychodzi rano do pracy... coś mnie ścisną w piersi... Nawet po tych wszystkich latach. Czasem nie wraca na noc. Nie mogę wtedy zasnąć. Ale są rzeczy gorsze niż pożary...

- Myśli pani o podpalaczach? - cicho spytała Rebecca.

- Niektórym chodzi tylko o pieniądze z ubezpieczenia. Czasem podpalaczami są dzieci, dla zabawy. Ale najbardziej niebezpieczni są ludzie chorzy, niezrównoważeni. Pamiętam tego nieszczęśnika, który podpalił hotel Drake'a. Po raz pierwszy w życiu poszłam na proces. Po prostu musiałam go zobaczyć.

- Dlaczego?

- Bo wtargnął w nasze życie. - Millie popatrzyła przed siebie nie widzącym wzrokiem. - Stał między Joe i mną. Miałam wrażenie, że ten potwór zamieszkał z nami i kradnie nam powietrze, którym oddychamy. To samo odczuwał Zach.

- Może jemu było jeszcze trudniej. Joe nie był sam. Millie skinęła głową.

- Biedny Zach. To było parę tygodni po tym, jak go rzuciła żona. A potem jeszcze ten wypadek. Od tamtej pory stał się innym człowiekiem. Po prostu nagle uszło z niego życie. Powinien był odejść, tak jak to zapowiadał. Albo przynajmniej wyjechać z Bostonu. Zmiana na pewno dobrze by mu zrobiła. - Millie uśmiechnęła się. - Ale Zach rzadko robi to, co dla niego dobre. Jest na to zbyt zajęty. Na tamten proces przychodził codziennie, siadał obok mnie i nie spuszczał wzroku z tego człowieka.

- Jak wyglądał ten podpalacz? Millie zamyśliła się.

- Całkiem zwyczajnie. Przeciętny wzrost, krótko przystryżone ciemne włosy. Takich ludzi codziennie mija się na ulicy. Właśnie to mnie zdziwiło. Joe powiedział mi później, że oni wszyscy na ogół wyglądają zupełnie normalnie.

- Może i wyglądają normalnie - stwierdziła Rebecca - ale poza tym nie ma w nich nic normalnego. Nie widziałam tego typu, którego teraz szukają, ale słyszałam jego głos.

Millie zawahała się.

- Rebecco, Zach obawia się, że to on... mógł... porwać chłopca.

Zapadła głucha cisza. Rebecca miała wrażenie, że ktoś wbija jej nóż w serce. Tylko nie Todd, pomyślała, sparaliżowana bólem i trwogą. Nie to dziecko, które na własnych rękach wyniosła z ognia.

Z oczu trysnęły jej łzy. Po co go ratowała? Żeby go teraz spotkał jeszcze straszniejszy los?

- Niech pani usiądzie - powiedziała łagodnie Millie. - Zrobię pani herbatę i coś do jedzenia.

Rebecca spojrzała na nią przez łzy.

- Nie. Nie. Muszę tam jechać. Proszę, Millie...

Millie skinęła głową i sięgnęła po torebkę. Wręczyła Rebecce kluczyki i wyjaśniła, którądy ma jechać do schroniska. A kiedy Rebecca ruszyła w stronę

drzwi, wsunęła jej do kieszeni kurtki paczuszkę z kanapkami.

Porucznik Denehy był wysokim mężczyzną o kościstej, pokrytej zmarszczkami twarzy i gęstych czarnych włosach.

- Moi chłopcy nie zauważyli, żeby ktoś się tu kręcił. Dzieciaki też niczego nie widziały ani nie słyszały - powiedział, zacierając zziębnięte ręce.

Zach skinął głową.

On też rozmawiał z chłopcami, którzy dzielili z Toddem sypialnię. Przyłączył się do policjantów, którym Denehy zlecił dalsze śledztwo. Nigdzie nie znaleźli śladów walki. Nie było też żadnych rzeczy Todda, ale chłopak i tak miał tylko kilka łachów na grzbiecie i piżamę, którą dostał w schronisku.

Sprawdzono wszystkie wejścia. Nigdzie nie było śladów włamania, ale jedno z okien na korytarzu pierwszego piętra było tylko przymknięte. Ksiądz Frank powiedział, że starsi chłopcy często wchodzili tędy do budynku, zwłaszcza jeśli wracali bardzo późno. Jeszcze raz przepytano dzieci, ale nikt się nie przyznał, by ostatniej nocy korzystał z tej drogi.

Joe dopadł Zacha w holu.

- Musze wezwać Collinsa. Nie powinieneś się tu kręcić.

- Tak, wiem...

Od bramy dobiegły ich podniesione głosy. Odwrócili się i zobaczyli Rebecę. Zawzięcie dyskutowała z policjantem, który pilnował wejścia.

Joe dał znak policjantowi. Zach zaklął pod nosem.

- Skąd się tu wzięłaś? - spytał ostro, kiedy do nich podeszła.

Ale Rebecca nie zwróciła uwagi na jego ton.

- Znaleźliście coś? - spytała bez tchu.

Zach odwrócił się na piecie i poszedł w głąb korytarza. Dogoniła go i złapała za rękę.

- Do diabła, Zach, mam prawo to wiedzieć. Też mam w tym udział. Nie

możesz mnie teraz tak po prostu odsunąć.

Odwrócił się do niej. Oczy płonęły mu gniewem.

- Co mi tu odgrywasz? Urażoną dumę? Jesteś dobra, kotku, bardzo dobra. Ale ja nigdy w życiu nie umiałem się znaleźć. Takim jak ja nikt nie daje gotowych tekstów. Żadnych powtórnych ujęć. A twoja obecność jeszcze wszystko pogarsza...

Joe położył mu dłoń na ramieniu.

- Nie przejmuj się, chłopie. Nikt tu nie zawinił. Zach strząsnął jego rękę i odszedł.

- Dzieciak dzwonił do niego wczoraj w nocy.

Joe sam nie bardzo wiedział, dlaczego mówi o tym Rebecce. Może dlatego, że to właśnie ona znalazła ten guzik, który mógł mieć zasadnicze znaczenie dla śledztwa. A może dlatego, że wyniosła Todda z płonącego budynku. A tak naprawdę to dlatego, że nie starała się ukrywać swoich uczuć do Zacha. A Zach, bez względu na to, jak bardzo się przed tym bronił, też kompletnie zwariował na jej punkcie.

- Oczywiście chłopak mógł po prostu uciec - ciągnął dalej Joe. - Nie ma żadnych dowodów na to, że wpadł w ręce podpalacza.

- Co wobec tego robimy?

- Nic - wzruszył ramionami Joe. - Teraz wszystko zależy od policji.

- Jeżeli Todda spotka jakieś nieszczęście, Zach nigdy sobie tego nie daruje. Mimo iż zrobił wszystko, co mógł.

- Ja to wiem i ty to wiesz, ale on... - Joe uśmiechnął się sceptycznie. - Jadłaś coś rano?

Potrząsnęła głową. Paczuszka Millie, mocno zgnieciona, wciąż tkwiła w jej kieszeni.

- Po drugiej stronie ulicy jest mały barek. Postawię ci kawę i sernik. Lubisz sernik?

- A co z Zachem?

- Zach nie znosi sernika. - Joe wziął Rebecę pod ramię i wyprowadził ze schroniska.

Bezmyślnie żuła sernik, nie odrywając wzroku od schroniska po drugiej stronie ulicy. Nagle zza rogu wyjechał nie oznakowany samochód. Z piskiem kół zatrzymał się przed bramą. Joe chrząknął i szybko dopił kawę.

- Kto to? - zaniepokoiła się Rebecca. Joe już podnosił się z miejsca.

- Nasz szef, Collins. Jak się natknie na Zacha, będzie awantura.

Drzwi budynku otworzyły się właśnie i Zach wpadł wprost w ramiona Collinsa. W pierwszej chwili mężczyźni zamarli, a potem obaj zaczęli krzyczeć.

Joe rzucił na stolik kilka monet.

- Idę do nich. Spróbuję jakoś załagodzić sprawę. Rebecca też chciała wstać, ale ją powstrzymał.

- Lepiej, żeby Collins cię tu nie widział. Będzie miał do Zacha jeszcze większe pretensje. - Uśmiechnął się i wybiegł.

Patrzyła, jak Joe pędzi przez ulicę. Zach i Collins nadal toczyli swój pojedynek na słowa i wyglądało na to, że Joe nie ma najmniejszych szans. Wreszcie z ulgą zauważyła, że udało mu się zwrócić uwagę szefa. Zach stał teraz i patrzył na nich w milczeniu.

- Nie mam czasu na te bzdury. - Zach przerwał Joe, który kłamał jak z nut. Wbiegł na jezdnię.

- Dokąd się wybierasz? - krzyknął za nim Collins. Zach gwałtownie zatrzymał się na środku ulicy zmuszając rozpędzoną taksówkę do wielce ryzykownego manewru.

- Na wakacje - wrzasnął, przekrzykując klaksony. - Mam zaległe trzy tygodnie. Zmywam się stąd.

- Co to wszystko ma znaczyć? - odkrzyknął Collins. - Wtrącasz się w nie swoje obowiązki i...

- A skoro już mówimy o wakacjach - przerwał mu Zach - musicie sobie znaleźć jakiegoś innego przewodnika dla tej waszej hollywoodzkiej gwiazdy.

- Stój, poczekaj. - Collins ruszył za nim wprost pod nadjeżdżający autobus. Joe w ostatniej sekundzie wciągnął go na chodnik.

Kiedy autobus przejechał, Zacha już nie było.

- Mówiłam już policji i inspektorowi, że nie widzieliśmy tu brata Jerry'ego od wczorajszego ranka, to znaczy od operacji. - Pielęgniarka wyraźnie traciła cierpliwość. Tego dnia była już parę razy przesłuchiwana.

Rebecca ze zrozumieniem pokiwała głową.

- Miałam nadzieję, że chłopak wślizgnął się tu niepostrzeżenie. Pamiętam, że sama kiedyś tak zrobiłam. Szpital, w którym leżała moja mama, nie wpuszczał dzieci poniżej trzynastu lat, a ja miałam jedenaście. Udało mi się wejść do pokoju mamy, a kiedy pojawiła się pielęgniarka, schowałam się do szafki... - Było to oczywiste kłamstwo, ale Rebecca była bardzo dumna z zaimprovizowanej naprędce historii.

- Daje mi pani do zrozumienia, że powinnam przeszukać szafkę Jerry'ego?

- Gdyby pani była tak uprzejma. Pielęgniarka uważnie przyjrzała się Rebecce.

- Skądś panią znam. Musiałam już panią widzieć. Mam świetną pamięć do twarzy...

- To możliwe. - Rebecca spojrzała na nią znad wielkich, czarnych okularów, które kupiła w drodze do szpitala. - Mieszkam w Dorchester od piętnastu lat. A pani też jest z Dorchester?

- Nie - odpowiedziała pielęgniarka. - Z Charlestown.

- Mam kuzyna, który mieszka w Charlestown. Nazywa się... Sam Porter. -

Ciekawe, jaką minę zrobiłby jej agent, gdyby się o tym dowiedział.

- Znam Phila Portera. Ma pralnię na Sargeant Street.

Rebecca potrząsnęła przecząco głową, a potem znów zwróciła się do pielęgniarki.

- Może jednak zajrzałyby pani do szafki Jerry'ego? Tak na wszelki wypadek.

Pielęgniarka wzruszyła ramionami.

- No, dobrze. Ale jestem pewna, że go tam nie ma. Od rana krążę między dyżurką a pokojem Jerry'ego i...

- Bardzo proszę...

Pielęgniarka zniknęła. Po niespełna dwóch minutach była z powrotem.

- Mówiłam pani...

W drodze do windy Rebecca sprawdziła jeszcze szafki na korytarzu, a nawet weszła do pustej dyżurki i zajrzała pod kozetkę i za stolik z telewizorem. Nigdzie ani śladu Todda.

Zjeżdżając windą na dół, drżała przejęta chłodem, który nie miał nic wspólnego z ponurą grudniową pogodą. Drzwi otworzyły się i wyszła do holu, przystrojonego już na Boże Narodzenie. Westchnęła ciężko. To będą pamiętne święta, Ze wszystkich najgorszych powodów.

Dokąd ma teraz iść? Z powrotem do biura? Na myśl o tym, że po wyjeździe Zacha Collins musi jej przydzielić nowego partnera, straciła ochotę do życia.

Kiedy zajechała pod dom Zacha, zobaczyła jego forda przed wypaloną kamienicą po drugiej stronie ulicy. Może Zach podejrzewał, że podpalacz wróci na miejsce przestępstwa, ciągnąc ze sobą Todda.

Wysiadła z samochodu i znowu się zawahała. Czy powinna dalej prowadzić poszukiwania na własną rękę? Jednak gdyby coś przydarzyło się temu dziecku...

Nieraz zdarzyło jej się grać w filmach rozpacz, strach, panikę. Teraz po raz pierwszy w życiu rzeczywiście doświadczała tych uczuć. Jakże to wszystko było niepodobne do tego, co odgrywała przed kamerą.

Jakiś cień zamajaczył w głębi wypalonego budynku. Rebecca schyliła się i przeszła pod liną broniącą dostępu do spalonej kamienicy.

- Zach? Zach? Jesteś tam? Nie było odpowiedzi.

Nawet jeżeli tam był, to wcale nie znaczy, że się odezwie. Przecież dał jej to wyraźnie do zrozumienia. Jej i Fitzgeraldowi, i Collinsowi, i Joe... On po prostu chce, by raz na zawsze zniknęła z jego życia.

- Zach, musimy porozmawiać. - Powoli szła w stronę budynku, z nadzieją w duszy, że nie idzie wprost w ręce szaleńca.

- Nie pozbędziesz się mnie tak łatwo, Zach. Zawsze muszę skończyć to, co zaczęłam,. Więc jeżeli ty wybierasz się na wakacje, to ja też.

Niepewnym krokiem weszła do czegoś, co kiedyś było sienią.

- To był nasz chrzest z ognia. Więż, która nas połączyła. Nie próbuj temu zaprzeczać.

Podejrzany szelest sprawił, że zamarła bez ruchu. Może to jednak nie był dobry pomysł? Zach pewnie nie byłby zachwycony, że się tak naraża.

Wyteżając wzrok, spojrzała w ciemną głąb budynku. Zimny dreszcz strachu przebiegł jej po plecach. A jeżeli ten szmer to Todd? Bezradne, zagubione w ruinach dziecko? Może wcale nie był sam? Może to kolejna pułapka zastawiona przez podpalacza?

Czuła, że opuszcza ją odwaga. Nie była w stanie dalej prowadzić poszukiwań. Ale z drugiej strony nie mogła też tak po prostu odejść.

Znowu coś zaszeleściło. Instynktownie skuliła się i zamknęła oczy. Coś przemknęło obok niej, ocierając się o jej nogi.

Otworzyła szeroko oczy i nerwowo zachichotała. I To był kot. Czarny kot.

Co za szczęście, że nie jest przesadna.

Stał ukryty za zwęglonym filarem i uśmiechał się do siebie. Była tak blisko, że czuł delikatny aromat jej perfum, mimo iż powietrze było ciężkie od dymu i spalenizny. Podobał mu się jej zapach. I jej uroda. Nigdy nie miał takiej kobiety. Co takiego powiedziała o tym chrzcie z ognia?

Uśmiechnął się jeszcze szerzej. Chapin nie był jedynym człowiekiem, z którym połączyła się poprzez chrzest z ognia. Był jeszcze on. Tamta noc połączyła ich troje nierozzerwalnym węzłem. Ich pierwszy wspólny chrzest. Ale nie ostatni...

ROZDZIAŁ 9

Poczuła, że musi natychmiast opuścić to przerażające miejsce. Na ulicy przystanęła, żeby zaczerpnąć świeżego powietrza. Machinalnie obracając na palcu pierścionek z rubinem, popatrzyła na dom po przeciwnej stronie ulicy. Wreszcie podjęła decyzję.

Energicznie ruszyła przez ulicę, ale jej determinacja malała z każdym krokiem. Co będzie, jeżeli Zach nie wpuści jej do mieszkania? Albo pozwoli jej wejść, lecz jeszcze bardziej zamknie się w sobie?

Przyszedł jej do głowy pewien pomysł. Zdjęła z palca pierścionek i wsunęła go do kieszeni.

Nacisnęła dzwonek domofonu. Cisza. Właściwie się tego spodziewała. Na szczęście miała w tym budynku jeszcze jednego znajomego.

Zadzwoiła do dozorca. Kiedy stanął w drzwiach, mrugnął do niej, o nic nie pytając. Artykuł w gazecie wyjaśnił, że nie była kuzynką Zacha. Podeszła do windy i nacisnęła guzik czwartego piętra.

Mocno zdenerwowana, zapukała do drzwi.

- Zach, to ja, Rebecca. Musisz mnie wysłuchać. Zgubiłam pierścionelek. Pewnie spadł mi z palca, kiedy spałam u ciebie. Ten pierścionelek ma dla mnie wielką wartość. To cenna pamiątka.

Szczerze mówiąc, nie pamiętała nawet, skąd go ma.

Za drzwiami panowała cisza.

Usłyszała za sobą kroki. Dozorca w milczeniu podszedł do drzwi i otworzył je zapasowym kluczem. W sekundę później Rebecca wślizgnęła się do mieszkania. Przystanęła w przedpokoju, przygotowując się do nieuniknionej konfrontacji. Jednak nikt się nie pojawiał. Ostrożnie weszła do salonu. Nie było w nim nikogo. Zawołała - nikt nie odpowiadał. Drzwi do kuchni były otwarte, ale i kuchnia była pusta. Może Zach wyszedł po papierosy? Albo po coś do jedzenia? Nie mógł przecież odejść daleko, skoro jego samochód stał przed domem. Miała zajrzeć do sypialni, kiedy zadzwonił telefon. Odruchowo chwyciła się za serce. A jeśli to był podpalacz? Może dzwonił w sprawie kolejnego pożaru? Albo w sprawie Todda. Przy trzecim dzwonku zdecydowała, że powinna odebrać.

Zach brał gorący prysznic, kiedy usłyszał przytłumiony dzwonek telefonu. Zakręcił kran i nie zwracając uwagi na spływającą po twarzy wodę, wbiegł do sypialni. W tym momencie telefon przestał dzwonić. Klnąc pod nosem, otarł twarz i zawrócił do łazienki. Nagle z sąsiedniego pokoju dobiegł go znajomy głos. Zapominając o swojej nagości, wpadł jak burza do saloniku. Przy telefonie stała Rebecca, pogrążona i w ożywionej konwersacji.

- Wprost nie mogę w to uwierzyć. To cudownie. Nawet nie wiesz... - Na widok Zacha, nagiego, jak go Pan Bóg stworzył, gwałtownie zamilkła. Gorąca fala uderzyła jej do głowy.

Chciał ją zapytać, co właściwie robi w jego mieszkaniu i jakim prawem odbiera telefony, ale jej widok sprawił, że przestał być panem samego siebie.

Czerwony ze wstydu opuścił ręce, usiłując się jakoś osłonić.

- To Gail - wymamrotała Rebecca.

- Gail?

- Moja... asystentka.

- To wspaniale, tylko dlaczego dzwoni akurat tutaj?

- Nic nie rozumiesz, Zach. - Rebecca na próżno usiłowała oderwać od niego wzrok. - Ona wcale nie dzwoni do mnie, tylko do ciebie, żeby spytać, gdzie można mnie znaleźć. - Uśmiechnęła się promiennie.

- Chodzi o Todda. Jest u Gail.

Zapominając o swojej nagości, Zach rzucił się do telefonu.

- Co to znowu za historia? - warknął, wyrywając słuchawkę z rąk Rebecki.

- Cześć - zaszczębiotała radośnie Gail na drugim końcu linii. - To Zach, prawda?

- Czy Todd jest u pani? - Odwrócił się plecami do Rebecki, czując na sobie jej palące spojrzenie.

- Tak. Jest tu ze mną.

- Tu, to znaczy gdzie?

- W hotelu, w apartamencie Rebecki.

- Jak on się czuje? Chcę z nim porozmawiać. Rebecca łagodnie wyjęła mu z rąk słuchawkę.

- On teraz śpi. Pojedziemy tam później. Bardzo ci dziękuję - zwróciła się do Gail. - Zobaczymy się za kilka godzin.

Odłożyła słuchawkę, a potem, już bez skrupowania, zaczęła oglądać nagie, lśniące od mydła ciało Zacha. W gorączce ubiegłej nocy nie zauważyła pajęczyny blizn pokrywającej jego lewą nogę - pamiątki po pożarze hotelu Drake'a. Ogarnęła ją fala współczucia.

- Widzę, że masz zwyczaj wpadać bez uprzedzenia- sucho zauważył Zach.

- Pukałam kilka razy.

- Brałem prysznic.

Rebecca uśmiechnęła się.

- Masz mydło we włosach.

- Po co wróciłaś? Wsunęła rękę do kieszeni.

- Żeby poszukać tego pierścionka. Miałam zamiar ci powiedzieć, że go u ciebie zgubiłam.

Na ustach Zacha pojawił się cień uśmiechu.

- Och, Zach - odetchnęła z ulgą - Todd jest bezpieczny.

- Nadal nic z tego nie rozumiem.

- Wszystko jest jasne - powiedziała. - Todd przestraszył się w nocy i postanowił mnie odszukać. Przeczytał w gazecie, że zatrzymałam się w „Heritage”. Na szczęście zastał tam Gail, kiedy się zjawił o wpół do dziewiątej rano. Przez całą noc błądził po Bostonie, szukając hotelu.

Zapadła cisza. Rebecca spuściła wzrok.

- Idź, spłucz szampon z włosów, bo sobie później z nimi nie poradzisz - szepnęła zmieszana.

- To nie jest jedyny problem, z którym nie mogę sobie poradzić - mruknął. Napięcie, z którym bezskutecznie zmagał się przez cały dzień, zaczęło go wreszcie opuszczać.

- Chyba nie masz zamiaru przełożyć mnie przez kolano i dać mi w skórę?- spytała znaczącym tonem. Potrząsnął głową i zrobił krok w jej stronę.

- Nie. Nie to miałem na myśli. Nim zrozumiała, co się dzieje, porwał ją na rękę i wniósł do łazienki.

- Co ty wyprawiasz - broniła się słabo.

-O ile dobrze pamiętam, chciałaś tu wypróbować wszystkie pomieszczenia.

- Myślałam, że nie jesteś zainteresowany.

- Każdy mężczyzna przy zdrowych zmysłach byłby zainteresowany, Rebecca. Niestety, ja nie zawsze jestem przy zdrowych zmysłach. W tej chwili,

na przykład, mój umysł zupełnie odmówił mi posłuszeństwa.

- Dobrze, że tylko umysł - szepnęła. Czy to nie cudowne, że jedna dobra wiadomość sprawiła, iż z wrogów znowu stali się kochankami?

Nagle znaleźli się pod prysznicem.

- Przecież jestem ubrana - krzyknęła.

- Ale nie na długo - odpowiedział, puszczając wodę.

Po kilku sekundach była już kompletnie przemoczona.

- Chyba rozumiesz, co to znaczy? - roześmiała się, ocierając twarz. - Muszę tu zostać tak długo, dopóki moje ubranie nie wyschnie.

- W suterenie jest suszarnia - mruknął, zdejmując z niej mokry sweter, a potem szarpnął za suwak od dżinsów. Pomagała mu, czując, jak z każdą chwilą rośnie ich podniecenie.

Wreszcie została w czarnej, koronkowej bieliźnie. Wzrok Zacha prześlizgnął się po posągowych kształtach.

- Czy kręciłaś kiedyś scenę miłosną pod prysznicem? - zapytał.

Potrząsnęła głową. Wilgotne włosy rozsypały jej się na ramiona. Zapachniało lawendą i cytryną.

Zach dotknął jej piersi. Pod mokrą koronką poczuł twardniejące sutki.

- A w życiu? - nalegał, przesuwając dłonie w dół jej brzucha.

Rebecca spojrzała mu w oczy.

- Chcesz wiedzieć, czy robię to po raz pierwszy? Wszystko, co zaszło między nami, jest dla mnie nowością. Chyba się w tobie...

Szybkim pocałunkiem zamknął jej usta, żeby nie słyszeć tego, co tak rozpaczliwie pragnął usłyszeć.

Oddała mu pocałunek, a jej ręce zaczęły błądzić po jego szerokim torsie. Sięgnęła w dół i delikatnie powiodła palcami po wypukłej bliźnie na jego udzie.

Zach powstrzymał jej dłoń.

- Przeszkadza ci to?

- Nie - odpowiedziała szczerze. - Te blizny są częścią ciebie.

- A kim ja jestem? - zapytał, ale znów nie dał jej odpowiedzieć. Przycisnął palec do jej ust. - Nie, lepiej mi nie mów. Nie jestem pewny, czy chcę to wiedzieć.

Ich usta znowu się spotkały. Palce Zacha szarpnęły zapięcie stanika. Rebecca jęknęła, kiedy dotknął jej nagiej piersi, a potem zaczęła sama odkrywać tajniki jego ciała. Ponaglił ją stłumionym szeptem. Ogarnął ich żar, jak wtedy, w kuchni, ale tym razem było inaczej. Nie dążyli już do tak szybkiego spełnienia. Pragnęli niespiesznie sycić się swoją miłością i poznawać nawzajem.

Otoczył ich gorący obłok pary. Zach uwięził dłonie i Rebecki nad jej głową, przyciskając ją do ściany.

- Jesteś cudowny - szepnęła. Opuściła ręce i objęła go za szyję. W gorączce przywarła do niego. - Zach, nie widzisz, że płonę - szeptała mu do ucha.

- Oboje płoniemy - wydyszał i osunął się na kolana, wodząc ustami po jej ciele. Kiedy delikatnym, lecz stanowczym ruchem rozsunął jej uda, z westchnieniem zacisnęła powieki.

Gorący oddech Zacha muskał wewnątrz jej ud, a jego zwinnie język wznicał w niej żar, którego nikt prócz niego samego nie był w stanie ugasić. Kurczowo wczepiła palce w jego włosy.

Kiedy wreszcie podniósł się i wszedł w nią, drżała jak liść, odpowiadając krzykiem na każde jego pchnięcie. Spełnienie nadeszło jak eksplozja, pozbawiając ją tchu i wyciskając jej z oczu łzy.

- Och, Zach... tak bardzo cię kocham... Otworzył usta, żeby jej odpowiedzieć, ale słowa uwięzły mu w gardle, zmieniając się w głuchy krzyk rozkoszy.

Leżeli przytuleni do siebie. Dłoń Rebecki spoczywała na nagiej piersi Zacha. Milczeli.

- Zach - odezwała się wreszcie - odległość nie jest przeszkodą. Dużo ludzi...

- Ale my nie jesteśmy nimi, Rebecco - uciał. Najgorsze są złudzenia, pomyślał. Po co się oszukiwać?

Odsunął ją lekko i spojrzał w oczy. Były takie piękne. Czekoladowe ze złotymi iskierkami. Co za męka namawiać ją, żeby odeszła.

- Teraz jest cudownie, bo jesteśmy razem. Ale nie oszukujmy się, za parę tygodni będzie po wszystkim. A nawet prędzej, jeżeli zmienisz zdanie i skrócisz swój pobyt. - Jego spokojny ton nie zdradzał wewnętrznej rozterki.

- Nie mam zamiaru wracać wcześniej - powiedziała z uporem. - Zastanawiam się, czy w ogóle wracać.

- O czym ty mówisz? Zrezygnowałabyś z kariery? Z filmu, który ma być twoją życiową szansą? Z wielbicieli, efektownych przyjaciół? Tylko po to, żeby zamieszkać ze mną w tym ciasnym mieszkanku i piec ciasto, kiedy ja ścigam podpalaczy?

- Mogłabym naprawdę zostać twoją partnerką. Potrząsnął głową, jakby była niemądrym dzieckiem.

- Zaniosę twoje rzeczy do suszarni. Trzeba jechać. Usiadł, ale Rebecca chwyciła go za rękę.

- Masz rację, to się nie może udać - przyznała. - Nie chcę rezygnować z mojej kariery. To dla mnie bardzo ważne. - Wyprostowała się. - Ale ty też jesteś dla mnie bardzo ważny, Zach. To nie fair, że każesz mi wybierać.

- A kto mówił, że życie jest fair? - Rysy Zacha nagle stężały. - Może ten biedny włóczęga, który się spalił żywcem? Albo Todd i Jerry? A może ja?

Zawahała się.

- Mógłbyś wyjechać ze mną do Los Angeles. Fitzgerald twierdzi, że od lat

chciałeś odejść.

- A co takiego, twoim zdaniem, miałbym tam robić? Pływać w twoim basenie i robić zakupy na Rodeo Drive? A ty w tym czasie będziesz kręcić sceny miłosne z którymś z tych filmowych fireykwów? Nic z tego, moja droga. Nie należę do tamtego świata. Ani ty do tego.

- Och, Zach...

Odwrócił się i objął ją, przytulając do piersi.

- To był naprawdę głupi pomysł - westchnął z żalem i delikatnie pocałował ją w usta. - Lepiej się rozstańmy, póki czas. Wystarczy mi blizn na całe życie. A tobie ich też nie życzę. - Jego głos, choć czuły, był jakby nieobecny.

Jeszcze przed chwilą byli tak blisko siebie. Teraz, mimo iż rozpaczliwie do niego lgnęła, czuła, że z każdą sekundą pogłębia się między nimi niewidzialna przepaść.

Do hotelu pojechali okrężną drogą. Zach chciał mieć pewność, że nikt ich nie śledzi. Rebecca, nie znając miasta, niczego nie podejrzewała. Tym bardziej że jej myśli zajmował teraz tylko i wyłącznie Zach. Za tydzień będą święta, potem Nowy Rok, a potem trzeba będzie wracać do Los Angeles. Czy jeszcze kiedyś zobaczy Zacha? Jeżeli dostanie rolę Toni Paradisi - a po tym wszystkim będzie o nią walczyć do upadłego - przez najbliższe trzy miesiące będzie zajęta. Albo i dłużej. Nie będzie czasu na wizyty w Bostonie. Czy Zach przyleci do niej do Los Angeles?

Na pewno nie, jeżeli nadal będzie tropił podpalacza, kiedy go już złapie, pojawią się następni. I tak już będzie zawsze. Praca posłuży mu za wymówkę, żeby się z nią nie widywać. Niestety wiedziała, że prawdziwa przyczyna jest zupełnie inna. Przelotne spotkania byłyby dla Zacha zbyt bolesne. Dla niej zresztą też. Mimowolnie westchnęła. Zach wyciągnął rękę i pogłaskał ją po udzie.

- Jeżeli chodzi o Todda, zmieniłem plany - powiedział, próbując się skupić na sprawach zawodowych. - Nie wydaje mi się, żeby schronisko było dla niego najlepsze.

- Uważasz, że to zbyt niebezpieczne?

- Skąd wiesz?

- Joe powiedział mi, że Todd dzwonił do ciebie. Wiem też, że widział podpalacza. Co oczywiście znaczy, że podpalacz też mógł go zauważyć.

Zach zjeżył się.

- To niepodobne do Joe, żeby tak paplać.

- Nie złość się na niego - powiedziała - bo tak naprawdę jesteś wściekły na kogoś innego.

Zach milczał.

- Też się w tym wszystkim gubię, Zach. Może gdybyś tak nagle nie wyszedł... z sypialni... A może to wiadomość, że Todd jest bezpieczny, tak na nas podziałała... Gdyby nie to, nie byłoby nam tak dobrze ostatnim razem...

- Jeżeli jestem na kogoś wściekły - przerwał jej Zach - to tylko na siebie. Dobrze wiedziałem, dokąd to prowadzi. Nie trzeba się było w to pakować.

- Próbowalesz ze sobą walczyć.

- Ale nie dość zdecydowanie - uśmiechnął się gorzko.

Resztę drogi przebyli w milczeniu. Niepostrzeżenie wkradła się między nich jakaś obcość. Tylko lekko wilgotne włosy Rebecki przypominały jej, że gorące chwile pod prysznicem nie były wytworem jej fantazji.

Kiedy weszli do hotelu, przysunęła się do Zacha.

- Myślisz, że mogą nas śledzić? - spytała szeptem.

- Chyba nie, ale nie mam tej pewności - odpowiedział. - Rzecz w tym, jak zabrać stąd Todda, żeby nikt nas nie widział.

- Dokąd go zabieramy?

Sam jeszcze tego nie wiedział. Zbliżali się do windy, przed którą stało już kilku hotelowych gości - dwie kobiety i trzech mężczyzn. Kobiety, zadbane i eleganckie, rozmawiały ze sobą z ożywieniem. Stojący obok dwaj mężczyźni wyglądali na zamożnych biznesmenów. Trzymali przerzucone przez ramię wełniane płaszcze. Trzeci mężczyzna był znacznie młodszy. Wysoki, szczupły, o wąskich, przygarbionych ramionach, miał na sobie granatowy płaszcz przeciwdeszczowy. I ten właśnie płaszcz przykuł uwagę Zacha.

Kiedy drzwi windy otwarły się bezszelestnie, Zach przepuścił wszystkich, udając, że szuka czegoś w kieszeniach. Wsiadli do windy jako ostatni.

Na granatowym płaszczu młodego mężczyzny nie brakowało ani jednego guzika. Ale to o niczym nie świadczyło.

Kiedy Rebecca chciała nacisnąć numer piętra, Zach powstrzymał ją nieznacznym ruchem głowy. Zamarła w pół gestu. Ona również zauważyła mężczyznę w przeciwdeszczowym płaszczu.

Mężczyzna wysiadł na siódmym piętrze. Zach i Rebecca odetchnęli z ulgą. Rozplotkowane panie wysiadły na jedenastym, a zaraz po nich biznesmeni.

Na siedemnastym piętrze nie było żywego ducha. Rebecca wskazała Zachowi swój apartament na końcu korytarza.

- Dałam Gail mój klucz - powiedziała, kiedy stanęli pod drzwiami nr 19.

Zach zastukał.

Wstrzymali oddech, czekając na odpowiedź.

Po chwili Rebecca z niepokojem spojrzała na Zacha. Zapukał po raz drugi. Znowu nic. Nerwowo splotła dłonie.

- Gail mogła na chwilę gdzieś wyjść, a Todd pewnie śpi.

- Zjadę na dół i wezmę zapasowy klucz z recepcji - powiedział Zach.

- Chyba nie myślisz...

- Na razie w ogóle nie myślę. Wrócił po kilku minutach, które Rebecce wydały się wiecznością.

- Przez cały czas pukałam... tak na wszelki wypadek. Zanim przekręcił klucz, odwrócił się do Rebecki.

- Odsuń się od drzwi.

- Boże - szepnęła.

Chciał jej powiedzieć kilka krzepiących słów, ale wiedział, że nie da się na nie nabrać. Nie pozostawało mu nic innego, jak tylko otworzyć drzwi i wejść do środka.

Rebecca, drżąc, stała na korytarzu. Kiedy Zach ją zawołał, ostrożnie przekroczyła próg.

- Nie ma nikogo - Zach wyłonił się z sypialni. - Łóżko jest rozgrzebane i jeszcze ciepłe.

- Czy mógł porwać ich oboje? - spytała w poczuciu winy. Przecież to ona namówiła Gail, żeby zajęła jej apartament. Gdyby Gail przeprowadziła się do rodziców, tak jak zamierzała...

Nagle poczuła, że Zach popychają w stronę jednego z obitych brokatem foteli w saloniku.

- Usiądź i odetchnij głęboko. Jesteś blada jak kreda.

Z westchnieniem osunęła się na fotel i dopiero wtedy zdała sobie sprawę, jak bliska była omdlenia.

Zach podszedł do telefonu. Wtedy zobaczył w drzwiach dwie postacie. Todd i Gail - bo to musiała być ona - uśmiechali się promiennie.

- Cześć - zawołała Gail - nie przypuszczałam, że tak prędko przyjedziecie. Zabrałam Todda na lunch do restauracji. Wcinał, aż mu się uszy trzęsły. Czy coś jest nie tak? - zwróciła się do Rebecki. - Wyglądasz, jakbyś zobaczyła ducha.

Rebecca poderwała się z fotela, podbiegła do Gail i zarzuciła jej ręce na szyję.

- Gail! Tak się cieszę, że cię widzę! Todd nieśmiało uśmiechnął się do

Zacha.

- Ach, te aktorki - pokiwał głową Zach.

- Wszystko będzie dobrze - powtarzała Gail, mimo iż Zach tłumaczył jej, że podpalacz nadal może szukać Todda. Niczym nie zrażona upierała się, że nikt nie znajdzie chłopca w jej rodzinnym domu w Scituate, małym nadmorskim miasteczku, oddalonym o niecałe pięćdziesiąt kilometrów od Bostonu.

- A co ty o tym myślisz, Todd? - spytał Zach.

- Chciałbyś spędzić święta z panną McCarthy? Todd zawahał się.

- Tak, tylko... co z Jerrym? Zach objął go ramieniem.

- Jeny jeszcze przez kilka tygodni będzie w szpitalu. Na pewno ucieszy go wiadomość, że jesteś u miłych ludzi.

- Obiecuję ci, że będę go odwiedzała w czasie świąt - dodała Rebecca.

- Czy może mu pani dać zdjęcie z autografem? - nieśmiało spytał chłopiec.

- Oczywiście. I parę innych rzeczy. Na przykład kilka płyt kompaktowych.

Jakie zespoły lubi Jerry?

- Rap. Tylko że... - Todd zarumienił się - on nie ma odtwarzacza... ani nic takiego...

- Może Święty Mikołaj znajdzie w swoim worku mały przenośny odtwarzacz dla twojego brata - uśmiechnęła się Rebecca.

Zielone oczy Todda szeroko się otworzyły.

- O rany! On zwariuje, jak dostanie coś takiego. Zach pogłaskał chłopca po ciemnej czuprynie, która pilnie domagała się fryzjera. Serce ścisnęło mu się w piersi. Gdzie są rodzice tych chłopców? Chętnie powiedziałby im parę słów do słuchu.

Kiedy Gail dzwoniła do rodziców, żeby ich uprzedzić o przyjeździe, Zach wziął Todda na bok.

- Pamiętasz tego faceta, o którym mówiłeś mi przez telefon?

Chłopiec skinął głową.

- Możesz mi go opisać? Todd zacisnął wargi.
- Nie bardzo. Było już ciemno. On wyglądał tak... normalnie.
- Stary? Młody?
- Chyba taki jak pan.
- To znaczy stary - mrugnął do niego Zach. Todd zarumienił się.
- Wysoki? Taki jak ja? - dopytywał się Zach.
- Chyba tak. Coś w tym rodzaju. Trudno mi powiedzieć.
- Rzeczywiście, to nie takie łatwe - przytaknął Zach. - Zwłaszcza kiedy się

patrzy na kogoś z góry. Czy widziałeś jego twarz?

- Było dość ciemno, ale... on miał taką złą twarz.
- Złą? - Zach spojrzał na Rebecce. Podeszła do chłopca.
- Czy taką? - spytała, zaciskając wargi w wąską linię i wciągając policzki.

Todd wybuchnął śmiechem, a potem przyjrzał jej się uważnie. Wreszcie skinął głową.

- Tak, coś w tym rodzaju. Rzeczywiście tak wyglądał. Fajnie pani to robi - dorzucił z podziwem.

Kiedy Gail i Todd odjechali wynajętym samochodem, Zach zwrócił się do Rebecki:

- Skąd wiedziałaś, że ten facet miał pociągłą twarz, wpadnięte policzki i zacięte usta?

- Todd powiedział, że miał złą twarz. Większość dzieci klasyfikuje ludzi według stereotypów z telewizji albo z kina. Złe postacie z filmu tak właśnie wyglądają. Tylko że to nie zaprowadzi nas daleko - westchnęła.

- Może na to nie wygląda, ale posuwamy się do przodu. - Natychmiast ugryzł się w język, ale nie mógł już cofnąć tego „my”. Uśmiech rozjaśnił twarz Rebecki. - Tylko nie wyskakuj z kolejnym pomysłem - dorzucił szorstko. - I tak już ryzykuję, zajmując się tą sprawą. Zwłaszcza teraz, kiedy oficjalnie jestem

na urlopie. Gdyby coś ci się przydarzyło...

Popatrzył na nią bez uśmiechu.

- Chcę cię mieć w jednym kawałku. - Było to coś w rodzaju miłosnego wyznania. Na nic więcej nie mógł się zdobyć.

Rebecca delikatnie pogładziła go po policzku.

- Powinieneś się ogolić.

Uśmiechnął się. Był jej wdzięczny za to, że zmieniła temat.

- Muszę się skontaktować z Joe - oznajmił. - Chyba dostał już raport z laboratorium.

Weszli do jednej z kabin telefonicznych obok recepcji.

Joe odezwał się po pierwszym sygnale.

- To wielka ulga - powiedział po wysłuchaniu wiadomości o Toddzie. - Mam dla ciebie dobrą wiadomość.

- Raport z laboratorium? - ożywił się Zach.

- Miałeś nosa z tym kwasem azotowym. To była jego pochodna. Studenci biorą to, kiedy przygotowują się do egzaminu, albo idą na balangę. Przełamujesz kapsułkę na pół, jeden głęboki wdech i - już jesteś na najwyższych obrotach.

- Myślisz, że nasz podpalacz jest studentem? Todd twierdził, że to ktoś w moim wieku.

Joe roześmiał się ironicznie.

- Może to jakiś wieczny student?

- Albo mieszka w pobliżu uczelni - podpowiedziała Rebecca.

- Czy to głos Rebecki? - zainteresował się Joe. - Widzę, że znowu działacie razem. Millie pyta, czy ma się jej spodziewać na kolacji.

- Tak. Podrzucę ją do was o szóstej - odpowiedział natychmiast Zach, nie patrząc na Rebecę.

- Nie ma mowy. Millie robi gulasz. Jeszcze nigdy nie oparłeś się jej

zaproszeniu.

Zach pomyślał, że ostatnio jest coraz więcej rzeczy, którym nie potrafi się oprzeć.

- No, niech będzie, ale nie posiedzę z wami długo. Rebecca wynagrodziła go uśmiechem.

Zach odwiesił słuchawkę.

- Z czego się tak cieszysz? - mruknął. - Ja też muszę czasem coś zjeść.

Nim opuścili hotel, wykonał jeszcze jeden telefon. Chciał sprawdzić, czy coś nagrało się na jego automatycznej sekretarce. Wysłuchał krótkiego komunikatu i wyłączył się.

- Było coś? - spytała Rebecca.

- Nic takiego - odburknął i ruszył w stronę wyjścia.

Pospieszyła za nim i złapała go za rękaw.

- Od podpalacza?

- Nie.

- Wiec od Eileen, prawda?

Ta kobieta czyta w nim jak otwartej księdze. Wcale mu się to nie podobało.

Przeszli przez hol, nie odzywając się do siebie, a kiedy stanęli przy obrotowych drzwiach, Zach powiedział:

- Tak. To była Eileen.

Na dworze Zach postawił kołnierz skórzanej kurtki, a Rebecca zapięła wiatrówkę pod szyję.

Poszli w stronę samochodu. Nagle Zach przystanął.

- Pewnie chcesz wiedzieć, po co dzwoniła. Bo...

- Zmieniła zdanie - dokończyła za niego Rebecca.

- Nie, tylko uznała, że powinniśmy...

- Porozmawiać?

Sięgnął po papierosa, ale przypomniał sobie, że rzucił palenie.

- Dokładnie tak.
 - Doszła do wniosku, że nie można kończyć znajomości, nagrywając się na sekretarkę.
 - Skąd ty to wszystko wiesz?
 - Bo jestem kobietą. Mogę się założyć, że kiedy Eileen zadzwoniła po raz pierwszy, spodziewała się, że się do niej odezwiesz.
 - Po co miałbym się do niej odzywać? Chyba wyraziła się dosyć jasno - między nami wszystko skończone. Jeżeli to miała być jakaś gra...
 - Najstarsza gra świata. Gra miłosna, Zach.
 - Marny ze mnie gracz.
 - Wiem. - W głosie Rebecki zabrzmiała nuta smutku.
- Wsiadli do samochodu i odjechali. Na końcu ulicy zatrzymali się na światłach.
- Nie zadzwonię do Eileen - powiedział cicho. - Miała rację. Nie byliśmy sobie przeznaczeni.
- Z ukosa spojrział na Rebeccę. Uśmiechała się do siebie.

ROZDZIAŁ 10

- No co, Zach, bawimy się dalej?
- Palce Zacha kurczowo zacisnęły się na słuchawce. Spojrział na stojący u węzłowia budzik. Była druga w nocy. Od ostatniego pożaru upłynęły cztery dni.
- Według ciebie to ma być zabawa? - spytał, sięgając po papierosa. A jeszcze wczoraj chciał rzucić palenie.
 - Pewnie ci się wydaje, że jesteś teraz kimś. Wielki bohater, przyjaciel

gwiazdy filmowej. Powiedz mi, Zach, czy ona jest aż taka gorąca, na jaką wygląda?

Zach poczuł, że wstrząsa nim lodowaty dreszcz.

- O co chodzi, stary? Zapomniałeś języka w gębie? A może jest z tobą Rebecca, co? Rebecca,, Ładne imię. Ale co ty jej możesz dać, Chapin? Ona zasługuje na coś wyjątkowego, prawda?

- Spróbuj się tylko zbliżyć do niej, to...

- To co, Chapin? Załatwisz mnie gaśnicą? Jeszcze się nie nauczyłeś, że mojego ognia nie da się ugasić?

- Tak ci się tylko wydaje. Ale twoje dni są policzone.

- To ty masz mało czasu. Na Stuart Street już śmierdzi dymem. Pośpiesz się, jeżeli znowu chcesz zostać bohaterem.

Pożar wybuchł w barze na Stuart Street, w dzielnicy nocnych lokali. Kiedy Zach dotarł na miejsce, strażacy zdołali już opanować ogień. Większość osób wyszła z pożaru właściwie bez szwanku - pięciu klientów, dwie tancerki, właściciel baru i potężny bramkarz.

Zach podszedł do strażaków. Nagle zauważył osmalony neon nad wejściem. Bar nazywał się „U Rebecki”. Poczuł, że robi mu się słabo.

Oderwał wzrok od napisu.

- Jak to się stało? - zapytał jednego ze strażaków.

- Ten wykidajło mówi, że wybuchła butelka z alkoholem. Szkło rozprysło się tuż obok miejsca, w którym stał, a w chwilę potem lokal stanął w ogniu. To mi wygląda na podpalenie...

Zach bez słowa podszedł do bramkarza. Opatrywano mu niegroźną ranę.

- No i jak? Bardzo źle? Bramkarz potrząsnął głową.

- Miałem cholerne szczęście.

- Chyba tak - przyznał Zach.

- To był jeden błysk. Jakby ktoś wrzucił do środka bombę. Ale nie

zauważyłem nikogo.

- Nie czuł pan jakiegoś szczególnego zapachu?

- Tak - powiedział po namyśle bramkarz - teraz sobie przypominam. Taki dziwny zapach.

- Amoniak?

- Coś w tym rodzaju. Nagle podszedł do nich zdyszany, spocony Joe.

Zach zadzwonił do niego, kiedy podpalacz się wyłączył. Oficjalnie sprawą miał się zająć właśnie on. I jego nowy partner.

- Gdzie Adams?

- Grypa - uśmiechnął się Joe. - Powiedziałem mu, żeby nie wstawał z łóżka, bo mu się pogorszy - wyjaśnił, zacierając ręce. - Czy ktoś jest ranny?

- Nic poważnego. - Zach zawahał się. - Spójrz na szyld nad barem.

Joe podniósł wzrok i cicho gwizdnął.

- Rebecca... dobrze, że nie zauważyła, jak wychodziłem.

- Nie podoba mi się to - stwierdził Zach. - To szalenie. Boję się, że teraz chodzi mu o Rebecę. Musisz ją namówić, żeby wróciła do Los Angeles.

- Myślisz, że mnie posłucha? A poza tym Millie zaprosiła już gości na święta i wszyscy będą chcieli ją poznać. Nie zapominaj też, że miała odwiedzić Jerry'ego w szpitalu. Nakupiła już tyle prezentów...

- Więc zaraz po świętach - kategorycznie oświadczył Zach. - Choćbym miał ją zanieść na rękach do samolotu. Tu się robi zbyt gorąco.

Zbliżało się Boże Narodzenie.

Rebecca usiłowała wprawić się w świąteczny nastrój, ale nie było to łatwe. Po kilku krótkich, cudownych chwilach zawieszenia broni Zach i ona znów zaczęli ze sobą walczyć. Zach traktował ją z chłodną obojętnością i wciąż nalegał, by wyjechała zaraz po świętach. Ale Rebecca uparła się, że muszą wspólnie spędzić sylwestra. Jeżeli do tej pory uda się schwytać podpalacza,

będzie co świętować. I być może Zach będzie w lepszym nastroju do decydującej rozmowy, którą chciała z nim przeprowadzić.

Był sobotni wieczór. Siedzieli na North End, w przytulnej włoskiej restauracyjce. Na krzasiastych obrusach migotały świece, zatknięte w butelki po chianti. Z głośników sączyła się cicha muzyka.

Przez cały tydzień Rebecca daremnie usiłowała wyciągnąć Zacha na kolację. Dopiero kiedy zagroziła, że znów mu złoży niespodziewaną wizytę, uległ.

- Zach, właśnie myślałam...

Obrzucił ją niechętnym spojrzeniem, ale nie dała się zbić z tropu.

- W „Błękitnym płomieniu”...

- W jakim znowu „Błękitnym płomieniu”?

- To ten scenariusz o podpalaczu.

- Ach tak, scenariusz... - mruknął Zach.

- W „Błękitnym płomieniu” sprawcą jest facet, którego Toni Paradisi aresztowała przed laty pod zarzutem podpalenia. Spędził kilka lat w więzieniu, a kiedy wyszedł, postanowił jej udowodnić, że tym razem nie da się złapać.

- Wiem, co będzie dalej - powiedział cierpkim tonem. - W końcu go łapią, a Toni paraduje ze złotym medalem na piersi.

Pociągnęła łyk wina.

- Co się dzieje z tym facetem, który podpalił hotel Drake'a? Nadal jest w więzieniu? - spytała.

Zach potrząsnął przecząco głową.

- No więc? Wtedy udało wam się go złapać. Teraz chce wam udowodnić, że potrafi was przechytryć. Co o tym sądzisz?

Zach uśmiechnął się ironicznie.

- To temat na banalny film. Krytycy nie zostawiliby na nim suchej nitki. Żadnych zwrotów akcji, żadnych niespodzianek. Wszyscy znają rozwiązanie

już po pierwszych pięciu minutach.

- Czy braliście tego faceta pod uwagę? Zach znów potrząsnął głową.
- Chyba nie dlatego, że to zbyt oczywiste?
- Nie.
- No to dlaczego? - nie ustępowała. - Miał alibi za każdym razem?
- Nie.
- Więc czemu, do diabła, nie jest podejrzany? - Rebecca wzniosła ręce do

góry.

Zach spokojnie otarł usta serwetką.

- Bo nie żyje.
- Jak to nie żyje? Od kiedy?
- Od kilku miesięcy. A teraz jedz, bo ci wszystko wystygnie.

Rebecca zignorowała jego uwagę.

- W jaki sposób umarł? - nie dawała za wygraną.
- To ponura sprawa.
- Muszę to wiedzieć - nalegała. - Powiedz mi.
- Jak skończysz deser. Jadłaś kiedyś *cannoli*?. W tej restauracji dają

najlepsze *cannoli* na całym North End...

- Zach - przerwała jego kulinarne wywody. Popatrzył na nią, jakby coś rozważał.

- Spalił się - powiedział w końcu.
- To znaczy, że po wyjściu z więzienia wrócił do dawnego procederu?
- Nigdy nie wyszedł na wolność. Dostał dziesięć lat. Któregoś dnia

podpalił swoją celę.

- Samobójstwo?

Zach wzruszył ramionami.

- Trudno powiedzieć. Mógł planować ucieczkę. Albo chciał zwrócić na siebie uwagę. Albo do reszty zwariował. Już na procesie nie wyglądał na

zrównoważonego.

- Miał jakichś krewnych? - Rebecca zmarszczyła brwi. - Ojca? Matkę?

Rodzeństwo? Dzieci?

- Sprawdziliśmy - powiedział Zach. - Hartman nie był żonaty. Nie udało nam się dotrzeć do jego rodziny. Miał pięćdziesiąt parę lat. Typowy samotnik.

- Jakie były jego motywy? - spytała Rebecca.

- Twierdził, że taka była wola Boga. Mistrzowski plan oczyszczenia miasta.

- Nie rozumiem.

- Podpalał miejsca, w których bywali handlarze narkotyków i prostytutki.

Chciał wypłenić rozpustę.

Zach spojrział na Rebecce i nagle odsunął talerz.

- Chyba jednak *cannoli* się tu pogorszyły. Darujmy sobie deser. Możemy już iść?

- Może byśmy poszli do kina? - zaproponowała, przywołując kelnera.

- Jest już późno - powiedział z roztargnieniem. - O której masz być u Kellych?

- Nie wyznaczyli mi godziny policyjnej. Kelner przyniósł rachunek. Nim Rebecca zdążyła otworzyć torebkę, Zach wyjął z portfela kilka dwudziestek.

- To ja cię zaprosiłam - zaprotestowała.

- Zapłacisz następnym razem.

- Czy w ogóle będzie ten następny raz?

- Jasne, na pewno - mruknął, zakładając płaszcz. Ruszyli w stronę wyjścia.

Zach otworzył przed nią drzwi.

Na opustoszałej ulicy padał gęsty śnieg. Gdzieś tam przemykali zapóźnieni przechodnie. Jakiś człowiek w głęboko nasuniętej na oczy wełnianej czapce wyszedł zza rogu i zderzył się z nimi.

- Przepraszam - wymamrotał i zniknął w mroku.

- Co robimy na sylwestra? - spytała Rebecca.

- Wydawało mi się, że już to ustaliliśmy. Powiedziałaś, że wyjedziesz po świętach.

- Nie, to ty powiedziałeś...

- Ale ty się zgodziłaś.

- Obiecałem tylko, że się zastanowię.

- No i co? Rebecca milczała.

- Przecież widzisz, że to nie ma sensu - naciskał Zach. - Powinnaś jak najszybciej stąd wyjechać.

- Nie chodzi ci tylko o moje bezpieczeństwo, prawda?

Przyciągnął ją do siebie i przycisnął usta do mokrych od śniegu włosów. Śnieg wciąż padał i padał. Boston w tym roku będzie miał prawdziwie białe święta.

- Jedno mogę ci obiecać. Nigdy o tobie nie zapomnę. Nawet nie będę próbował.

- Znajdziesz sobie nową Eileen - szepnęła ze smutkiem.

Uniósł jej podbródek tak, by spojrzała mu w oczy,

- Nigdy nie znajdę nikogo na twoje miejsce. Jesteś wyjątkowa, Rebecco.

- O tak, jestem wyjątkowo uparta i rozpieszczona...

- I fascynująca - uśmiechnął się - i błyskotliwa, a do tego pociągająca jak wszyscy diabli.

Dotknęła jego twarzy, a oczy jej zalśniły.

- Czy to zawołowana propozycja, panie Chapin?

Wytrzymał jej spojrzenie. Nagle świat wokół niego przestał istnieć. Została tylko ta kobieta, którą trzymał w ramionach i której tak rozpaczliwie pragnął.

- Zasypało drogi. Mogą być kłopoty z dojazdem do Somerville - odezwał się stłumionym głosem.

- Nawet poważne kłopoty - przytaknęła. Odgarnął jej z twarzy mokry

kosmyk.

- Chcę się z tobą kochać, Rebecca. Chyba nigdy w życiu niczego bardziej nie pragnąłem.

- Ani ja, Zach.

Chwycili się za ręce i biegiem dopadli samochodu. Rebecca rękawem wycierała zaśnieżoną szybę. Zach próbował otworzyć drzwi. Okazało się, że zamki zamarzły. Spróbował z drugiej strony. Bez rezultatu.

Śnieżyca rozszalała się na dobre.

- I co teraz? - spytała Rebecca.

- Niedaleko jest hotel „Regis”.

- No to na co czekamy? - rozpromieniła się. Zach na chwilę przytulił jej dłonie do piersi.

- To niczego nie zmieni, Rebecca. Tylko nasze rozstanie będzie jeszcze trudniejsze.

- Nie może być trudniej niż teraz - powiedziała, zziębniętymi wargami muskając jego policzek.

Nie planował tego spotkania, nawet w pierwszej chwili był wściekły, ale teraz zmienił zdanie. Wspomnienie jej zdziwionych oczu i przelotnej chwili, kiedy jego ciało zetknęło się z ciałem Rebecki, wprowadziło go w podniecenie. Byłaby jeszcze bardziej zdziwiona, gdyby wiedziała... Ale nie wiedziała.

Wślizgnął się za Zachem i Rebecca do hotelu. Skryty za filarem w holu patrzył, jak wchodzi do windy. Oczy duszy zobaczył ich w łóżku - ich nagie, splecione ze sobą ciała. To mało prawdopodobne, żeby teraz zaprzętała sobie głowę jego osobą, władzą, którą miał nad nimi i zagładą, którą im szykował. Na pewno myślała tylko o Chapinie i o gorących chwilach, które ich czekały.

No, jeśli jest tak bardzo spragniona gorących chwil...

Zaczęli się rozbierać tuż za progiem. Mokre kurtki upadły na podłogę. Po chwili byli już nadszy.

Zach chwycił Rebecę na ręce i zaniósł do łóżka. Drżąc z zimna, wślizgnęli się pod puszystą kołdrę.

Przytuliła się do niego, a ich usta spotkały się w palącym pocałunku. Za każdym razem, kiedy się kochali, doznawali uczucia gorzkiej słodyczy. Czas stawał w miejscu. Nigdy nie wiedzieli, czy to nie jest ten ostatni raz. Ich znajomość dobiegała końca. Każda minuta była bezcenna. Nagle zrozumiała, że to czas był ich największym wrogiem.

- Och, Zach - jęknęła - z tobą jest tak cudownie. Dotknął wargami jej policzka, czując słony smak łez.

- Nie płacz, najdroższa. Proszę cię, nie płacz.

- Ja nie płaczę - szepnęła, powstrzymując szloch. - To... tylko łzy.

Uniosła się i skłoniła głowę, a jej usta zaczęły błędzić po piersi Zacha. Jedwabiste, kasztanowe włosy okryły go połyskliwą kaskadą. Łzy wciąż płynęły jej po policzkach i rozpryskiwały się na jego rozpalonym ciele.

Kiedy dotknęła jego brzucha, zadrżał. Paznokcie Rebecki drażniły delikatne wnętrze jego ud. Każdym nerwem czuł jej gorący oddech i dotyk rozpalonych warg. Wyrafinowane pieszczoty pozbawiały go tchu. Krzyknął ponaglająco.

Na chwilę uniosła się i spojrzała na niego, a jej czekoladowe oczy pełne były miłości i pożądania. Bezgłośnie wyszeptała: „kocham cię”, a potem, rozchylając usta, nisko opuściła głowę.

Oczy Zacha napęłniły się piekącymi łzami. Serce dziko waliło mu w piersi, a puls rozsadzał skronie.

Podciągnął Rebecę do góry i mocno pocałował.

Uklękła nad nim, a jej ciało zaczęło wibrować własnym rytmem. Porwani

wirem namiętności wznosili się coraz wyżej i wyżej, krzycząc z niewysłowionej rozkoszy.

Potem Rebecca wyczerpana osunęła się na pierś Zacha. Otoczył ją ramionami, tuląc usta do gorącego zagłębienia w jej szyi. Wśród szalejącej za oknami zawieruchy przeżywali chwile absolutnego szczęścia i spełnienia.

Nagle nocną ciszę rozdarł ostry dźwięk syreny alarmowej. Rebecca, ogarnięta paniką, poderwała się gwałtownie. Zach wyskoczył z łóżka i podbiegł do drzwi. Ze szczeliny nad progiem sączyła się smużka siniego dymu.

- Ubieraj się. Szybko. - Rzucił jej ubranie na łóżko. W pół minuty byli gotowi. Rebecca podbiegła do okna. Miała nadzieję, że zobaczy wozy strażackie, ale na ulicy kłębił się tylko tłum spanikowanych gości i pracowników hotelu.

Ogarnięta trwogą odwróciła się do Zacha.

- To on. To na pewno on. Przyszedł tu za nami i podłożył ogień. Założę się, że zaczął od naszego piętra. - W jej głosie zabrzmiała histeria.

Zach rzucił jej ostre spojrzenie.

- Wszystko będzie dobrze. Tylko nie trać głowy.

- Masz rację - mruknęła. - Naprawdę nie chciałabym jej stracić. - Uśmiechnęła się z przymusem. - Widzisz, udało mi się nawet zachować poczucie humoru.

- To dobrze - odpowiedział jej uśmiechem. - Oboje będziemy go potrzebowali. Dotknął dłońmi drzwi, badając ich temperaturę, a potem sięgnął do klamki.

- Co chcesz zrobić? - krzyknęła. Poczucie humoru gdzieś wyparowało.

- Ogień musi być już blisko, ale na razie nie jest jeszcze tak źle.

- Straż pożarna powinna tu być lada chwila. Może lepiej poczekać? - Bała się. Bardziej o Zacha niż o siebie. Może właśnie na tym polega miłość.

- Nie ruszaj się stąd. I nie otwieraj drzwi. Wrócę po ciebie - powiedział.

- Zach...

Uśmiechnął się i bezgłośnie wyszeptał parę słów. Dopiero kiedy wymknął się za drzwi, Rebecca zrozumiała, że powiedział: „kocham cię”.

Na korytarzu było ciemno od dymu. Spod zamkniętych drzwi prowadzących na schody ewakuacyjne wydobywały się języki ognia. Ta droga ucieczki była więc odcięta, o czym zdążyła się już ku swojemu przerażeniu przekonać część mieszkańców tego piętra.

Jeden z gości chciał otworzyć drzwi ewakuacyjne. Zach krzyknął, żeby tego nie robił, bo ogień rozprzestrzeni się na całe piętro. Kazał się wszystkim położyć na podłodze, doczołgać do pokoi i nie otwierać drzwi na korytarz. Biła z niego taka pewność siebie, że wszyscy bez sprzeciwu podporządkowali się jego poleceniom.

Żar nie był jeszcze zbyt dotkliwy, ale im bardziej Zach zbliżał się do wyjścia ewakuacyjnego, tym trudniej było mu oddychać. Mimo ataków kaszlu posuwał się naprzód, modląc się wdychu, by ogień nie rozprzestrzenił się poza zasięg hotelowej gaśnicy.

Rebecca stała przy oknie, wypatrując wozów straży pożarnej.

Spóźniały się, prawdopodobnie z powodu śnieżycy. Czy zdążą na czas? Spróbowała połączyć się z Joe Kellym, ale w hotelowej centrali panował kompletny chaos. Znowu wyjrzała na ulicę. Zaczęła się zastanawiać, czy podpalacz tam stoi i cieszy się ze zniszczeń, które były jego dziełem. Kiedy to zaplanował? A może to z nim zderzyła się na ulicy? Nagle nabrała pewności, że mężczyzna, którego widzieli po wyjściu z restauracji, to był on. Szkoda, że mu się bliżej nie przyjrzała. Czy byłaby go w stanie zidentyfikować? Chyba nie. Ale z drugiej strony w takim człowieku musiało być coś, co by go odróżniało od innych - obłąkane pragnienie zemsty, wypaczone poczucie sprawiedliwości, wreszcie czysta nienawiść... Jakie były jego motywacje? Dlaczego tak bardzo chciał zniszczyć Zacha, a teraz także i ją?

Oparła dłonie o lodowate szyby, modląc się, by wreszcie przyjechała straż. Czy kiedy już przyjadą, Zach wróci po nią do pokoju i będzie razem z nią czekać, aż ich ewakuują? Nie. To nie w stylu Zacha. W głębi duszy wciąż był strażakiem. Na pewno nie będzie czekał z założonymi rękami.

Popatrzyła na zamknięte drzwi. Dym wciąż sączył się do pokoju. Było go coraz więcej. Zaczynał ją gryźć w oczy. Dlaczego nie da się otworzyć okna? Mogłaby wtedy zaczerpnąć bodaj łyk świeżego powietrza.

Zastukała w okno. Czy strażacy w ogóle ją zobaczą? Jej pokój znajdował się na dwunastym piętrze, a padający śnieg w znacznym stopniu ograniczał widoczność. Ile jeszcze osób, prócz niej i Zacha, zostało uwięzionych w hotelu?

Gdzie się podział Zach?

Dlaczego wciąż go nie ma? Czy powinna go słuchać i czekać na niego w pokoju? A może powinna wyjść i sprawdzić, czy nie można mu w jakiś sposób pomóc? Przecież człowiek ma tylko jedno życie.

Spod drzwi ewakuacyjnych wydobywał się gęsty, czarny dym. Zach dotknął drzwi. Były już gorące. Jeżeli je teraz otworzy, różnica ciśnień spowoduje eksplozję. Rzeka płomieni porwie go ze sobą, zanim zdąży użyć gaśnicy. Wobec tego trzeba zaatakować ogień z górnego albo dolnego piętra. Tylko jak się tam dostać?

Podbiegł do wind. Były zablokowane. Zerwał ze ściany żelazny czekan, który wisiał obok gaśnic i otworzył nim drzwi pierwszej windy. Unieruchomił je metalowym pojemnikiem i zajrzał w głąb szybu. Kabina utknęła kilka pięter niżej.

Już miał chwycić za kabel, kiedy powstrzymał go czyjś okrzyk. Gwałtownie się odwrócił.

- Do diabła, Rebecca? Czy ci nie mówiłem..,

- Nie pora na kłótnie. Co mam robić? Zaczerpnął tchu i wsunął czekan za pas.

- Pomódl się - powiedział. Przerazona skinęła głową.

Nim zniknął w szybie, mrugnął do niej porozumiewawczo.

Rebecca zamknęła oczy i zaczęła się modlić.

Kiedy je otworzyła i zajrzała w głąb szybu, zobaczyła Zacha wiszącego głową w dół. Czekał od wewnątrz otworzyć drzwi windy na piętrze pod nimi.

Patrzyła na niego, wstrzymując dech.

Nagle usłyszeli głuchy stuk.

To winda ruszyła w górę. Na domiar złego z kabiny wydobywał się dym. Jeszcze jedno źródło pożaru.

Zach słyszał w uszach tykanie uciekających sekund. Pot strumieniem zalewał mu oczy.

- Zamknij drzwi do szybu - krzyknął do Rebecki. - Jeżeli uda mi się ugasić ogień na klatce schodowej i będzie można tamtędy wejść na nasze piętro, otworzę drzwi na końcu korytarza, a ty wywołasz wszystkich z pokoiów.

- Pospiesz się, Zach, błagam cię.

- Jeżeli nie zdążę tego zrobić w ciągu pięciu minut, wracaj do pokoju i czekaj.

- Na pewno ci się uda - krzyknęła. Była zdecydowana nie zamykać drzwi windy, nim się upewni, że Zach bezpiecznie wydostał się na korytarz.

Płonąca kabina przybliżała się nieubłaganie. Już tylko piętro dzieliło ją od Zacha. W każdej chwili...

Rebecca nie była w stanie oddychać. O Boże, spraw, żeby mu się udało.

Wciąż miała zamknięte oczy, kiedy usłyszała krzyk:

- Teraz, Rebecco. Zamknij drzwi!

Spojrzała w dół. Udało mu się. Wydostał się na dolne piętro. Zalana łzami szarpnęła metalowy pojemnik.

Och, nie.. Zablokował się. Lada sekunda winda dotrze na jej piętro, niosąc

ze sobą zagładę.

Nabrała tchu i zebrała wszystkie siły. Udało się! Wyszarpnęła pojemnik i przekoziółkowała do tyłu, uderzając o ścianę.

Drzwi zamknęły się na ułamek sekundy przed tym, nim płonąca winda stanęła na ich piętrze.

Popatrzyła na zamknięte drzwi. Prawdopodobnie były zrobione z niepalnych materiałów. Ale ściany kabiny? Ile czasu potrwa, nim przepali je ogień?

Biegąc do wyjścia ewakuacyjnego, usłyszała w oddali wycie syren. Parę minut później zza drzwi dobiegł ją przytłumiony głos Zacha.

- W porządku, Rebecca. Odsuń się, zbierz innych - wołał między kolejnymi atakami kaszlu.

Stał w tłumie na ulicy i z bladym uśmiechem patrzył, jak Zach i Rebecca opuszczają budynek. Nie był zdziwiony ani rozczarowany tym, że udało im się przeżyć. Ten pożar miał być jedynie ostrzeżeniem. Tym razem chciał się tylko z nimi zabawić. Tym razem...

ROZDZIAŁ 11

Todd nacisnął guzik joysticka. Na ekranie komputera eksplodował trafiony czołg.

- O rany Rebecca – wykrzyknął - ale fajowe gry. To najfajniejsze święta w moim życiu.

Rebecca pogładziła go po krótko przystrzyżonej czuprynie i uśmiechnęła się do Gail. Cichy, smutny chłopiec, którego wyratowała z pożaru, w krótkim czasie zmienił się w wesołe, tryskające energią dziecko.

- A gdzie twoi rodzice, Gail?

- Robią zakupy pod choinkę - półgłosem odparła Gail i ukradkiem wskazała na Todda. - Zostały tylko dwa dni.

Przeszły do wesołej, przestronnej kuchni, o ścianach pokrytych kwiecistą tapetą i jasnych meblach z sosnowego drewna.

- Napijesz się kawy? - spytała Gail.

Rebecca, patrząc w okno, skinęła głową. Po niedawnej zamieci przystań w Scituate tonęła pod grubą pokrywą śniegu. Teraz jednak zaświeciło słońce i po szybie spływały topniejące białe płatki.

Gail wręczyła Rebecce kubek gorącej kawy.

- Opowiedz mi teraz o swoich ostatnich strażackich wyczynach.

Rebecca spojrzała na nią ze zdziwieniem.

- Skąd wiesz o wszystkim? Przecież Zach zadbał o to, żeby nasze nazwiska nie przedostały się do gazet.

- Wczoraj do mnie zadzwonił.

- Zach dzwonił do ciebie, żeby ci opowiedzieć o pożarze?

Gail skinęła głową.

- On się strasznie o ciebie martwi, Rebecco. Podobnie jak ja i Sam.

- Dzwoniliście do Sama?

- Chyba żartujesz. Ciągle nie może się pozbierać po pierwszym pożarze.

Kolejna taka wiadomość wykończyłaby go.

- Więc czego chciał od ciebie Zach?

- Żebym ci wyperswadowała pewne rzeczy - roześmiała się Gail. - Powiedziałam mu, że jestem sekretarką, a nie cudotwórczynią.

- Czy jeszcze coś mówił?

Gail ukroiła dwa kawałki ciasta, które jej matka upiekła tego ranka. Położyła gruby plaster przed Rebecca.

- Jeżeli naprawdę zależy ci na tym facecie... - zamilkła i potrząsnęła głową.

- Mów dalej, Gail.

- Znam ludzi takich jak Zach Chapin - powiedziała cicho Gail. - Wychowałam się wśród twardych, odważnych facetów z robotniczych rodzin. Nie ma w nich za grosz pozy, blichtru, wyrafinowania...

Rebecca skrzyżowała ręce na piersi,

- Wiem, do czego zmierzasz. Chcesz powiedzieć, że Zach i ja należymy do dwóch odrębnych światów.

- A czy chociaż przez chwilę myślałaś, że jest inaczej?

Rebecca znów wpatrzyła się w zimowy krajobraz.

- Nieważne, co myślę. Odkąd poznałam Zacha, zatraciłam zdolność logicznego osądu. - Odwróciła się i zgnębiona spojrzała na przyjaciółkę. - Chodzi o to, co czuję. Kocham Zacha, a on kocha mnie. - Jej oczy wypełniły się łzami. - Ale on chce, żebym zniknęła z jego życia. Myśli, że uda nam się zapomnieć. - Uśmiechnęła się z trudem. - Mam jeszcze tydzień, by go przekonać, że nasza miłość nigdy się nie skończy, czy mu się to podoba, czy nie.

Gail położyła dłoń na ramieniu Rebecki.

- Zach obawia się, że jeśli natychmiast stąd nie wyjedziesz, to naprawdę stanie się coś złego. Mogłabyś lecieć w pierwszy dzień świąt. Po wizycie w szpitalu u Jerry'ego. Jest lot o szesnastej piętnaście. Samochód czekałby na ciebie pod szpitalem. - Zawahała się. - Szczerze mówiąc, zrobiłam ci już rezerwację.

- Nic z tego - kategorycznym tonem oświadczyła Rebecca. - To za wcześnie. A poza tym, już prawie mamy tego podpalacza. Do tej pory to on dyktował warunki, ale teraz przyszła kolej na Zacha. I na mnie. I chcę tu zostać do końca.

- Rebecco, ten facet to psychopata - powiedziała Gail zgnębionym głosem. - Teraz ci się udało. Następnym razem możesz nie mieć tyle szczęścia.

Rebecca zmarszczyła brwi.

- Czy Zach mówił ci, że widziałam tego typu?

- Co takiego? - Gail osłupiała.

- Tylko przez moment. To było takie dziwne. Kiedy wpadłam na niego, przyszło mi do głowy...

- Kiedy na niego wpadłaś?

- Wydaje mi się, że kluczową postacią musi być Hartman.

- Jaki znowu Hartman? Rebecca znów spojrzała w okno.

- Wciąż mam wrażenie, że ktoś obwinia Zacha za śmierć Hartmana.

- To Hartman nie żyje? - Gail potrząsnęła głową.

- Co też ja wygaduję. Przecież nawet nie wiem, kto to jest.

Rebecca nie słuchała, pogrążona we własnych rozmyślaniach.

- Ale kto? - mruknęła sama do siebie.

- O czym ty w ogóle mówisz, Rebecca? - Gail była kompletnie skołowana.- To bez sensu.

Rebecca pokiwała głową.

- Dokładnie to samo powiedział mi wczoraj Zach. Ale może oboje jesteście w błędzie, a ja mam rację. I wtedy Zach będzie musiał jeszcze raz przemyśleć niektóre sprawy. Teraz muszę lecieć. - Podniosła się i uściskała Gail. - Wesołych Świąt i szczęśliwego Nowego Roku dla ciebie i rodziców. Zajrzę jeszcze do Todda, żeby się z nim pożegnać. Twój rodzice są cudowni, że tak się nim zajęli.

Gail uśmiechnęła się tajemniczo.

- Mam wrażenie, że nie będą go chcieli stąd puścić. Rebecca, jedną nogą za drzwiami, raptownie się odwróciła.

- Chcesz powiedzieć, że mogliby go zatrzymać?

- Zastanawiają się nad tym. A nawet więcej niż zastanawiają. Rozmawiali już z adwokatem o adopcji.

- Ale co z Jerrym? Nie powinno się rozdzielać braci.

Gail promieniała.

- Oni też są tego zdania.

- Och, Gail, ci chłopcy mogą mieć cudowne święta - westchnęła Rebecca.

I my wszyscy też... - dodała w myślach, a w jej oczach zalśniły łzy.

Zach ścisnął w dłoniach szklanekę wody sodowej, czekając, aż kelnerka przyniesie kolejne piwo dla Joe.

- Dlaczego chciała wiedzieć, do którego więzienia wysłano Hartmana? - spytał Zach z irytacją w głosie.

- Nie wiem. - Joe wzruszył ramionami. - Miałem jej nie mówić? I tak by się dowiedziała. Wystarczy przejrzeć odpowiedni rocznik „Boston Herald” w pierwszej lepszej bibliotece.

Zach przeczesał palcami włosy. Przydałaby mu się wizyta u fryzjera, ale nie miał teraz do tego głowy.

- Już jej mówiłem, że Hartman nie miał żadnych krewnych ani przyjaciół. Nikt nie pojawił się na jego procesie. Kiedy ogłoszono wyrok, nie było okrzyków oburzenia ani rozpacz.

Joe pociągnął łyk piwa.

- Czy Rebecca uważa, że obecna sprawa ma jakiś związek z procesem Hartmana?

- Tak, ale na pewno się myli.

- No to nie ma się czym martwić - podsumował Joe.

- Przestaną się martwić dopiero wtedy, kiedy Rebecca znajdzie się na pokładzie samolotu do Los Angeles. Jej sekretarka już wszystko załatwiła.

- Rebecca wspominała, że planujecie wspólną Wigilię u ciebie w domu.

- Pierwsze słyszę. - Zach zdumiony uniósł brwi.

- Może to ma być niespodzianka - uśmiechnął się Joe.

Kolejna niespodzianka Rebecki. Tego tylko brakowało.

- Tak czy inaczej, zobaczymy się w pierwszy dzień świąt. Millie i dzieciaki przepadają za Rebecca. - Joe zawahał się. - Wszyscy trzymają kciuki za...

- Za co?

- No wiesz, żeby ona i ty...

- Nie bądź głupi - warknął Zach. Joe uniósł ręce.

- Poddaję się. To nie ja. To Millie i dzieci. Czy to moja wina, że wszyscy uważają was za bombową parę?

Zach nerwowo zabębnił palcami w szklanke.

- Bombowa para. To jest właśnie to.

Miejscowość Beaconville, w której znajdował się zakład karny o zaostrzonym reżimie, była położona blisko sto pięćdziesiąt kilometrów na północ od Bostonu. Kiedy Rebecca stanęła przed masywną bramą więzienia, ogarnęły ją wątpliwości, czy w ogóle uda jej się dotrzeć przed oblicze komendanta. Na szczęście okazało się, że komendant Roger Persons był jej gorącym wielbicielem. Brama otworzyła się i strażnicy zaprowadzili Rebecce wprost do jego gabinetu, oczywiście nie zapominając poprosić o autograf.

- Widziałem wszystkie pani filmy, panno Fox. - Persons, przysadzisty mężczyzna o wydatnej szczęce, mocno uścisnął rękę Rebecki i podsunął jej fotel.

- Trudno w to uwierzyć, ale jest pani jeszcze piękniejsza niż na ekranie.

- Pochlebia mi pan.

- Ależ skąd - gorąco zaprotestował Persons. - Może pani zapytać moich chłopaków.

Rebecca obdarzyła go prawdziwie filmowym uśmiechem.

Pokraśniał z zadowolenia.

- Czy mogę wiedzieć, co sprowadza tak piękną dziewczynę do naszego skromnego więzienia? Albo nie - uniósł rękę, nim zdążyła odpowiedzieć - sam zgadnę. Przygotowania do filmu, prawda? Kręcicie film o więzieniu i chce pani trochę pooddychać więziennym powietrzem. Trafiłem?

- Prawie - przyznała, z uwagą studiując mizerną paproć, jedyną ozdobę ponurego gabinetu. - A tak naprawdę, to ma być film o podpalaczu.

Komendant domyślnie pokiwał głową.

- Aha... o podpalaczu. Ale mam nadzieję, że to nie pani będzie go grała - dorzucił, celując w nią palcem. - Nie chciałbym pani oglądać w roli czarnego charakteru.

- Oczywiście, że nie. Podpalaczem będzie mężczyzna. Byłam w Bostonie parę lat temu i przypominam sobie, że czytałam o jakimś podpalaczu, który odbywał karę w waszym więzieniu.

Komendant ściągnął brwi.

- Tu? W Beaconville? Mieliśmy kilku takich... O którym pani czytała?

- O Douglasie Hartmanię.

Komendant splótł palce i patrzył na nią w skupieniu.

- To był niezwykle interesujący przypadek - dorzuciła.

- Tak pani uważa?

- Hartman bardzo przypomina postać podpalacza w scenariuszu.

- Doprawdy?

- Widzi pan, mam grać przyjaciółkę podpalacza - skłamała bez mrugnięcia okiem. - Dlatego zastanawiałam się, czy może Hartman miał jakąś narzeczoną.

Rebecca wychyliła się do Persons.

- Czy ktoś go tu odwiedzał? Niech pan sobie przypomni.

Komendant w skupieniu rozważał jej słowa.

- Nie jestem pewny - powiedział wreszcie. - Trzeba będzie sprawdzić w książce widzeń. - Zawahał się. - Muszę się pani przyznać, że niezbyt chętnie

wracam do tamtych czasów. Tu, w Beaconyille, nie lubimy odgrzebywać starych spraw.

- Oczywiście - szybko zgodziła się Rebecca. - Pomyślałam tylko, że pomógłby mi pan lepiej zrozumieć charakter tej kobiety, gdyby...

- Chyba wiem, o co pani chodzi. - Persons wydał wargi. - Prawdę mówiąc, trudno mi sobie wyobrazić, żeby taki Hartman mógł mieć jakąś kochankę. To zimny, obojętny typ. Małomówny. Z nikim się nie zadawał. Odsiadywał tu wyrok, aż do... No... to już inna sprawa.

- Ma pan rację - przyznała Rebecca z uwodzicielskim uśmiechem.- Ale kiedy pan pójdzie na mój najnowszy film, będzie pan miał tę satysfakcję, że osobiście pomógł mi w lepszym zrozumieniu roli.

Komendant uśmiechnął się i spojrzał na telefon, a potem znów na Rebecę.

- Wciąż trudno mi w to uwierzyć. Rebecca Fox tutaj, w moim gabinecie.

Dwadzieścia minut później położono przed Rebecca stos grubych zeszytów. Otworzyła książkę obejmującą pierwszy okres pobytu Hartmana w więzieniu. Sprawdziła pierwszy miesiąc - nic. Pod koniec drugiego, kiedy już prawie traciła nadzieję, nieoczekiwanie natrafiła na nazwisko Janet Chudnow. Od tej pory nazwisko to pojawiała się w księdze regularnie, raz w miesiącu. Wizyty skończyły się w sierpniu. Prawdopodobnie właśnie wtedy Hartman zginął w pożarze, który wzniecił w swojej celi.

Zapisała nazwisko, adres i telefon osoby odwiedzającej Hartmana. Kiedy opuszczała więzienie, w jej głowie kłębiły się dziesiątki pytań. Najbardziej chciałaby się dowiedzieć, kim była Janet Chudnow, co ją łączyło z Douglasem Hartmanem, a także z mężczyzną, który wziął się na nią i na Zacha.

Przystanąła przed kawiarnią na głównej ulicy Beaconyille i zadzwoniła do Zacha. Nie wydawał się zachwycony wiadomością, że zaczęła poszukiwania na własną rękę. Kiedy jednak powiedziała mu o tajemniczym gościu, odniosła wrażenie, że słyszy w jego głosie nutę podniecenia. A nawet cień dumy.

Zach powiedział, że zadzwoni do Joe i poprosi go, żeby przyniósł do domu teczkę Hartmana. Wieczorem spotkają się u Kellych i jeszcze raz dokładnie wszystko przejrzą. Być może nazwisko Janet Chudnow uszło wcześniej ich uwagi.

- Nic. Ani słowa o Janet Chudnow - westchnął Zach. Rebecca zajrzała mu przez ramię.

- Myślisz, że ten romans zaczął się w więzieniu? Zach wzruszył ramionami.

- Może to jedna z tych ochotniczek, które odwiedzają samotnych więźniów. - Przejrzał do końca papiery i zamknął teczkę.

- To i tak pewnie bez znaczenia - wtrącił się Joe. - Nasz podpalacz nie jest kobietą.

Zach pokiwał głową.

- A w dodatku nie mamy żadnego dowodu na to, że ten trop ma jakikolwiek związek z Hartmanem.

Rebecca sięgnęła po notes, do którego przepisała z książki widzeń numer telefonu i adres Janet Chudnow. Podeszła do telefonu.

- Co robisz? - spytał Zach.

- Dzwonię do Janet Chudnow. Zach i Joe wymienili spojrzenia.

- Zaczekaj, Rebecco - odezwał się Zach. - Co masz zamiar jej powiedzieć? „Czy ma pani jakiś związek z tym podpalaczem, który ciągle telefonuje do Zacha Chapina?”

- Nie bądź głupi - roześmiała się Rebecca. - Nie będę z nią rozmawiać wprost. Chcę tylko sprawdzić, czy nadal tam mieszka. Powiem jej, że zbieram zamówienia na prenumeraty.

Po dwóch sygnałach usłyszała: „Przepraszamy, połączenie nie może być zrealizowane”.

Głęboko zawiedziona, odwiesiła słuchawkę.

- Może przestała płacić rachunki? - Znowu zajrzała do notesu. - Chyba powinniśmy się wybrać na Winchester Street 53 i pogadać z sąsiadami.

Zach próbował wyperswadować jej ten pomysł, ale Joe propozycja Rebecki wydała się całkiem sensowna.

- No, dobrze - zgodził się w końcu Zach - ale zawrzemy umowę. Możesz mi pomagać i towarzyszyć, ale tylko do pierwszego dnia świąt.

Popatrzyli sobie w oczy. Joe mruknął coś pod nosem i szybko wyszedł z kuchni.

Kiedy zostali sami, Rebecca zwróciła się do Zacha:

- Czy naprawdę tego chcesz, Zach?

- Tak musi być - odpowiedział zrezygnowanym tonem.

- Wobec tego Gail załatwi taksówkę, która będzie czekać pod szpitalem.

Czy wybierzesz się ze mną do Jerry'ego? - spytała, idąc w stronę drzwi.

Popatrzył na jej plecy. Dopóki nie zjawiała się w jego życiu, wszystko układało mu się w miarę dobrze. Żadnych wzlotów, ale i żadnych większych upadków. Po raz pierwszy od tygodnia pomyślał o Eileen. Z Eileen czuł się bezpieczny. Eileen nie próbowała obalać muru, którym się otoczył. Z Rebecca to zupełnie inna historia. Nagle przestraszył się, że Rebecca nie wsiądzie do samolotu, tak jak to sobie zaplanował, a wtedy cały ten kram zwali mu się na głowę.

Nie słysząc odpowiedzi, odwróciła się do niego.

- Pójdiesz ze mną, Zach?

Zdażył już zapomnieć, o co pytała, ale skinął głową. I tak nie był w stanie odmówić jej prawie niczego.

Winchester Street znajdowała się w robotniczej dzielnicy, na obrzeżach bostońskiego South Endu. Po obu stronach ulicy ciągnął się rząd dwupiętrowych, mocno obdrapanych domów. Chodnik przed numerem 53 pokryty był brudnym, zlodowaciałym śniegiem, ale do wejścia prowadziła

wąska, wydeptana ścieżka.

Na frontowych drzwiach było sześć dzwonek i sześć skrzynek pocztowych. Na niektórych skrzynkach nie było wizytówki. Nazwisko Chudnow nie figurowało na żadnej z nich.

- Który numer? - Rebecca pytająco spojrzała na Zacha.
- Wszystko jedno - wzruszył ramionami.

Na pierwszy dzwonek nie było odpowiedzi. Po kolejnym z okna na drugim piętrze wyjrzała stara kobieta, opatulona kołdrą.

- Kto tam? - zawołała.

Rebecca i Zach cofnęli się o krok i spojrzeli w górę.

- Przepraszam - odezwała się Rebecca. - Szukamy Janet Chudnow, ale nie znamy numeru jej mieszkania.

- Ona już tu nie mieszka. Umarła. - Kobieta zszęła zamykać okno.
- Chwileczkę - krzyknęła Rebecca. - Jak to się stało?
- Policja mówi, że to narkotyki. Przedawkowała. - Okno znów zaczęło się zamykać.

- Jeszcze tylko jedno pytanie - zawołała Rebecca błagalnym tonem. - Czy ona mieszkała sama? Czy miała jakąś rodzinę? Kogoś, kto ją odwiedzał? Kogoś...?

- To już więcej niż jedno pytanie - prychnęła staruszka. - Odpowiedź brzmi „nie”. Nigdy nikogo tu nie widziałam. A nawet gdyby ktoś był, to pewnie jeden z tych jej obdartusów.

Okno zamknęło się z trzaskiem. Tak urwał się kolejny trop.

ROZDZIAŁ 12

W ciągu ostatnich lat spędzonych samotnie Zach nie przywiązywał większej wagi do świąt. Prawdę mówiąc, czuł się wtedy szczególnie przygnębiony. To właśnie na Boże Narodzenie z bolesną jasnością uświadamiał sobie, że jego życie mogłoby wyglądać zupełnie inaczej, gdyby Cheryl i on mieli dzieci. Oczywiście nie żywił najmniejszych złudzeń co do tego, że nawet dzieci nie byłyby w stanie uratować ich małżeństwa. Ale skoro już rozstanie z żoną było mu pisane, przynajmniej pozostałyby mu dzieci. To właśnie dla nich urządza się święta. Tam, gdzie są dzieci, jest również choinka, wypchane prezentami pończochy na kominku, ozdobny wieniec na drzwiach frontowych, a w oknach płonące świeczki.

W tym roku, po raz pierwszy od trzech lat, Zach miał spędzić z kimś Wigilię. Dwie poprzednie, o ile nie zawodziła go pamięć, przesiedział samotnie przy stoliku w obskurnym barze za rogiem.

Rebecca zjawiała się u Zacha obładowana prezentami, z mocnym postanowieniem, że będzie się dobrze bawić. Nie było to łatwe zadanie, bo serce pękało jej z bólu. Ale w końcu od czego była aktorką? Ułożyła kolorowe paczki na stoliku w salonie i rozejrzała się wokoło.

- A gdzie choinka?

Zach popatrzył na nią ze zdumieniem.

- Jaka choinka?

- Przecież musisz mieć choinkę, Zach.

- Wyglądałaby głupio. Nie mam żadnych ozdób...

- No to się zbieraj. - Rzuciła mu kurtkę. - Idziemy po choinkę.

- Ależ Rebecca, przecież dziś Wigilia. Gdzie dostaniesz choinkę? A poza tym, już ci mówiłem, że nie mam żadnych ozdób.

Chwyciła go za rękę.

- Sami coś wymyślimy. Zrobimy łańcuchy z ziarenek prażonej kukurydzy i zabawki z origami.

- Ori... co?

- Japońskie składanki z papieru. Można zrobić ptaki, łódki, gwiazdy, co tylko chcesz.

- Święta to nie jest mój najlepszy czas, Rebecca - zaprotestował. - Nie moglibyśmy tylko...

- Och, Zach, te święta to najlepszy czas. I to dla nas obojga - powiedziała z uśmiechem i przysunęła się do niego tak, że poczuł delikatny zapach orchidei.

Ścisnął kurtkę w rękę, broniąc się przed nagłym pragnieniem, by porwać Rebecę w objęcia. Nim się zjawiła, przysięgł sobie, że dla ich wspólnego dobra nie dopuści, by dzisiejszego wieczora sprawy między nimi zaszły zbyt daleko. Jutro powiedzą sobie do widzenia. Już to będzie wystarczająco trudne. Gdyby ta noc zakończyła się w łóżku, chyba nie przeżyłby jutrzejszego dnia.

- Dobrze, Rebecca. Będziesz miała swoją choinkę.

Wyciągnęła rękę i pogładziła go po policzku, czując pod palcami znajomą, szorstką skórę.

- Dziękuję ci, Zach.

Nagle zachciało mu się płakać. Jej zresztą też.

Widział ich oboje. Byli w świetnych humorach. Nieśli choinkę, śmiejąc się i żartując. Obliznął spierzchnięte wargi. Jego dłoń zacisnęła się na niezawodnej zapalniczce. Z tyłu, w bagażniku, miał wszystko co potrzeba, żeby się wprawić w świąteczny nastrój. A na ten wieczór miał szczególnie bogate plany.

- Jak ty to składasz, głuptasie - roześmiała się Rebecca, kiedy Zach z dumą zademonstrował jej swoje dzieło. - To przypomina bardziej żyrafę niż pingwina.

- No to co? Masz coś przeciwko żyrafom?

- Absolutnie nic. Zawsze chciałam mieć zwierzaczka na choince. - Zrobiła pętelkę z nitki i powiesiła żyrafę na choince. Potem cofnęła się o krok i z uznaniem przyjrzała się drzewku, przystrojonemu łańcuchami z kukurydzy, papierowymi zabawkami i wielką gwiazdą z aluminiowej folii.

- Ładnie - przyznał Zach. Rebecca skinęła głową.

- Przyniosę kasztany.

- Zaczekaj. - Zach chwycił ją za rękę. Wstrzymała oddech. Zach powiódł kciukiem po jej ustach, a potem nagle ją puścił.

- Zresztą już nic. Zastanawiałem się tylko, kiedy... kiedy otworzymy prezenty. - Było to oczywiste kłamstwo. Tak naprawdę zastanawiał się nad tym, jak uda mu się przeżyć ten wieczór, nie kochając się z Rebecca. A może by tak powiedzieć jej prawdę... Ale nie mógł, bo jedna prawda pociągnęłaby za sobą następne, i przed upływem nocy błagałby ją, żeby nie wyjeżdżała.

Spojrzał na pakunki, które Rebecca rozłożyła pod ich skromną choinką. Miał tylko jedno świąteczne życzenie - żeby odtąd spędzać wszystkie święta tylko z Rebecca. Następne Boże Narodzenie Rebecca będzie pewnie obchodzić na wspaniałym hollywoodzkim przyjęciu, świętując swój sukces w „Błękitnym płomieniu”, wsparta na ramieniu jakiegoś amanta albo reżysera. A dzisiejszy wieczór będzie tylko bladym wspomnieniem. Dla niej, ale nie dla niego...

Rebecca stała na środku kuchni, próbując powrócić do narzuconej sobie roli. Dotknięcie Zacha zelektryzowało ją. Omal się nie zapomniała. Jak trudno uwierzyć, że to już koniec. Dlaczego Zachowi łatwiej się z tym pogodzić niż jej? Pewnie dlatego, że podświadomie życzył sobie, by odeszła. Zbyt wielki zamęt wprowadziła w jego życie.

Po chwili wróciła do salonu z półmiskiem gorących kasztanów.

- Pachną cudownie, chociaż nie są pieczone w ognisku - stwierdziła ze sztucznym entuzjazmem.

Usiedli na podłodze.

- Najpierw otwórz prezenty ode mnie - powiedziała, wręczając Zachowi spore pudełko.

Zach popatrzył na stos paczek pod choinką.

- Chyba wykupiłaś wszystkie sklepy. - *Zaczął* odwijać kolorowy papier. - Nie lubię robić zakupów. Nie dostaniesz ode mnie aż tylu prezentów.

- Ja uwielbiam zakupy. Jestem w tym naprawdę dobra.

Zach otworzył największą paczkę. W środku był elegancki szlafrok z brązowego jedwabiu.

- Chciałam, żeby wyhaftowali monogram, ale doszłam do wniosku, że to nie w twoim guście.

Uśmiechnął się. Nie miał serca powiedzieć jej, że jedwabne szlafroki też nie są w jego guście.

- Jaki piękny. Dziękuję ci, Rebecca. Wręczyła mu następny pakunek - parę skórzanych rękawiczek z futrem.

- Zawsze masz zimne ręce - powiedziała.

Zach rozpakowywał kolejne prezenty - irchową kurtkę, skórzaną kamizelkę, kaszmirowy szalik.

- Kiedy wreszcie otworzysz prezent ode mnie? - zapytał.

- Jeszcze ta ostatnia rzecz - powiedziała, podając mu małą paczuszkę.

Powoli ją rozwinął. Był to przewodnik: „Kocham Los Angeles”. Popatrzył na książkę, potem na Rebecę.

- Życie jest pełne niespodzianek - powiedziała cicho. - Wszystko się może zdarzyć.

Chciał coś odpowiedzieć, ale Rebecca położyła mu palec na ustach.

- Nie mów nic, Zach. - Uśmiechnęła się ze smutkiem.

Sięgnął do kieszeni i podał jej mały pakiecik.

Drżącymi rękami odwinęła papier. W środku było pokryte aksamitem

pudełeczko, trochę za duże i zbyt płaskie, by mogło kryć w sobie zaręczynowy pierścionek. Czując na sobie wzrok Zacha, powoli uniosła wieczko.

- Jak ci się podoba? - spytał Zach.

Ostrożnie wyjęła złotą gwiazdę, na której wygrawerowano jego imię i dedykację: „Za wzorową służbę”.

Zach wziął gwiazdę z rąk Rebecki i przypiął jej do swetra. Po policzkach Rebecki popłynęły łzy. Położyła dłoń na medalu, a potem płacząc, przytuliła się do Zacha.

Otoczył ją ramionami, ale nic nie było w stanie ich pocieszyć. Pragnęli tylko jednego.

Pociągnął ją na podłogę, tuż przy drzewku, i zaczął delikatnie rozbierać. Potem sam zrzucił ubranie i nadzy zwarli się w desperackim uścisku.

Rebecca odetchnęła z ulgą. Uniosła głowę i otoczyła dłońmi twarz Zacha, okrywając ją gorącymi pocałunkami.

Ręce Zacha błędziły po jej biodrach, brzuchu, piersiach. Przewrócił ją na plecy. Pociągnęła go na siebie, otaczając smukłymi udami. Sięgnęła w dół, tam, gdzie pulsowało źródło jego pożądania, i wprowadziła w swoje wnętrze. Owładnięci żarem, zatracili poczucie rzeczywistości.

Natarczywy dźwięk telefonu brutalnie przerwał ich ekstazę. Popatrzyli na siebie bez słowa, ogarnięci jedną myślą.

Chciała błagać, żeby nie podnosił słuchawki, ale wiedziała, że będzie musiał to zrobić.

Odebrał po czwartym dzwonku. Nie odezwał się ani słowem. Wyraz czułości zniknął z jego twarzy. Rysy mu stężały. Po chwili odłożył słuchawkę.

- Znowu pożar - powiedział.

Rebecca poderwała się i sięgnęła po ubranie. Kiedy nakładała sweter, jej wzrok spoczął na gwiazdkowym prezencie od Zacha. Delikatnie pogładziła lśniącą gwiazdę.

Zach błyskawicznie się ubrał, zadzwonił po straż pożarną i do Joe, a potem odwrócił się do Rebecki, która siedziała na sofie, gotowa do wyjścia.

- Nie chcę, żebyś tam szła - powiedział spokojnym, zdecydowanym tonem. Jeszcze jeden dzień i Rebecca będzie bezpieczna, daleko stąd. Nie chciał narażać jej na ryzyko. Gdyby teraz coś jej się stało...

- Zadzwoń do ciebie, jak tylko opanujemy sytuację. - Zmusił się do uśmiechu, narzucił kurtkę i podszedł do drzwi. Podbiegła do niego i zarzuciła mu ręce na szyję.

Szybko pocałował ją w czoło i ruszył w głąb korytarza.

- Uważaj na siebie - krzyknęła za nim.

Odwrócił się z kciukiem uniesionym go góry, a potem zniknął w windzie.

Rebecce ogarnęło uczucie kompletnej bezradności. A w tej roli nigdy nie czuła się najlepiej. Czy już naprawdę nic nie da się zrobić? Nagle wiedziona jakimś impulsem, weszła do kuchni i zaczęła się rozglądać za książką telefoniczną. Znalazła ją zgniecioną w jednej z kuchennych szafek.

Poszukała litery C. Dlaczego wcześniej na to nie wpadła?

Cha - Chi - Chu

To tylko cień szansy, ale może akurat...

Jest Chudnow. I to nie jeden, ale dwóch. Philip Chudnow w Dorchester i Rory Chudnow w Bostonie. Wykręciła pierwszy numer. Odezwała się jakaś kobieta.

- Czy mogę mówić z panem Philipem Chudnowem? - uprzejmie spytała Rebecca. Kiedyś słyszała jego głos przez telefon, więc na pewno go rozpozna.

- Niestety, Phila nie ma.

Pewnie stoi gdzieś na ulicy, pomyślała Rebecca, i przygląda się, jak kolejny budynek staje w płomieniach.

- A kiedy będzie w domu? Zapadła cisza.

- Nie wiem - odpowiedziała wreszcie kobieta.

- Nie wie pani, kiedy można będzie go zastać?
- Nie wcześniej niż za parę miesięcy. Od kilku tygodni jest na platformie wiertniczej na Atlantyku, w jakiej sprawie pani dzwoni?

- Chcieliśmy mu zaproponować prenumeratę kilku pism...

- Załatwiliśmy już wszystkie prenumeraty. - Kobieta rzuciła słuchawkę.

Rebecca szybko wykręciła numer Rory Chudnowa.

Oby tym razem miała więcej szczęścia. Odczekała dwanaście sygnałów. Nikt się nie zgłaszał. Nawet automatyczna sekretarka. Zerknęła na adres. Stuart Street. Nazwa wydała jej się znajoma. Stuart Street?

Zimny dreszcz przebiegł jej po grzbiecie. Nagle sobie przypomniała. Bar na Stuart Street. Nie było jej tam, bo Joe wymknął się w środku nocy, ale słyszała, jak następnego ranka opowiadał Millie, że ktoś podpalił bar na Stuart Street. To przecież najbliższe sąsiedztwo Rory Chudnowa.

Ogarnęło ją podniecenie. Może to sprawa instynktu albo kobiecej intuicji, ale w tym momencie zrodziła się w niej pewność, że człowiekiem, którego szukają, jest Rory Chudnow. Wszystkie elementy układanki nagle ułożyły się w całość. Albo prawie wszystkie...

Napisała na kartce parę słów do Zacha i wybiegła z domu. Postanowiła złożyć wizytę Rory Chudnowowi. Podczas gdy on bawi się zapałkami, ona spróbuje dostać się do jego mieszkania i poszukać tam dowodów, które pozwolą Zachowi raz na zawsze go przygwoździć.

Miał wprawę we włamywaniu się do budynków i forsowaniu zamkniętych drzwi. Mieszkanie Zacha Chapina nie stanowiło wyjątku. Cicho wślizgnął się do środka, z zamiarem zaskoczenia Rebecki. To będzie prawdziwie świąteczna niespodzianka.

Widział, jak Chapin sam wychodził z budynku, w parę minut po jego telefonie. Odczekał, aż stary ford odjedzie spod domu, i natychmiast zabrał się

za drzwi do sutereny. Zajął mu to parę minut więcej niż zazwyczaj, ale tylko dlatego, że zamki zamarzły.

Prychnął pogardliwie na widok idiotycznie wyglądającej choinki i pootwieranych paczek, walających się na podłodze pustego pokoju. Ostrożnie zajrzał do kuchni. Też była pusta. Wobec tego Rebecca musi być w sypialni. Na pewno leży w łóżku i czeka na swojego bohatera. Gdyby tylko wiedział, jaka mu się tu szykuje niespodzianka... Ciekawe, jak Chapin zareaguje na stratę ukochanej kobiety. Czy będzie miał złamane serce, jak on, kiedy stracił osobę, którą kochał najbardziej ze wszystkich na świecie? Oko za oko. Tak mówi Biblia.

Kiedy zobaczył, że w sypialni też nie ma nikogo, ogarnęła go lodowata furia. A więc wyszła. Wszystko tak dokładnie zaplanował, a ona gdzieś sobie poszła. Z obłędem w oczach jeszcze raz przeszukał całe mieszkanie.

Nie ma jej.

Musiła wymknąć się frontowymi drzwiami, podczas gdy on zmagał się z zamkiem do sutereny. Wbiegł do salonu i wtedy zobaczył karteczkę na stoliku.

Mrużąc oczy przeczytał ją. Diaboliczny uśmiech rozjaśnił mu twarz. Zmiał kartkę, a potem spalił ją w płomieniu zapalniczki.

Nagle zadzwonił telefon.

Po dwóch dzwonekach włączyła się taśma z głosem Chapina. Potem był długi sygnał, a potem znów głos Chapina. Zdenerwowany głos.

- Rebecca? Jesteś tam? Odbierz, do diabła! Słuchaj, to był fałszywy alarm.

Mężczyzna zachichotał.

- Tamten tak. - W jego głosie zabrzmiało z trudem hamowane podniecenie.- Ale nie ten.

- Gdzie jesteś, Rebecca? Posłuchaj, jadę prosto do domu. - Trzask odkładanej słuchawki.

- Spóźnisz się - mruknął mężczyzna, rozłamując kapsułkę na pół i biorąc

głęboki wdech. A potem znów sięgnął po zapalniczkę...

Kiedy Zach i Joe podjechali pod dom, zobaczyli wybiegających z budynku strażaków. Zach poczuł w gardle dławiącą kulę. W jednej sekundzie oblał się zimnym potem. Popędził na górę, przeskakując kilka stopni naraz. Joe przystanął, żeby zamienić parę słów z jednym ze strażaków, a potem, ciężko dysząc, pobiegł za Zachem.

- Mówią, że nikogo tam nie było, ale mieszkanie jest w strasznym stanie - wysapał, kiedy go wreszcie dogonił.

- Więc dokąd poszła, do jasnej cholery? - krzyknął Zach, pełen najgorszych przeczuc. Nagle poraziła go myśl, że Rebecca została porwana.

Rory Chudnow wynajmował mieszkanie na trzecim piętrze czynszowej kamienicy. Pod bramą Rebecca przystanęła na chwilę. Nagle ogarnęły ją wątpliwości. Może powinna była zaczekać na Zacha? Albo zadzwonić do Fitzgeralda? A zresztą, mogła się mylić. Może ten Rory Chudnow nie miał nic wspólnego z Janet Chudnow i nie był podpalaczem? Musiała zdobyć jakieś konkretne dowody. A mogła je znaleźć tylko w jego mieszkaniu.

Weszła do baru po przeciwnej stronie ulicy i jeszcze raz zadzwoniła do Chudnowa. Nadal nikt nie odbierał. To znaczy, że droga wolna. Tylko na jak długo?

Zach wpadł do wypalonego, pełnego dymu mieszkania. Joe, sapiąc, deptał mu po piętach. W miejscu choinki leżała kupka popiołu. Z dymem poszły piękne prezenty od Rebecki. Co za szczęście, że zdążył przypiąć jej tę gwiazdę. Gdyby i ona spłonęła, chyba pękłoby jej serce. O ile jeszcze żyła... Zakręciło mu się w głowie. Chwycił oparcie fotela i zamknął oczy. Parę razy odetchnął, a potem chwiejnym krokiem wszedł do kuchni.

Joe sprawdził telefon. Nie działał.

- Pójdę do sąsiadów i spróbuję zadzwonić do domu. Może tam pojechała - zawołał do Zacha.

- Nie. Zaczekaj - krzyknął Zach.

Joe wbiegł do kuchni.

Zach stał nad zwęgloną książką telefoniczną. Była otwarta. Udało im się odczytać kilka nazwisk. Wszystkie zaczynały się na literę C.

Pożyczenie książki telefonicznej od sąsiadów i błyskawiczna rozmowa z żoną Phila Chudnowa zajęły im dosłownie trzy minuty. Teraz pędzili samochodem Zacha na Stuart Street, do mieszkania Rory Chudnowa.

Kiedyś, w jednym z filmów, Rebecca posłużyła się kartą kredytową, żeby włamać się do czyjegoś mieszkania. Teraz postanowiła wypróbować tę sztuczkę na drzwiach Rory Chudnowa. Kiedy zamek ustąpił, pokraśniała z dumy.

Popchnęła drzwi, czując, jak jej puls podwaja swoje tempo. To była jakaś nora. Dwa pokoiki, obwieszane ulotkami Armii Zbawienia. Rozejrzała się po miniaturowym saloniku i weszła do jeszcze mniejszej, dusznej sypialni, z trudem mieszczącej drewniane łóżko z rozgrzebaną pościelą, biurko i szafę.

Na biurku dostrzegła ramkę z fotografią kobiety w średnim wieku, o zmęczonym spojrzeniu i smutnym uśmiechu. Zdjęcie było podpisane. „Kochanemu Rory'emu - mama”.

Rebecca dałaby sobie uciąć rękę, że „mama” to nikt inny, tylko Janet Chudnow. Odłożyła zdjęcie i zajrzała do szafy. Rory Chudnow na pewno nie należał do elegantów. Jedna wytarta marynarka, kilka koszul, szare spodnie i para starych dżinsów. I ocieplany płaszcz przeciwdeszczowy. Wyjęła płaszcz z szafy i przyjrzała mu się szeroko otwartymi oczami.

Brakowało jednego guzika. Pozostałe były identyczne z tym, który znalazła

w zgliszczach kamienicy, naprzeciw domu Zacha. Serce zaczęło głucho walić jej w piersi. Przerzuciła płaszcz przez ramię. Trudno o lepszy dowód. Zach będzie z niej dumny.

Na szafie stało jakieś pudełko. Sięgnęła po nie i postawiła na podłodze. Uklękła i wstrzymując oddech, podniosła pokrywkę. Pudełko było wypełnione fiolkami azotynu amylowego. To o tym narkotyku mówił Zach.

Otworzyła jedną fiolkę i wtedy poczuła na ustach zimną, wilgotną dłoń. Skamieniała z przerażenia. Nie słyszała, żeby ktoś wchodził do mieszkania, ale bez trudu zgadła, kto to mógł być.

- Nareszcie sprawiedliwości stanie się zadość - usłyszała przy uchu stłumiony głos.

Serce zaczęło jej walić tak mocno, jakby zaraz miało eksplodować.

- Oko za oko. - Mężczyzna mówił teraz głośniejszym głosem. Jedną ręką ciasno objął ją w tali i podniósł z klęczek, a drugą wciąż blokował jej usta.

Poznała jego głos - ten sam, trudny do zapomnienia baryton ze słuchawki telefonicznej. Zaczęła się wyrywać, ale ramię objęło ją jeszcze ciaśniej. Mężczyzna przeciągnął ją przez pokój i brutalnie rzucił na łóżko.

I wtedy po raz pierwszy zobaczyła jego twarz.

Po raz pierwszy? Nie. Po raz drugi. Teraz nie miała najmniejszych wątpliwości, że człowiek, z którym tamtej nocy zderzyli się po wyjściu z restauracji, to był Rory Chudnow.

- Nie ruszaj się, bo ci zrobię krzywdę. Chyba tego nie chcesz? A zrobię to, jeżeli mnie zdenerwujesz. I sprawi mi to wielką przyjemność.

Nachylił się nad nią. Z przerażeniem pomyślała, że chce ją zgwałcić. Albo torturować...

- Dlaczego? - szepnęła. Była jak sparaliżowana.

- Chcesz wiedzieć dlaczego? To ci powiem. Chapin zniszczył wszystko, na czym mi zależało. Doug Hartman był moim wujem, przyrodnim bratem

mojej matki. O tym, że trafił do więzienia, dowiedziała się dopiero parę lat temu, kiedy przeniosła się do Bostonu.

Zbliżył twarz do jej twarzy. Jego oddech był przesiąknięty alkoholem. I jeszcze czymś. Jadem.

- Kiedy on umarł, mieszkałem w Chicago. Mama napisała mi, że to Chapin był winny jego śmierci. Wpakował jej brata do więzienia tylko za to, że chciał oczyścić ten kraj ze śmieci. Moja matka nienawidziła Chapina. Ja też go nienawidzę. - Popatrzył na Rebeccę nieobecny wzrokiem. Był teraz gdzie indziej. Tonął w morzu nienawiści.

- Moja mama umarła z rozpaczy.

- Umarła z przedawkowania narkotyków - powiedziała Rebecca. - To mógł być... wypadek.

- Zamknij się.- Z rozmachem trzasnął ją w twarz. Łzy stanęły jej w oczach. Zaciśnęła zęby. Ten drań nigdy nie zobaczy jej łez ani strachu. Nie da mu tej satysfakcji.

- Przyjechałem do Bostonu. Przysiągłem sobie, że go dostanę. Ale najpierw go ośmieszę. A potem... potem będę patrzył, jak płonie. Tak jak biedny wuj Doug. Zresztą bardzo możliwe, że ten pożar to też sprawka Chapina.

Uśmiechnął się do Rebecki.

- Wszystko sobie dokładnie zaplanowałem. A potem ty wdepnęłaś na moją działkę. Teraz mam lepszy plan. Najpierw załatwię ciebie, a Chapinowi pozwolę pożyczyć jeszcze trochę. Niech pocierpi. Ja już się dość nacierpiałem. A potem dam mu odetchnąć. - Szeroko się uśmiechnął. - Uwolnię go od wszystkich kłopotów.

Rebecca patrzyła w nieprzytomne, obłąkane oczy Rory'ego. Gdyby był aktorem, grającym rolę podpalacza w „Błękitnym płomieniu”, na pewno reżyser zarzuciłby mu przesadę. Tylko, niestety, to nie był film. I Rory wcale nie grał. Widać było, że ten człowiek postradał zmysły.

Cofnęła głowę ze wstrętem, kiedy dotknął jej policzka.

- Szkoda, że mamy tak mało czasu - powiedział, nie zwracając uwagi na jej reakcję. - Pokazałbym ci, co to jest prawdziwy mężczyzna.

Zaczął przywiązywać ją do łóżka. Opierała się, ale był od niej znacznie silniejszy.

- Mylisz się co do Zacha - powiedziała. - Moja śmierć wcale go nie zmartwi. On mnie nie kocha. Jutro wyjeżdżam. Znudziłam mu się. To już koniec...

- Ja bym się nigdy tobą nie znudził. - Starannie zacisnął węzły. - Jaka szkoda, że twój czas się skończył.

- Nie! Proszę...

Zdrętwiała z przerażenia patrzyła, jak przełamuje kapsułkę na pół, bierze głęboki wdech, a potem i wysypuje resztę w kącie sypialni i wyciąga z kieszeni zapalniczkę. Kiedy pokazały się pierwsze płomienie, odwrócił się z nieprzytomnym uśmiechem.

- To nie potrwa długo - powiedział. Posłał jej pocałunek i wyszedł z mieszkania.

Zach wpadł do budynku i na półpiętrze zderzył się z Rorym Chudnowem. Rory rzucił się do ucieczki, ale tym razem Zach był szybszy. Dopadł go i przyparł do ściany.

- Zabawa skończona, Chudnow. Nieoczekiwanie Chudnow uśmiechnął się.

- Prawie skończona...

Wtedy właśnie Zach poczuł dym. Na ułamek sekundy rozluźnił uścisk. Chudnow wyrwał się, wymierzył mu potężny cios w szczękę, a potem skoczył w stronę wyjścia, zderzając się z Joe. Droga na dół była odcięta. Odwrócił się i popędził po schodach na górę, a za nim Zach, przeskakując po kilka stopni. Z

tyłu biegł Joe.

Dopadł Chudnowa na trzecim piętrze. Spod drzwi jednego z mieszkań wydobywał się dym. Podbiegł do drzwi i otworzył je kopniakiem. Chudnow rzucił się na niego, okładając go pięściami. Zach odwrócił się, chwycił go za gardło i odepchnął. Chudnow poleciał do tyłu, wprost w ramiona Joe.

W pierwszy dzień świąt Rebecca i Zach wybrali się do szpitala. Przy łóżku Jerry'ego zastali już całą rodzinę Kellych, Todda oraz Gail z rodzicami. Państwo McCarthy z radością obwieścili, że sąd ustanowił ich rodziną zastępczą dla obu chłopców. Jerry też miał wspaniałą wiadomość. Za tydzień wychodził ze szpitala.

Nagle drzwi otworzyły się i do pokoju wkroczyli kolejni goście - komendant Fitzgerald i inspektor Collins, obaj w galowych mundurach. Skinieniem głowy powitali Zacha i Joe, a potem zwrócili się do Rebecki.

- Dowiedzieliśmy się, że pani dziś wyjeżdża, Rebecco - zaczął uroczyście Fitzgerald - więc przybyliśmy tu, żeby wręczyć pani odznaczenie od władz miasta Bostonu i Wydziału Podpaleń Straży Pożarnej, „Za wydatną pomoc w ujęciu podpalacza i oddaniu go w ręce sprawiedliwości”.

Collis zasalutował, a potem otworzył aksamitne pudełeczko. Na złotej gwiazdzie wygrawerowano imię Rebecki i dedykację: „Za wzorową służbę”.

Fitzgerald przypiął Rebecce gwiazdę tuż obok pierwszej, tej od Zacha. Wszyscy zaczęli bić brawo. Rebecca położyła dłoń na obu medalach i spojrzała na Zacha.

- Wolę moje gwiazdy od Oscara. - Głos jej się załamał. Z wysiłkiem powstrzymywała cisnące się do oczu łzy.

Zach podszedł do niej i objął ją.

- O ile cię znam, Oscara też dostaniesz. Zaslugujesz na tę nagrodę.

Pielegniarka zajrzała do pokoju.

- Panno Fox, samochód czeka.

Rebecca skinęła głową. Podpalacz został ujęty, więc mogłaby przedłużyć swój pobyt. Ale dla spokoju ich obojga powinna jak najszybciej wyjechać. Jeżeli to ma być koniec, to lepiej nie przedłużać męki rozstania.

Ucałowała wszystkich na pożegnanie. Tylko Zach wymknął się i czekał na korytarzu. Millie przytuliła ją do obfitej piersi.

- Będziemy w kontakcie. Nie martw się. Urobimy go. Gail ścisnęła jej rękę.

- Drugiego stycznia zobaczymy się w Los Angeles.

Jechali windą w dół, nie odzywając się do siebie. Kiedy wyszli do holu, Rebecca przystanęła i rozpięła płaszcz. Przez moment myślał, że postanowiła zostać. Gdyby teraz zmieniła zdanie, już by nie protestował. Wziąłby ją w ramiona i nigdy nie pozwoliłby odejść. Do diabła ze zdrowym rozsądkiem!

Wtedy zobaczył, że odpina złotą gwiazdę, którą przed chwilą dostała.

- Co robisz? - zapytał. Wpięła mu ją w klapę marynarki.

- Będę nosiła twoją, a ty... moją. To tak, jakbyśmy wymienili pierścionki.

Wziął ją w objęcia i pocałował, nie zwracając uwagi na zdziwione spojrzenia pacjentów i gości.

- Kocham cię, Zach.

- Kocham cię, Rebecca.

Wyszli na dwór. Zach pomógł jej wsiąść do samochodu. Uśmiechnęła się blado i po raz ostatni dotknęła jego policzka.

Patrzył za znikającą limuzyną, a po policzkach płynęły mu łzy. Oboje się pomylili. To się nigdy nie skończy.

EPILOG

W pokoju panował półmrok. W tle cicho rozbrzmiewały tony jazzu. Stała obrócona do niego plecami.

- Musimy z tym skończyć. To czyste szaleństwo - szepnęła z bólem.

- Szaleństwo. To właściwe słowo - odezwał się schrypniętym głosem.

Odwrócił ją ku sobie i zamknął w uścisku. - Ja szaleję za tobą. Ty szalejesz za mną.

Cofnęła się, odgarniając splątane włosy.

- A co z naszym szalonym podpalaczem? Ujął w dłonie jej twarz. Ręce lekko mu drżały.

- On nie jest nasz. On jest mój. Wyswobodziła się z jego uścisku.

- Nie walcz ze mną. Byłam przy tym pożarze. To było coś potwornego. Nigdy czegoś takiego nie widziałam. Tam była chyba setka ludzi... - Głos jej się załamał. Nie była w stanie dalej mówić.

- Dziecinko - mruknął, przyciągając ją do siebie.- Wszystko będzie dobrze.

- *Nie. Nic nie będzie dobrze - powiedziała z bólem. - Och, Will, tak się boję.*

- *Nie bój się, Toni. Nigdy...*

- Ciecie - rozległ się donośny głos. Eliot Mason zsunął się ze swego reżyserskiego stołka za operatorem. Podszedł do Stevea, Shieldsa, który grał rolę Williama Bowersa, i skinął głową. Potem objął Rebecę ramieniem.

- Kochanie, byłaś cudowna. Aż za dobra. Rzecz w tym, że to dopiero nasz pierwszy dzień. Jeżeli już na początku dasz z siebie wszystko, wypalisz się, nim skończymy film. Oczywiście, że Toni się boi. Ale to twarda sztuka. Poradzi sobie z nim i bez niego - uśmiechnął się. - Nie mam racji?

- Masz. - Rebecca uśmiechnęła się z przymusem. Problem tkwił w tym, że ten film był tak bliski prawdy. Być może Toni Paradisi świetnie sobie radziła bez Williama Bowersa, ale czy ona sama potrafi żyć bez Zacha?

Mason lekko ją uściskał.

- Jesteś stworzona do tej roli, Rebecco. A jeżeli chodzi o moje wcześniejsze wątpliwości, to... mogę tylko powiedzieć, że dobrze wykorzystałaś swój pobyt w Bostonie.

- O, na pewno tak - mruknęła Rebecca. - To były najlepsze trzy tygodnie w moim życiu.

- Twoje aktorstwo zyskało jakiś nowy wymiar - entuzjazmował się Mason.- Ta rola może ci otworzyć drogę do Oscara.

W oczach Rebecki pojawiły się łzy.

Wsunęła rękę pod żakiet i dotknęła przypiętej na sercu złotej gwiazdy. Zawsze będzie dla niej znaczyła więcej niż jakakolwiek nagroda filmowa. Zaczęła się zastanawiać, czy Zach też nosi jej gwiazdę. Czy tęskni za nią tak bardzo jak ona za nim? Czy jest równie samotny i przygnębiony? Trzy tygodnie i ani słowa od Zacha. Nie przysłał jej nawet kartki. Rozsądne, kulturalne

rozstanie. Więc dlaczego sprawiło jej aż taki ból?

- Zrób sobie małą przerwę - zaproponował Mason. - Idź do garderoby i odpręż się trochę.

Rebecca skinęła głową. Potrzebowała czasu, żeby się skupić przed kolejnym ujęciem. Za piętnaście minut musi zagrać tak, jakby zmagala się z własnym życiem.

Kiedy wracała na plan, w rogu hali dostrzegła Masona, pogrążonego w rozmowie z jakimś mężczyzną. Mężczyzna stał tyłem i światło było przyćmione, ale coś w jego sylwetce przypominało Zacha. Zresztą w ciągu ostatnich trzech tygodni parokrotnie zdarzyło jej się wziąć z daleka obcego mężczyznę za Zacha. Niestety, za każdym razem się myliła. Czyżby zaczęła miewać omamy?

Mason odwrócił się, zobaczył ją i ruszył w jej stronę. Człowiek, z którym rozmawiał, poszedł do wyjścia. Spojrzała za nim i serce zamarło jej w piersi. Mężczyzna lekko utykał.

- Zaczynamy za dziesięć minut. - Mason podszedł do niej i spojrzał na zegarek.

Chwyciła go za rękaw.

- Co to za człowiek, z którym przed chwilą rozmawiałaś?

- Ach, ten. To facet, którego zatrudniłem jako konsultanta. Inspektor z wydziału podpaleń.

- Z wydziału podpaleń? - Patrzyła na Masona szeroko otwartymi oczami.

- Sądziłem, że już go poznałaś - uśmiechnął się Mason. - Nazywa się Chapin.

Nie słuchała go dłużej, tylko rzuciła się do wyjścia. Mężczyzna stał przed halą zdjęciową i palił papierosa. Był odwrócony plecami.

- Myślałam, że z tym skończyłeś - zawołała drżącym głosem.

Powoli się odwrócił. Coś błysnęło na jego koszuli. Złota gwiazda.

- Próbowałem, ale mi się nie udało. - Wyrzucił papierosa i podszedł do niej. - Nie udało mi się.

- Palenie jest bardzo niezdrowe. Uśmiechnął się łobuzersko.

- Palenie? Ach, to mój ostatni papieros, - Nagle spoważniał. - Z niczym nie mogłem skończyć, Rebecca. Ciagle o tobie myślałem. Pragnąłem cię. Tęskniłem za tobą. Potrzebowałem cię.

Rzuciła mu się w ramiona z uczuciem, że znów żyje, po raz pierwszy od trzech tygodni.

- Zach, a co będzie, kiedy film się skończy? Zamknął ją w gorącym uścisku.

- Zaproponowano mi stanowisko szefa wydziału podpaleń w Los Angeles. Pora się ustatkować. - Sięgnął do kieszeni i wyjął przewodnik po Los Angeles. - Tamten się spalił, ale kupiłem sobie taki sam - powiedział. - To nie najgorsze miasto. Chyba mógłbym je polubić.

- To cudowne miasto - szepnęła, a z oczu trysnęły jej łzy. - Przynajmniej od dziś.

Zanurzył palce w jej kasztanowych splotach.

- Wyjdź za mnie, Rebecca. We dwoje sprawimy, że cały świat stanie w ogniu.

- O nie, dość już ognia, Zach. We dwoje sprawimy sobie kilkoro pięknych dzieci. A jeżeli dopisze nam szczęście, na następną gwiazdkę na naszym kominku zawiesimy trzy pończochy, a choinkę ozdobimy...

- Papierowymi żyrafami?

- Absolutnie tak.

Przytulił ją i mocno pocałował, a potem delikatnie odsunął i obok gwiazdy połyskującej na jej piersi przypiął drugą.

- Za wzorową służbę, Rebecca Fox. I za spełnienie moich najśmielszych marzeń.

Położyła dłoń na sercu.

- I to właśnie jest doskonały hollywoodzki happy end.

ŚCIEMNIENIE...